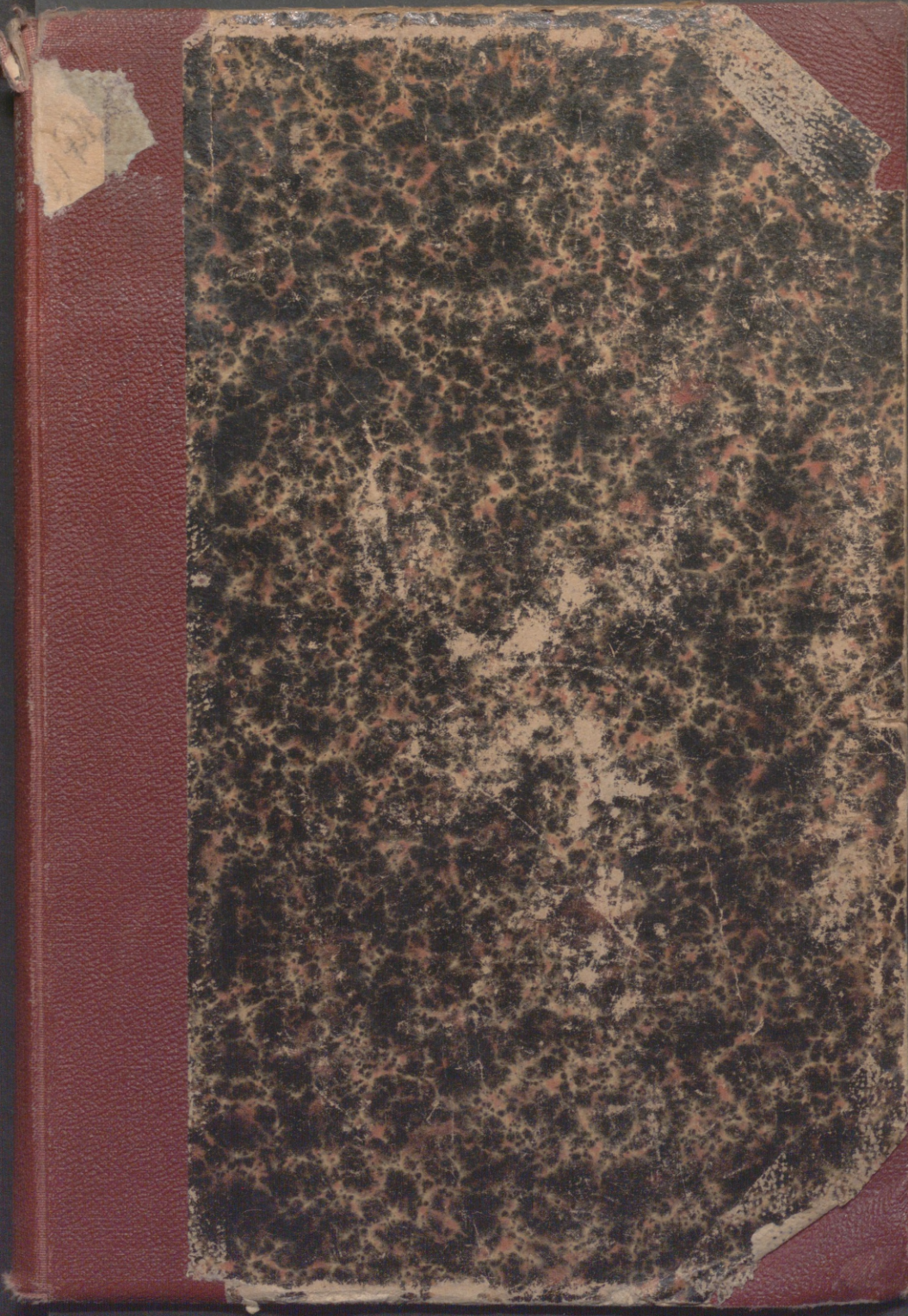
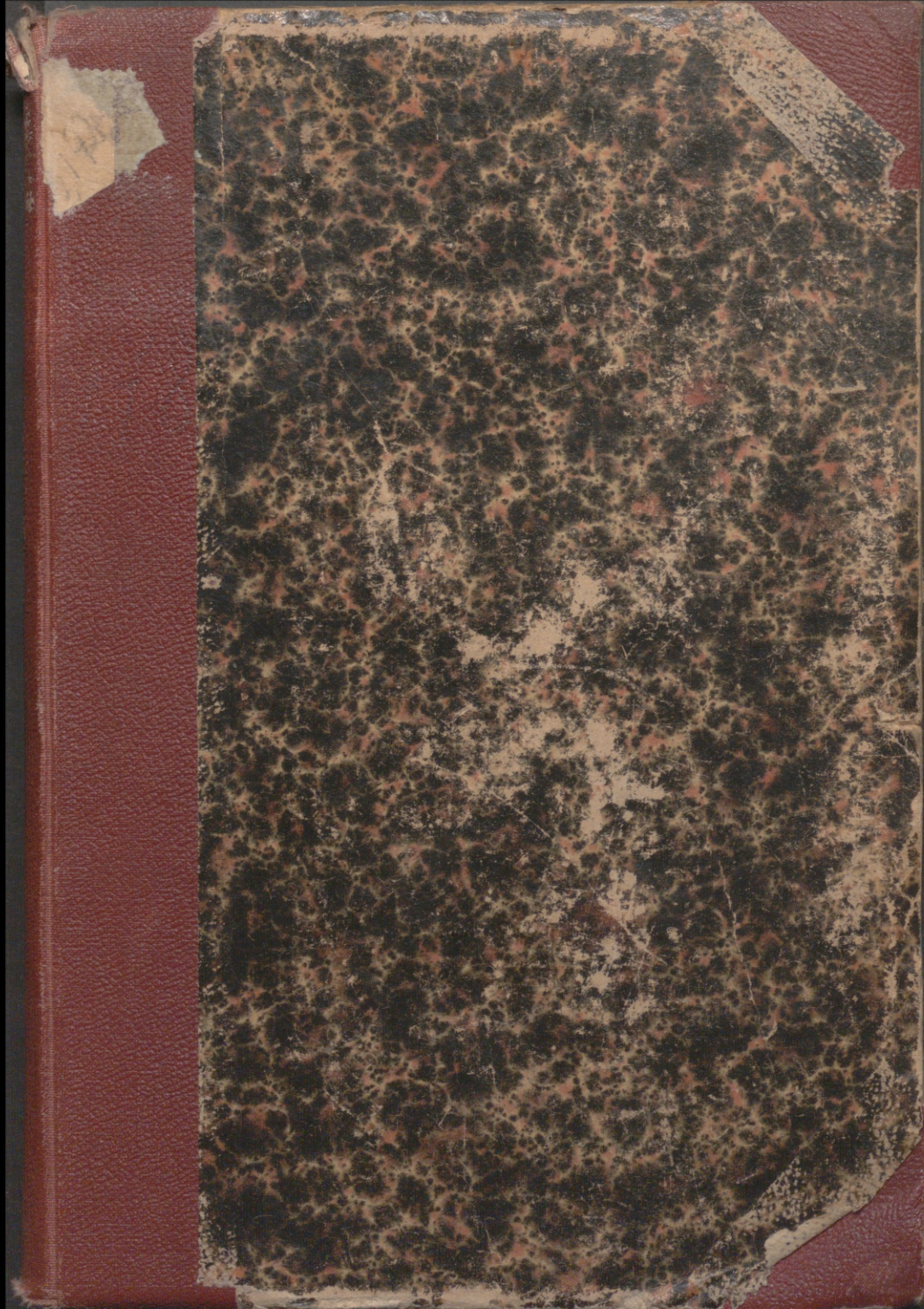


Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19





*Wzrosty rano je k. b. l. j. l. c. h.
do sprre dary. -*

**DYREKCJA
BURSY GRUNWALDZK EJT. S. L.
w o L W O W I E.**

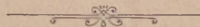
DZIEŁA

Ks. WALERYANA KALINKI

TOM DWUNASTY

PISMA POMNIEJSZE

CZĘŚĆ IV.



W KRAKOWIE,
SPÓŁKA WYDAWNICZA POLSKA.
1902.

21427
BIBLIOTEKA
564
Ks. WALERYAN KALINKA.

PISMA POMNIEJSZE

CZEŚĆ IV.

PO RAZ PIERWSZY RAZEM ZEBRANE.

Egzemplarz Recenzyjny
od SPÓŁKI WYDAWNICZEJ POLSKIEJ
w KRAKOWIE.

W KRAKOWIE,
SPÓŁKA WYDAWNICZA POLSKA.
1902.

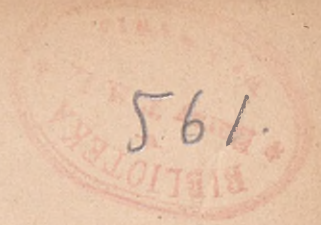
P

~~418/11~~
11

93(438)8143(438)9

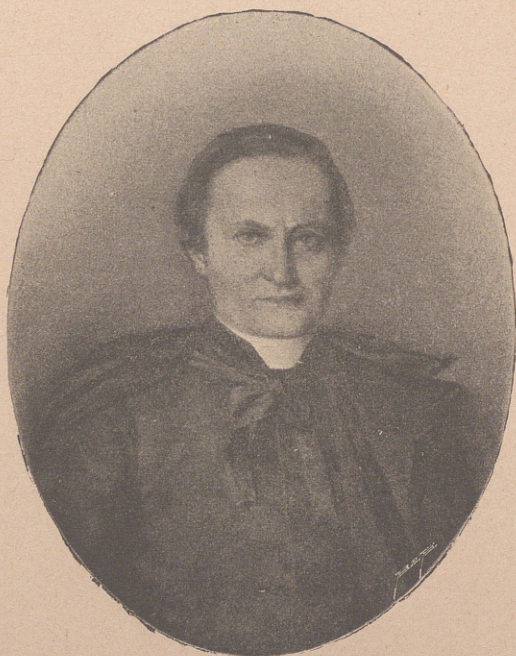


47529/2



ROZPRAWY

dotyczące Kościoła i jego dziejów w Polsce.



Petrus Semenenko

I.

O alfabecie i kalendarzu ruskim ¹⁾).

Chociaż Polacy i Rusini są dziećmi jednego Kościoła, są jednak między nimi różnice, nietyle ze sprzeczności interesów, ile z odmiennych właściwości narodowych, z odmiennych nawyknień i poglądów wyrosłe. O tych różnicach pragniemy dziś pomówić.

Najważniejsza różnica jest w języku i obrządku. Język ruski nie potrzebuje już dziś między nami obrony. Żaden Polak rozsądny nie będzie się już krzywił na mowę ruską, ani nie weźmie za złe Rusinom, że ją chcą kształcić i rozwijać, a nie mało takich między nami, coby chcieli im w tem dopomódz. Z pociechą zaznaczyć możemy, że ostatnie lata nie minęły bez pożytku; w poczuciu i przeświadczeniu ogółu język ruski doczekał się uznania. Co jeszcze na tem polu nie dostaje, przyjdzie stopniowo, a przyjdzie tem wcześniej i skuteczniej, im wyraźniejszym się stanie w oczach wszystkich, że Rusini dla siebie, a nie dla innych w naszym kraju pracują.

Z różnicą obrządkową łatwiejsza jeszcze sprawa. Nikogo ona nie raziła i nikomu na myśl nie przychodziło ganić Rusinów za to, że chwalą Boga po swojemu, jak ich Kościół do tego upoważnia; a jeśli objawiały się

¹⁾ Pisane w r. 1885, zamieszczone w *Tygodniku Katolickim* z r. 1891.

niechęci i podejrzenia przy zmianach liturgicznych samowolnie wprowadzanych, to i te ustają, gdy władza kościelna swą wolę objawi. Przetoż ani język ani obrządek nie są kością niezgody między Polską a Rusią. Lecz są inne punkta sporne: jest alfabet i kalendarz ruski.

Czemu Rusini trzymają się osobnego alfabetu? Odzielają się przecież dobrowolnie od Europy, zamykają Polakom przystęp do swej literatury, skazują dzieci swoje bez potrzeby na naukę trzech a nawet czterech alfabetów i to wszystko czynią przez zamiłowanie do liter, które są bardzo nieczytelne i ze wszystkich europejskich znaków piśmiennych najbardziej psują oczy. Gdybyż jeszcze pozostali przy kirylicy; toby jeszcze wytłómaczyć można poszanowaniem dla tradycyi; ale jak zrozumieć, że porzuciwszy pismo pochodzenia katolickiego, przyjęli grażdankę wynalezioną nie zbyt dawno przez schyzmatyków?

Oto pytania i skargi, które słyszeć można z ust wielkiej liczby Polaków.

Odpowiadają Rusini: »Kirylica tak się ma do grażdanki, jak stary gotyk do łacińskiego druku. Dla tych samych przyczyn, dla których Słowianie zachodni, porzuciwszy gotyk drukują swe książki łacińskimi czcionkami, dla tych samych Słowianie wschodni a z nimi Rusini, zastąpili kirylicę grażdanką. Jak druk łaciński wyraźniejszy jest od gotyku, tak i grażdanka prostsza jest, czytelniejsza i dużo więcej od kirylicy do łacińskiego pisma zbliżona. Dla kogo to twierdzenie wydaje się nowem albo nieprawdopodobnem, niech porówna w bukwarze oba alfabety«.

Rusini nie przeczą, że alfabet łaciński jest dla oka najdogodniejszy i nie zarzekają się wcale, by go kiedyś przyjąć nie mieli, ale zaprzeczyć się nie da, że alfabet jest pierwszym dotykalnym znakiem pewnej wspólności; wszyscy Słowianie, ile ich do rytu wschodniego należy,

posługują się do dnia dzisiejszego grażdanką. Z tą współnością zerwać nie tak łatwo. Z drugiej strony, i to także każdy przyznać musi, że alfabet łaciński nie wystarcza dla języków słowiańskich, że na pewne brzmienia, im tylko właściwe, nie ma on osobnych znaków. Nasuwają się stąd niemałe w pisaniu trudności, które każdy naród zachodnio-słowiański na swój sposób starał się rozwiązać. Inna jest ortografia polska a inna czeska, a że obie nie należą do najszcześniejszych, tego podobno nie potrzeba dowodzić: sam widok polskiego lub czeskiego druku przeraża cudzoziemców. Pierwej zatem zanim mowa będzie o przyjęciu przez Rusinów liter łacińskich, zapytałoby należało, jaką im proponować ortografią: polską, czeską albo magyarską? A skoro się okaże, że każda z nich jest niedostateczna, nie pozostanie nic innego, jak utworzyć nowe znaki na brzmienia czysto słowiańskie i tymi znakami uzupełnić alfabet łaciński. Jeżeli więc chodzi o istotne zbliżenie się na polu piśmiennem, to niedość, że Rusini porzucą grażdankę, trzeba żeby Polacy kilka nowych znaków wprowadzili do swego alfabetu. Czy taka zmiana byłaby Polakom przyjemną, czy kto zechce ją dzisiaj proponować? Podobno nie, czasu potrzeba niemało, aby z nią umysły polskie oswoić. Więc stąd prosta konsekwencya, że i od Rusinów zawczasie zdaje się żądać, aby od swego alfabetu odstąpili. Niedogodności trzeba cierpieć z obu stron, dopóki obie do wzajemnych ustępstw na tem polu się nie skłonią.

Ważniejszą i w swych skutkach dużo dotkliwszą jest różnica kalendarzów. Kto tych skutków w naszym kraju nie doznaje? Do 70 blisko niedziel i świąt łacińskich, dołożmy przeszło 20 świąt ruskich, które w inne dni przypadają, a otrzymamy sto bez mała dni nieroboczych w ciągu roku, we wschodniej części naszej prowincyi. Ileż to dni odpoczywania po dniach bardzo wątpliwej nieraz pracy! Jeśli prawdą jest, że który naród

więcej pracuje, ten w naszych czasach wyprzedza drugich na polu cywilizacji, to rzeczą jest oczywistą, że sama tak wielka liczba podwójnych świąt jest przyczyną, że nasz kraj w tyle za innymi pozostawać musi. Jakie stąd zaniedbania i przeszkody w gospodarstwie, gdzie ludność jest mieszana; jaka mitręga w szkołach i urzędach, które jedne i drugie święta obchodzić są zmuszone! A jakie utrapienie w zarządzie domowym, w żywieniu robotników, którzy do różnego obowiązani są postu! I pan i pani, i ekonom i kucharka, muszą mieć oba kalendarze na pamięci, aby nikogo nie zgorszyć, na niczyje prawa nie nastąpić, niczyjego sumienia nie zakłócić. A cóż powiedzieć tam, gdzie rodzina do dwóch obrządków należy, gdzie dla jednych wypada święto uroczyste w dniu, w którym drudzy do ścisłego obowiązani są postu! Ani czas, ani środki materyalne na to nie pozwolą, aby jedno i drugie zachować, więc kończy się na tem, że któraś strona od swych świąt odstępuje, lecz i drugich nie obchodzi chyba — przy stole. Tak więc zarówno pod ekonomicznym jak administracyjnym, pod pedagogicznym jak religijnym względem różnica kalendarzów tworzy stan nieznośny i który chyba dlatego znosimy, żeśmy się do niego jak do kalectwa przyzwyczaili. Wnosząc stąd, zdawałoby się, że zrównanie kalendarzy w kraju naszym powinno być sprawą dla wszystkich najbardziej pożądaną, naglącą, piekącą.

A jednak, ta sprawa tak nagląca, ta przeszkoda tak dokuczliwa, trwa od trzech wieków; tylekroć próbowano ją usunąć, a zawsze na próżno. Od chwili, gdy Grzegorz XIII dokonał naprawy kalendarza juliańskiego i całemu światu ją zalecił, król Stefan Batory kazał wprowadzić nowy kalendarz do wszystkich państw swoich (1583). Polska katolicka przyjęła go chętnie. Ruś schizmatycka stanęła oporem, a w tym oporze utwierdził ją list okólny Jeremiasza II, patriarchy carogrodz-

kiego, wzywający Rusinów litewskich i Ormian, by od zmian przez rzymskiego biskupa zalecanych trzymali się zdala¹⁾). Nastało stąd niemałe w Rzpltej zamieszanie; po wielu miastach, gdy nie można było skłonić Rusinów do obchodzenia świąt razem z łacińskimi, usiłowano im wzbronić nabożeństwa w porze, kiedy te święta według dawnej rachuby dla nich przypadały. Dnia 3. stycznia 1584 roku, Solikowski, arcybiskup lwowski, w towarzystwie wielu panów i urzędników królewskich, pozamykał we Lwowie wszystkie cerkwie w wilią ruskiego Bożego Narodzenia i duchowieństwo ruskie gotujące się do nabożeństwa kazał z nich wypędzać. Oburzyło to lud, Rusinów i Ormian, cerkwie otwarli przemocą i popów swoich napowrót sprowadzili. Podobne tumulty zaszły w Wilnie, w Chełmie i po innych miastach, gdzie Rusini czuli się na sile. Posypały się skargi do króla od władyków i od szlachty rytu greckiego, poparł je swym wpływem książę Konstanty Ostrogski, który sam swych spółwierców gorąco do oporu zachęcał. Król widząc, że w usposobieniu umysłów, jakie panowało, trzeba będzie w każdym mieście przemocą na Rusinach tę reformę wymuszać, postanowił ustąpić. »Jeśli kalendarz naprawiony (pisze on do burmistrzów wileńskich) w państwach naszych przyjąć kazaliśmy, uczyniliśmy to z wielkich i ważnych przyczyn, ale za tem nie idzie, abyśmy obchodów i świąt greckich albo innych jakich nabożeństw zakazywać mieli. O tem aniśmy myśleli, ale uczyniliśmy to dla porządku i spraw Rzpltej. Dlatego jest i ma być wolno każdemu nabożeństwa i wiary swojej używać, święta święcić i obchodzić, a za to oni żadnych trudności, nagabań, szkód i grabieży cierpieć nie mają; albowiem ludzie greckiego zakonu

¹⁾ 13. listopada 1583 roku. *Akti zapadnoj Rossii*. Petersburg 1840., III, 273.

nie mają być przymuszani do tej poprawy nowego kalendarza bez pozwolenia swego starszego patriarchy«¹⁾. Podobnie i w liście do urzędników województwa ruskiego i chełmskiego, król Stefan nakazuje, aby wszystkim tak duchownego jak i świeckiego stanu ludziom religii greckiej żadnych trudności nie czynili, pod karą 10.000 czerw. zł., i aby wolno było obchodzić święta i ceremonie wedle starego kalendarza, »dopóki porównanie albo zgoda jaka między ich patriarchami a Stolicą rzymską około tego nie będzie«²⁾. Gdy zaś Bałaban, władca lwowski, wniósł żałobę na arcybiskupa Solikowskiego o gwałtowne cerkwi lwowskich zamknięcie, król wyznaczył komisją z najpierwszych dygnitarzy złożoną, którzy powoławszy strony sporne do Warszawy, tę trudną sprawę roztrząsnęli i wydali wyrok, mocą którego arcybiskup zrzekł się wszelkiej zwierzchności nad cerkwiemi, której od czasów Jagiełły arcybiskupi lwowscy używali, Bałaban zaś odstąpił od dalszego swojej sprawy dochodzenia³⁾.

Wrócił pokój, ale stary kalendarz pozostał. W lat dziesięć później (1595), gdy władcy ruscy, Pocij i Terlecki, zjechali do Krakowa, aby porozumieć się z królem, nuncyuszem i celniejszymi dostojnikami około Unii z Kościołem rzymskim, położono im między innymi warunek, aby kalendarz nowy przyjęli. »Oddawna bowiem (pisze Zygmunt III, w swoim obwieszczeniu) widząc w państwach naszych, między poddanymi naszymi, tak w wierze jako i w ceremoniach a najwięcej w kalendarzu i odprawowaniu świąt wielką różność, napominaliśmy duchownych, zwłaszcza starszych wiary greckiej,

¹⁾ 21. stycz. 1584. r. — Tamże, str. 280.

²⁾ 20. lut. 1582. Harasiewicz, *Annales Ecclesiae Ruthenae*. Leop. 1861. str. 224.

³⁾ 15. lut. 1582. Zubrzycki, *Kronika miasta Lwowa*, str. 210.

wielebnego Metropolitę i Episkopów, abyśmy ich do tej zgody z Kościołem rzymskim skłonili«¹⁾).

Twardym ten warunek się wydawał; poddali mu się w końcu władcy, chociaż z pewnem zastrzeżeniem. »Kalendarz nowy, jeżeli według dawnego zwyczaju być nie może, przyjmiemy, tak jednak, aby porządek i sposób odprawiania paschy, a także święta nasze, jakieśmy ich za trwającej jedności używali w całości i nienaruszone pozostały«²⁾). Z tem pojechali do Rzymu, ale wnet doszła ich wiadomość o burzy, którą Ostrogski przeciw pojednaniu z Rzymem w całej Rusi wywoływał; przełękli się jej i na kalendarz przystać już nie śmieli. Bacząc na te trudności, Klemens VIII nalegać nie kazał, a podobnież i innych wyznawców Kościoła wschodniego w sprawie kalendarza uspokoić polecił. Nie ulega wątpliwości, że władcy rusczy śmielszymi byłiby w tym punkcie, gdyby Unia podówczas mniej licznych i mniej potężnych znajdowała przeciwników; ale słysząc z kraju, jak ciężki czeka ich bój, nie chcieli utrudzać zbyt trudnej i bez tego sprawy dla rzeczy niekoniecznie z jednością Kościoła związanych. I nie omylili się w swem przewidzeniu, zaraz bowiem przy zjechaniu się na Synod brzeski (1596), podniesiono przeciw nim skargę, że poświęcają stary kalendarz wbrew dawnym kanonom greckim i świeżym dekretom króla Stefana³⁾). Cokolwiek bądź, faktem jest, że w żadnym akcie urzędowym, czy papieskim, czy królewskim, zawarcie Unii ogłaszającym, nie znajdujemy wzmianki o kalendarzu nowym, chociaż król, jak dopiero widzieliśmy, tak wielką wagę do niego przywiązywał.

I znowu rzeczy pozostały po dawnemu. Toczyła się wprawdzie w pierwszej połowie XVII wieku dość go-

¹⁾ 30. lipca 1595. r. Harasiewicz s. 185.

²⁾ Theiner, Monumenta Poloniae, III, 234.

³⁾ Harasiewicz, Annales. s. 232.

rażać około kalendarza dyskusya. Byli biskupi, jak Gębicki, którzy tę sprawę żywo brali do serca i opór Rusinów próbowali przełamać; byli uczeni, jak Broscyusz, którzy gwałtownym wykładem błędy rachunku w kalendarzu juliańskim wykazywali; byli nawet kapłani ruscy i Bazylianie, jak Kassyan Sakowicz, którzy i pismem i słowem duchowieństwo ruskie starali się nakłonić do przyjęcia gregoryańskiej reformy; ale w sprawach oficjalnych, tak kościelnych jak świeckich, już ta sprawa poruszona nie była. Ani za Władysława IV, tak płodnego w swych pomysłach około zjednoczenia różnowierców, ani za Jana III, tak przezornego w swoich staraniach o cerkiew, nie znajdujemy żadnej wzmianki o kalendarzu. Widocznem było, że kiedy o ścianę czuć było schyzmę tak potężną, nie chciano Rusinów w wierze nie dość utrwalonych w tamtą stronę popychać. Na Sejmie czteroletnim mówiono o potrzebie zmiany kalendarza, podczas gdy się zabierano do naprawy stosunków ruskich, ale wniosek cofnięto z obawy, by nie przyczynić trudności metropolicie świeżo do Senatu wprowadzonemu. »Nie nakładajcie mu tego warunku — odpowiedziano roztropnie wnioskodawcy — bo Rusini wam powiedzą: *dlatego zrobiliście go senatorem, aby odmienić kalendarz, a nas przerobić na Polaków.*

I tak znów rzeczy pozostały po dawnemu, aż do dzisiejszego dnia. Temu dwa wieki, kiedy protestanci niemieccy odgrążali się, że od papieża nigdy takiej reformy nie przyjmą: »tu nie chodzi o papieża, odpowiadał im Keppler, ale o słońce, z którym jesteście w niezgodzie«. Protestancka zaciętość minęła, nowy kalendarz wszędzie przyjęli; Rusini słyszeć o nim nie chcą. Czemu tak, jaka przyczyna ich odmowy? Przedewszystkiem, usposobienie narodów wschodnich, które zmian nie lubi, kocha się w dawnych zeszytniałych formach, przeczuwa w nich jakąś siłę tajemniczą, nawet wtedy, gdy tam

życia i prawdy już nic nie ma. Niechaj będzie, jak bywało. Z takim usposobieniem nie wytrzymają walki racye czysto rozumowe, ono nie troszczy się o matematykę i o bieg słoneczny, a tem więcej, gdy mu w pomoc przychodzą inne jeszcze uczucia. W XVII wieku, gdy się spierano, który kalendarz jest lepszy, mówili Rusini do Polaków: »ustąpcie pięć dni, my tyleż ustąpimy, a tak będzie zgoda«. Gdym pewnego księdza ruskiego zapytał, co ich zatrzymuje przy dawnej rachubie, której błąd dobrze rozumieją i niedogodności czują sami najdotkliwiej, odpowiedział mi: »To nie może być, abyśmy wam w tem ustąpili; nasz chłop powiedziałby odrazu: *już nie ma świąt ruskich, są tylko polskie; ciężka nasza dola!*

Powiadają, że chłop ruski tak się zrosł ze swym kalendarzem, że on mu służy za barometr i wskazuje, kiedy ma siać, kiedy kosić, kiedy żniwa rozpoczynać. Ależ i na Mazurach znają się z tym barometrem, a to nie przeszkadza, że kiedy wcześniejsza lub późniejsza nadejdzie wiosna, trzeba innego posłuchać barometru. Powiadają dalej, że Rusini nie mogą odstąpić od starego kalendarza, dopóki trzymać się go będzie znaczna ich większość za kordonem. I to słaby argument. Wiadomo, że w roku 1800 cesarz Paweł zmusił Polaków w prowincjach zabranych do przyjęcia juliańskiego kalendarza, a jeszcze nikomu nie przyszło na myśl utrzymywać, iżby ta zmiana jakąś różnicę istotną między nimi a nami sprawiła. Więc są to wszystko racye, które się naprzód stawia, kiedy się nie chce powiedzieć, o co idzie właściwie. Chłop ruski nie jest wcale tak ciemny, iżby niepodobnem było księżom i ludziom wykształconym na Rusi przekonać go, że w rachubie kalendarzowej nie Polakom trzeba ustąpić, lecz słońcu. To nie jest wcale nieprzepartą zawadą i są inne, o których się nie mówi i te właśnie trzeba znać i mieć na pamięci.



Ruś lęka się wszystkiego, co zmniejsza jej odrębność, co usuwa różnice, co może zbliżyć ją do Polaków. I alfabet ruski, jakkolwiek nieczytelny, i kalendarz juliański, jakkolwiek nieprawdziwy, mają w jej oczach wielką, narodową ważność, bo są wałem ochronnym, który ją broni — od spolszczenia! Spolszczenie Rusi, to jest główne niebezpieczeństwo, aby się przed niem zasłonić, nie ma i nie może być dość wielkiej ofiary; wobec tej groźby, wciąż nad Rusią w jej mniemaniu wiszącej, wszystkie inne względy znikają, zniknąć muszą. Ruś nie przyjmie ani alfabetu łacińskiego ani gregoriańskiego kalendarza, dopóki się nie utwierdzi w przekonaniu, że jej odrębność narodową uszanować chcemy. Sprawa kalendarzowa jest tylko jednym ogniwem w tym długim łańcuchu spornych kwestyj; traktować jej osobno nie można; Rusini nigdy na to nie przystaną; a czego nie dokazał Batory mimo swej potęgi, czego nie wymogły na nich dwie tak wielkie powagi, jak Klemensa VIII i Zygmunta III, do tego i my ich pewno w dzisiejszej słabości nie nakłonimy. Wszelki nacisk z naszej strony może tylko wzmocnić ich opór i wzajemne rozdrażnienie zaostrić.



II.

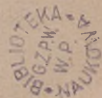
Ś. p. ks. Piotr Semenenko ¹⁾,

jenerał OO. Zmartwychwstania Pańskiego.

Każdy z czcigodnych Współbraci naszych był dotknięty bezwątpienia głęboką boleścią, posłyszawszy o śmierci jeneralnego przełożonego OO. Zmartwychwstania Pańskiego, ale być może, że nie każdy miał sposobność poznać bliżej szerokie pole działania zmarłego i jego wyjątkowe dla Kościoła i narodu zasługi. To przypuszczenie nasze nikomu nie czyni ujmy, bo ś. p. O. Semenenko żył przeważnie za granicą i w rzadkich tylko odstępach u nas się zjawiał.

Bez przesady twierdzić możemy, że ś. p. O. S. był jedną z najznakomitszych postaci za dni naszych; głowa, obdarzona bardzo wysokimi i bardzo rozmaitemi zdolnościami, a wzbogacona ogromnym zasobem wiedzy. Pisał biegle i poprawnie po łacinie, po francusku, po włosku, a rzecz doprawdy zdumiewająca, że przy tem wszystkim pisma jego i mowy polskie miały tyle czystości i jędrności rodzimej. Być zarówno panem swego, jak i obcych języków, i nigdy nie popaść w cudzoziem-

¹⁾ Drukowane w piśmie lwowskim *Bonus Pastor* z roku 1886.



skie wyrażenia, to rzecz arcytrudna i rzadka. Umiał przy tem nieboszczyk dobrze po grecku, po niemiecku, po rosyjsku, a także i starosławiański język posiadał. Ta znajomość języków wschodnich była przyczyną, że mu Kongregacye rzymskie, a zwłaszcza Propaganda, powierzały do wypracowania referaty, wymagające także dobrej znajomości historii Kościoła wschodniego, jego praw i urządzeń. Prace jego, na tem polu podjęte, nie doszły nigdy do szerszej publiczności, przeznaczone jedynie dla kardynałów lub konsultorów Kongregacyj, tylko w szczupłej liczbie egzemplarzy były drukowane. Powołany na konsultora Kongregacyi Indeksu, a następnie zaszczycony wezwaniem do najwyższej rzymskiej *Kongr. S. Officii*, której sam Papiież prezyduje, i w której rozstrzygają się najtrudniejsze wypadki, dotyczące tak dobrze sumień ludzkich, jak zarządu Kościoła, miewał każdego roku do wypracowania kilka trudnych i nader ważnych referatów, o których jednak żadna wiadomość nas nie doszła, bo członkowie Kongregacyj związani są przysięgą do zupełnej o swem działaniu tajemnicy. Z pism jego łacińskich wspomniemy tylko o wydanej podczas Soboru watykańskiego książce: *O nieomyślności papieskiej*, która w wysokim stopniu zainteresowała Piusa IX, gdyż autor potrafił znaleźć nowe myśli i argumenta na korzyść tego dogmatu, pomimo, że przedmiot był przez tylu znakomitych ludzi i tylokrotnie rozbierany. Z francuskich pism podniesiemy książkę, wytykającą błędy przeciw wierze w znanej doktrynie Towiańskiego, napisaną i ogłoszoną z rozkazu Kongregacyi Indeksu. Streszczenie tej pracy obszerne podał w swoim czasie dawny *Przegląd poznański*, i ona to ściągnęła stałą niechęć sekty Towiańskiego na autora, a następnie na całe Zgromadzenie. Twórca i redaktor *Przeglądu poznańskiego*, mąż wielkich zasług, ksiądz prałat Koźmian, był wielce troskliwy

o współpracownictwo ks. Semenenci dla swego pisma. Tam też okazało się ich najwięcej, a odnosiły się do bardzo wielu przedmiotów, bo były i traktaty filozoficzne i rozbiory ascetyczne i badania lingwistyczne nad językiem polskim. Umysł niezmiernie oryginalny i twórczy; Semenenko, czego się tknął, w każdej rzeczy coś nowego znalazł. Mniej mu chodziło o ten lub ów szczegół, jak raczej o ujęcie ogólne, syntetyczne całego przedmiotu, który zawsze wiązał z swoim systemem filozoficznym.

Głęboki znawca dusz ludzkich wybornym był spowiednikiem, a ktokolwiek jego zakosztował duchownej dyrekcyi, już się z inną nie łatwo mógł zgodzić, i zawsze pragnął powrócić do swego ukochanego Ojca. A kiedy się pomyśli, jak wielka ilość Polaków zamieszkiwała w ciągu ostatnich 40 lat w Rzymie, przez miesiące zimowe, i jak wielu innych spotykał on po różnych miastach europejskich wśród swoich corocznych niemal wycieczek, to zrozumieć można, ile czasu zabierało mu nieustannie to ś., a mozolne zadanie kierownictwa dusz, zwłaszcza że penitenci nie przestawali na zetknięciu się osobistem, ale i po odjeździe pilną utrzymywali korespondencyą i nieustannemi zasyłali go pytaniami. W tem wszystkim O. Semenenko niewypowiedzianej był cierpliwości. Piszący te słowa miał sposobność widzieć go nieraz, jak po dwie i trzy godziny w konfesyonale biedził się z jakimś skrupulatem, aby mu stan duszy jego wytłumaczyć i dać światło do rozjaśnienia męczących, a właściwie mówiąc, nic nie znaczących wątpliwości lub wyrzutów. Kiedy bracia zakonni zwracali uwagę Semenenci, że próżno się biedzi, boć to wiadomo z wiekowej praktyki spowiedniczej, że skrupulata niczem nie uspokoi, chyba, że się zwiąże ślepem posłuszeństwem — on odpowiadał, że go te racye nie przekony-

wują, że jeżeli się z skrupulatami nie udaje, to czy nie dla tego, że spowiednikom może brak cierpliwości, choć prawdą jest, że trzeba ją posiadać w stopniu heroicznym.

Ks. kanonik Pelczar, w swoim wybornem dziele *Życie duchowne* czyli *doskonałość chrześcijańska*, przyznaje, że co w niem jest nowego, to wziął z konferencyj ascetycznych O. Semeneni, którego miał szczęście słuchać, będąc uczniem Kollegium pol. w Rzymie. Jesteśmy przekonani, że pomimo to piękne wyznanie, zasługi O. Semeneni na polu ascezy i pobożności katolickiej bardzo jeszcze mało światu chrześcijańskiemu są znane. Jestto raczej zadaniem Zgromadzenia OO. Zmarłychwstania Pańskiego, w pismach i działaniu swem wykazać to światło i tę siłę, którą im system ks. Semeneni zapewnił. Trzeba na to czasu, i nie wątpimy, że wcześniej lub później znajdzie się w tem Zgromadzeniu jakiś godny uczeń wielkiego Mistrza, który potrafi zorientować się w stosie papierów, rozpoczętych lub naszkicowanych traktatów, albo obrobionych już pewnych rozdziałów i przedstawi w całości ten system filozoficzny i ascetyczny Semeneni, któremu liczne zajęcia jenerała zakonu i konsultora rzymskich Kongregacyj nie dozwalały nigdy dłuższego czasu, aby rzecz wykończoną ułożyć.

Ś. p. nieboszczyk ceniony był wysoko przez zmarłego papieża Piusa i przez terażniejszego Leona. Mówiono wielokrotnie w Rzymie, że ma być powołany do ś. Kollegium kardynałów. Jeśli do tego nie przyszło, to bodaj czy nie w tem należy szukać przyczyny, że Semeneni nie tylko był Polakiem, ale żołnierzem z r. 1831, i że z emigracyi przyjechał do Rzymu. Kto wie, jak skrzętnie ambasady obce wywiadują się w Rzymie o każdą decyzję Stolicy apostolskiej i jak zręcznie rzucają słówka niepokojące z tą intencją, aby doszły na

miejsce swego przeznaczenia, ten się nie zdziwi temu, cośmy wyżej powiedzieli. Dość tu przypomnieć, że *Moniteur de Rome* uważał za konieczne, tłumaczyć Papieża przed Dworami z tej świeżej decyzji, przez którą Kollegium grecko-ruskie oddane zostało OO. Zmartwychwstańcom. Nie omieszkano wyrażać zadziwienia, jak można było Kollegium, mające służyć dla całego Wschodu, poruczać zakonnikom jednej narodowości, i to tej właśnie, której interesa na Wschodzie w otwartym są antagonizmie z innymi. Odbijając te zarzuty, *Moniteur de Rome* musiał tłumaczyć, że OO. Zmartwychwstania Pańskiego nie składają się wcale z jednej tylko narodowości, że żaden zakon nie może być wyłącznie narodowy, bo tem samem straciłby tę cechę uniwersalności, która zeń tworzy instytucję Kościoła. Tak OO. Zmartwychwstania Pańskiego — kończy ten dziennik — mają w swym gronie ludzi z tych wszystkich narodowości, wśród których i dla których pracują, zatem Bułgarów, Włochów, Francuzów i prócz Amerykanów, amerykańskich Niemców, Holendrów i Irlandczyków.

Każdy naród katolicki o tyle tylko dochowa swej czerstwości i siły, o ile się utrzyma w ciągłym synowskim stosunku z Głową Kościoła. Ten stosunek odnawia się i zachowuje nie tylko przez urzędową zawisłość dygnitarzy Kościoła od Rzymu, ale i przez osobiste zetknięcie się ludzi wybitniejszych w narodzie z Rzymem. Powiedziano trafnie, że katolik uzupełnia i wykończy swoje wychowanie religijne dopiero w Rzymie. Stosunek Polski z Rzymem aż do połowy XVII wieku był nieustający, a bardzo ożywiony. Nie znano wówczas biskupów, którzyby przez długie lata rządili dyecezyą bez pielgrzymki *ad limina Apostolorum*, a oprócz tego rzadki był młodzieniec senatorskiego rodu, któryby nie poczytywał sobie za konieczne ucałować stopy Ojca św.

i pomodlić się przy grobie księcia apostołów. Ustało to w wieku XVIII, a tak dobrze ustało, żeśmy za naszych czasów znali ludzi głośnego imienia, którzy odbywszy podróż z wielką pilnością po całych Włoszech i przepędziwszy kilka tygodni w Stolicy Piotrowej, nie wpadli na myśl pokłonić się Papieżowi i przyznawali się naiwnie, że nawet nie wiedzieli, kto był wówczas Namiestnikiem Chrystusa. Było to nie dawniej, jak za pontyfikatu Leona XII. I nie mogło być inaczej w naszym stuleciu, kiedy biskupi, choć wykształceni bardzo, niektórzy nawet głośnego na Parnasie imienia, słabej byli wiary, a duchowieństwo świeckie, mało pobożne, nie przyświecało przykładem życia, zakonne zaś tak zaniedbane, że nie pamiętamy czy były w Polsce w wieku XIX zakony, obserwujące ściśle swoją regułę. I Episkopat, i kler świecki, i ludzie świeccy w wyższych sferach żyjący, utonęli przeważnie w łożach masonskich. Nie troszczono się o Papieża w czasach, kiedy bóstwem tej ziemi był francuski Cezar zwycięski. Roku 1831 jeszcze było gorzej. Encyklika Grzegorza XVI w. r. 1832 do biskupów polskich, w skutek usilnego nalegania Mikołaja napisana, wpłynęła bardzo na oziębienie serc polskich dla Stolicy apostolskiej. Rząd rosyjski bardzo podstępnie w pismach sobie oddanych, przedstawiał Polakom, że Stolica ś. potępiła ich usiłowania odzyskania niepodległości (o czem w encyklice nie ma ani wzmianki), że po takiej nauce, Polacy powinni by wiedzieć, czego mogą spodziewać się od Papieża i raz przecie wejść na tę drogę, aby nie utrudniać sobie stosunku z swym prawowitym monarchą Mikołajem, drażniąc go bez potrzeby i bez pożytku swoim odwoływaniem się do Rzymu. Cesarz Mikołaj tak był pewny skutków tej encykliki w Polsce, właściwiej mówiąc, tak mocno liczył na skuteczność własnych komentarzy, które do niej dodał, że zawezwawszy pod koniec roku 1833 (po wypra-

wie Zaliwskiego) biskupów z Królestwa do Petersburga, nie wahał się im oświadczyć, że gotów będzie przywrócić Królestwu konstytucyjne i narodowe instytucje, które nadał im brat jego Aleksander, ale poufnie dołożył warunek, aby biskupi polscy oderwali się od Stolicy apostolskiej i utworzyli między sobą osobną, a najwyższą dla własnego Kościoła władzę. Dodajmy na chwałę ówczesnego Episkopatu, że nie znalazł się ani jeden w tem gronie, coby się choć na chwilę zawahał, jak ma odpowiedzieć na tę zdradziecką propozycją, i że sama myśl, iż ktoś śmiał insynuować im coś podobnego, taką im się wydała obelgą, iż rzecz przez długie lata w zupełnej dochowano tajemnicy.

Usposobienie emigracyi pod względem religijnym było o tyle gorsze od krajowego, że ludzie młodzi, upadkiem ojczyzny prawie do rozpacz przywiedzeni, znajdowali natrętnie podawaną im pociechę i nadzieję w przeróżnych stowarzyszeniach politycznych i antyreligijnych, któremi wówczas przepełnioną była Francya. Po zakładach (*depots*) departamentowych, dokąd rząd rozesłał pocziwych wiarusów emigracyjnych, wysłani z Paryża emisaryusze uczyli żołnierzy i młodzież zasad rewolucyi francuskiej, kazali się im kształcić na przykładzie Konwentu. To też w niejednym zakładzie na wzór tegoż Konwentu wzięto pod głosowanie kwestyą: Czy jest Bóg, czy też go nie ma? I w takim to usposobieniu pocziwej, ale bardzo niewytrawnej rzeszy emigracyjnej znalazł się człowiek, który wziął sobie za zadanie, wyszukiwać w tej gromadzie wiecznie dyskutującej młodzieży, ludzi zdolnych, gotowych do ofiary, a dobrej woli, aby ich przekonywać o czczości i niebezpieczeństwach zasad rewolucyjnych i nakłaniać ich powoli do życia, zgodnego z wiarą i przepisami Kościoła. Każdy wie, że mówimy tu o nieocenionej pamięci Bogdanie Jańskim, pierwszym pokutniku i wyznawcy Ko-

ścioła na wychodźstwie. On to, upatrzawszy sobie Semenenkę, Kaysiewicza i kilku innych, wpłynął na nich do tyła, że wzięwszy rozbrat z gadatliwą, a w gruncie próżniaczą polityką emigracyjną, zabrali się szczerze do nauki, do głębszych studyów nad wiarą i Kościołem, i że mieli odwagę, pomimo szyderstw i prześladowań, jakie na nich spadały, głosić się wierzącymi i wiernymi katolikami. W Solesmes, w świeżo odrodzonym monastyrze benedyktyńskim, pod kierunkiem słynnego Dom Guerangera, odbyli całomiesięczne rekolekcyje, a że współcześnie cesarz Mikołaj rozpoczął był w Królestwie i prowincjach zabranych na wielką skalę zamykanie kościołów i cerkwi unickich, oraz kasowanie klasztorów, nasunęła się im myśl, iżby w miejsce tylu zniszczonych przybytków Bożych stworzyć na emigracyi choć jeden. Postanowili tedy zostać księżmi, a nadto związać się w zakon, mający na celu dźwignąć przez wiarę narody, a przedewszystkiem własną ojczyznę. Właśnie Grzegorz XVI oświadczył był h. r. Wład. Zamoyskiemu, że przyjąłby chętnie do kolegiów rzymskich kilku młodych Polaków, którzyby chcieli oddać się studjom teologicznym. Z tego oświadczenia postanowili zaraz korzystać nasi młodzi kandydaci. Wprawdzie Papież miał na myśli takich, którzyby wyświęciwszy się na księży, mogli wrócić do kraju i tam z całym zapasem swej wiedzy i gorącością nabożeństwa służyć rodakom, ale o tym warunku papieskim Kaysiewicz i Semenenko nie wiedzieli.

Przybywszy do Rzymu, znaleźli kolegia papieskie dla siebie zamknięte, i to ich zmusiło nając osobne mieszkanie, i w niem się urządzać trybem zakonnym. Mieszkańcąc razem i żyjąc po zakonnemu, chodzili na studia teologiczne do *Collegium Romanum*. Wyświęceni na kapłanów w r. 1841 w katakombach św. Wawrzyńca, przystąpili zaraz do sformułowania swojej reguły. Na-

rady trwały przez Wielki Tydzień. I już rzecz była ukończoną, gdy w nocy z wielkiej Soboty na Niedzielę jeden z nich postawił pytanie: »Oto mamy już regułę gotową i domek klasztorny, choć ubożuchny, już złożony, ale dotąd nie pomyśleliśmy o tem, jak się będziemy nazywali?« Różne posypały się wnioski, lecz żaden nie zyskał większości. W tem jeden z obecnych zawołał: »Czemu się troszczymy, kiedy Pan Bóg sam tę wątpliwość rozstrzyga. Oto już północ minęła. Za chwilę Bóg zmartwychwstanie. Nazwijmy się więc na tę pamiątkę Bracia Zmartwychwstania Pańskiego«. Myśl przyjęto z oklaskiem i zapisano do reguły, która w kilkanaście lat potem pierwszą aprobatę pozyskała. Na tej pierwszej Kongregacji generalnej Semenenko był wybrany generałem zakonu. Wybór bardzo zaszczytny dla niego, bo świadczył jak dalece Bracia uznawali przewagę jego rozumu i zdolności, ale zdaje nam się, iż dziś będzie już wolno powiedzieć, iż ani dla niego, ani dla Zgromadzenia nie był zupełnie korzystnym. Semenenko, myśliciel niepospolity, był człowiekiem teorii, zawsze skłonny każdą rzecz rozważać ze wszech stron, zbytkiem światła i rozumu był często niezdecydowany i męczył się i trudził tam, gdzie człowiek daleko niżej od niego stojący, z pomocą tylko prostego rozsądku od razu jasno rzecz widział. Rządy zakonu były z jego strony wielkiem poświęceniem, które go odwodziły od ulubionych mu zajęć, a poświęcenie to nie dawało tej pociechy, jaką ma człowiek czynu na widok, że myśl jego rozwija się, jak ją pragnął i jak Pan Bóg dał mu ją widzieć. Człowiek wielkiej wiary O. Semenenko był najmocniej przekonany, że Zgromadzenie jego wyszło z woli Bożej. Ufał więc, że Ten sam, co je utworzył, Ten sam je utrzyma. I nigdy nie troszczył się o środki do życia dla rosnącej wciąż zakonnej rzeszy. Wpadał stąd w kłopoty finansowe, które

go zmuszały do odległych często podróży i do wstrętnej mu żebraniny. Wszystko to rozrywało jego umysł i nie dozwalało dokończyć żadnego z większych dzieł, które miał na warsztacie. Nie raz trapił się tem, że umrze i nie wyłoży jakby pragnął swego systemu filozoficznego, na którym opierał swą metodę prowadzenia dusz. Te obawy ziściły się, odkąd po śmierci Kaysiewicza obrano go dożywotn im generałem. Od tej chwili już tylko dorywczo mógł brać się do pióra, a działało się to zwykle w ten sposób, że zobowiązał się w jakim mieście do szeregu nauk i te nauki chciał i musiał przygotować na piśmie, pod naciskiem danego przyrzeczenia. W taki sposób ukazała się ostatnia jego praca: *Credo*, nad którą pracował przez całą zimę 1884 i 1885 r. I mając te nauki już spisane, wypowiedział je ze zwykłą sobie jasnością, powagą i siłą. Mowcą w ścisłem znaczeniu tego słowa nie był, wszędzie i zawsze przeważała w nim refleksya i nawet imaginacya tak była ciężarem wiedzy przyciśniętą, że bez całego aparatu wniosków i konkluzyj filozoficznych kroku naprzód ruszyć nie śmiała. Pojąć łatwo, że w tych warunkach mowy jego, choć ujmujące pięknnością dykcji i języka, zapalić ani porwać nie mogły. Zrodzone długim namysłem i będąc owocem silnego przekonania, trafiały do głowy, zmuszały do myślenia, mogły uformować silne przekonanie, ale nie potraçały o serce, a tem bardziej imaginacyi żadnego nie przedstawiały pokarmu. Dla czytelnika są pięknym i pożywnym pokarmem, dla słuchacza ciężkim. W ogóle miał on więcej talentu konferencyonisty, niż kaznodziei; chociaż w Rzymie przy wielkich uroczystościach powoływano go do kazań we włoskim języku w bazylice św. Andrzeja i innych.

 Nie wspominaliśmy dotąd o zasługach nieboszczyka w założeniu Kolegium polskiego. Ale rzecz to już

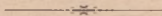
znana. I aby tego wspomnienia zbyt znacznie nie rozciągać, do jednej tylko ograniczymy się uwagi. Kolegia narodowe były w Rzymie przez różne państwa od wieków fundowane. Bo każdy naród katolicki dbał o to, aby mieć pewną ilość kapłanów w Rzymie wedle zasad Kościoła gruntownie wykształconych i duchem rzymskim przejętych. Smutno powiedzieć, że Kolegium polskiego nie było, że żaden z królów polskich, ani z przemożnych wówczas biskupów o tem nie pomyślał, czy też wykonać nie mógł. Tem dziwniejszą przeto zdaje się być rzeczą, że, czego nie zrobiono za czasów potęgi i świetności, tego dokonał rodzący się dopiero ubożuchny zakon, który nigdy nie wiedział, czem potrzeby swego dnia opędzi. Myśl założenia kolegium tkwiła w Zgromadzeniu od lat kilkunastu. Ojciec Jełowicki ofiarował na nie wszystkie pieniądze, które mu złożono na zbudowanie kościoła polskiego w Paryżu (około 90.000 fr.). Ale to była suma zbyt drobna na tak wielką instytucję. Powzięto myśl utworzenia 20 stypendyów po 1.200 fr. rocznie z kapitałem złożonym w gotówce 25.000 fr. I O. Semenenko z tą niezachwianą ufnością w pomoc Bożą, która go zawsze cechowała, puścił się na zbieranie ofiar w Poznańskie i do Galicyi w najkrytyczniejszej chwili, jaka być mogła, bo w roku 1863. Nie dość, że w owym czasie umysły wszystkich w inną zupełnie stronę były zwrócone, ale nadto wszyscy tak byli zmęczeni nieustającymi, a z widoczną kraju szkodą używanymi składkami, że sam widok przychodzącego po ofiary budził nieufność i odrazę. Wszystko to jednak O. Semenenko potrafił przemódz, albo raczej wymodlić. I udało mu się w owym roku w Wielkopolsce i w Galicyi zebrać 8 stypendyów skapitalizowanych, lub zabezpieczonych w sposób niewątpliwy. Gdy powrócił do Rzymu i zdał o tem sprawę Papieżowi, ta ofiarność kraju tak ujęła Piusa IX, że chociaż wkrótce potem nie-

które ambasady najusilniejsze czyniły przedstawienia, aby Kolegium polskiego w Rzymie nie zakładać z tej racyi, że nie będzie zostawało pod opieką żadnego z rządów, jak inne, które są w Rzymie, Pius IX nie chciał słyszeć o tych zarzutach, a gdy kardynał Antonelli ośmielił się je popierać, Pius zawołał: »O cóż ci chodzi, czy o to, że tutejsi Polacy nie mają własnego rządu, więc ja będę im rządem, niechże to będzie Kolegium polskie papieżkie«. Przed tą energiczną decyzją Papieża umilkli wszyscy. I kolegium polskie nazywało się odtąd papieżkiem i miało wszystkie przywileje do tej nazwy przywiązane.

Jenerałowie OO. Zmartwychwstania Pańskiego byli dawniej wybierani na lat 7, a reguła wkładała na nich obowiązek, iżby każdy podczas swego septennatu wszystkie domy Zgromadzenia osobiście zwiedził. To zmuszało jenerałów do corocznych, bardzo odległych i męczących podróży. Domy Zgromadzenia są w Bułgarii, Galicyi, we Włoszech, we Francyi, Kanadzie i w Stanach Zjednoczonych, (w Chicago, w Kentucky). Każda z takich podróży musiała oczywiście zająć kilka miesięcy, zwłaszcza, że i czasu trzeba było nie mało, aby się w domu dobrze rozpatrzyć. O. Semenenko miał pod tym względem o tyle utrudnione zadanie, że obowiązki konsultora ś. Officyum i Indeksu dopiero z końcem sierpnia każdego roku ustawały. Wcześniej więc niż we wrześniu z Rzymu wydalić się nie mógł. Przyzwyczajony do klimatu rzymskiego i niezmiernie przytem drażliwy na zimno, w każdej tej podróży ponosił ciężki szwank na zdrowiu i kilkutygodniową chorobą zazwyczaj odpłacał. Im więcej lat przybywało, tem bardziej czuć się dawały te niedogodności. To też i w tym roku dopiero w połowie września mógł wyjechać do Francyi. Oprócz zwiedzenia domu paryskiego, miał jeszcze inny

cel. Muncypalność rzymska, pragnąc na wzór tegoczesny wyprostować ulice Wiecznego Miasta, postanowiła zburzyć cały szereg domów koło ś. Klaudyusza, a między nimi i dom będący własnością ambasady francuskiej, który od lat 40 zajmowali OO. Zmartwychwstania Pańskiego. Wypowiedziano im mieszkanie. Trzeba było pomyśleć o nowem. I O. Semenenko z tą żywą wiarą, która go nigdy nie opuszczała, postanowił kupić na rzecz Zgromadzenia dom obszerny pod *Monte Pincio* z ogrodem za sumę 350.000 franków. Myślał długo, modlił się jeszcze więcej i kontrakt zawarł; znaleźli się na razie dobrodzieje, którzy pożyczili koniecznego funduszu na pierwsze spłaty i koszta urządzenia. Ale czując się już u schyłku życia, bał się tego ciężaru, który następcy swemu zostawi, iż tenże będzie musiał objąć zarząd Zgromadzenia, obciążonego krociami długów, a bez żadnego stałego dochodu. W tym celu postanowił odwiedzić swych dawnych znajomych we Francyi i do ich miłosierdzia zapukać na rzecz polskich zakonników. Jakim skutkiem te jego starania były uwieńczone, nie wiemy. Pod jednym wszakże względem spełniły się jego przewidywania. Obawiał się, że przy zbliżającej się jesiennej porze podróż jego po Francyi może wpłynąć na jego zdrowie szkodliwie, ale się przed tem nie cofnął. Już mocno przeziębiony, przyjechał do Paryża. Proszony od rodaków o kilka nauk, nie chciał się wymawiać. I zaledwo ich dokończył, dostał silnego zapalenia płuc, nie brakowało oczywiście pomocy najznakomitszych paryskich lekarzy, ale wszystko pokazało się daremnem. Umarł dnia 18. listopada wieczorem, o godzinie 9-tej. Można z całą słuszością powiedzieć, że legł jak żołnierz na placu boju. Zgodnie z wolą zmarłego, OO. Zmartwychwstania Pańskiego, zdążający z Ameryki do Rzymu na kapitułę Zgromadzenia, zdecydowali

odwieźć zwłoki O. Semeneki do Rzymu, i pochować je na wspólnym Zmartwychwstańców cmentarzu. Tam więc on spocznie obok Jańskiego, Kaysiewicza, Witwickiego, Bentkowskiego, Jełowickiego, Kaczanowskiego i innych, i razem z nimi oczekiwać będzie zmartwychwstania Pana, które przez całe życie swoje na tym świecie głosił.



III.

Internat ruski XX. Zmartwychwstańców we Lwowie.

Dnia 25. z. m. ¹⁾ JMć. X. Albin Dunajewski, biskup krakowski, poświęcił we Lwowie kamień węgielny domu, który ma służyć za internat dla młodzieży grecko-katolickiego obrządku. Nowa to i niewidziana dotąd w kraju naszym instytucja; a że zmuszona jest liczyć na energiczne poparcie szerszej publiczności, koniecznym przeto zdaje się wytlómaczyć, jakie są przyczyny, które ją wywołały, jaki jej cel i jakie znaczenie.

Niema podobno nikogo na całym obszarze dawnej ziemi polskiej, coby nie był słyshał o opłakanym stosunku ludności polskiej i ruskiej w Galicyi, o uprzedzeniach i niechęciach wzajemnych, jakie pośród nich panują, i o walce, która między jednej ziemi mieszkańcami objawia się bez przerwy i na każdym polu, tak dobrze religijnem, jak politycznem, a nawet towarzyskiem. Że ten antagonizm dla obu ludności jest w wysokim stopniu szkodliwy, że paraliżuje i udaremnia usiłowania władz, duchowieństwa i obywatelstwa, spokojnie i bezstronnie na rzeczy patrzących, że los Kościoła w tej prowincyi i najdroższe interesa jej mieszkańców na wiel-

¹⁾ 25. września 1881 r.

kie niebezpieczeństwo naraża — to zrozumieć łatwo, roz-
wodzić się nad tem nie potrzeba. Za to nierównie tru-
dniej jest wypowiedzieć, gdzie leżą przyczyny tego roz-
darcia — tak ich jest wiele i tak różnorodne.

Najpospoliciej przypisują u nas to złe wpływowi sąsiednich agentów szymatycznych i panslawistycznych, którzy podburzają Rusinów przeciw Kościołowi katolickiemu i przeciw ludności polskiej. Że tacy agenci byli i są, że ich działalność jest nieuczciwa i zgubna, temu nie przeczymy; ale to jeszcze nic nie tłómaczy i nie od-
krywa początku złego. Boć to nie początek, ale jego następstwo; nie źródło choroby, ale jeden z jej objawów. Do pnia zdrowego robactwo się nie ciśnie; ono tam się lęgnie, gdzie znajduje dla siebie pokarm. Gdyby w Galicyi rola nie była przygotowana pod ów zasiew szymatyczny, toby on tam nie wyrastał, jak nie rośnie wcale w innych ziemiach polskich. Składać winę na obcych a nie widzieć jej u siebie, jestto dobrowolnie łudzić się i zamykać oczy, aby prawdy nie dostrzedz.

Przyczyny złego są głębsze i sięgają odległej przeszłości. Powiedzmy otwarcie: i Polacy i Rusini popełnili niemało błędów we wzajemnym stosunku. Zawiniło obywatelstwo, lekceważąc Unię, nie dlatego, że ruski, ale dlatego, że to »chłopski«, jak mówiono, obrządek. Zawiniło duchowieństwo łacińskie, bogatsze i wykształceńsze, które braci swoich, kapłanów ruskich, nie starało się zbliżyć do siebie, podźwignąć moralnie. Lecz i Rusini bez winy nie byli, a mianowicie ich władcy, którzy przez dwa wieki nie łożyli starania około kleru świeckiego i żadnego dlań nie utworzyli seminarium, spuszczać się w tej mierze na rząd Rzpltej, który do takich spraw ani w łacińskim, ani w greckim obrządku, wcale się nie mięszał. Pozbawiony kierunku duchowego, a nieraz i elementarnych wiadomości z teologii, kler świecki zapełniał się przeważnie ludźmi bez powołania;

ci zaś, nie mając pojęcia o świętości swoich obowiązków, niepomni swej odpowiedzialności przed Bogiem, ani o własne wykształcenie nie dbali, ani nie troszczyli się wiele o dusze swych parafian, oddani przedewszystkiem potrzebom doczesnym swych rodzin. W ten sposób Rusini, jakkolwiek sami po większej części byli sprawcami swego poniżenia, niemniej dlatego głęboką choć tajoną żywili niechęć do tych, wobec których poniżonymi się widzieli. Tak było dawniej. Pożądaną a nawet konieczną byłoby rzeczą, aby czyjeś pióro, miłujące prawdę, *sine ira et studio* wykazało te obustronne błędy i niedostatki, tem bardziej, że ich ślady do dziś dnia dotrwały.

Z upadkiem kraju upadła, a przynajmniej zmniejszyła się znacznie przewaga żywiołu łacińskiego. Rusini, pod wieloma względami z Polakami zrównani, uczyli się śmielsi; ich stare niechęci i uprzedzenia wyszły na jaw. I raz jeszcze, ze strony Polaków zaszła ciężka pomyłka, gdy to, co od wieków istniało w ukryciu, poczytali za produkt świeży, zawistną wyhodowany ręką; i znowu na obcych złożono winę, w siebie nie wglądając. Tymczasem przy zmienionych stosunkach i rozszerzonym bardzo polu działania, nastąpiły nowe powody żalów nieufności. Skarżyli się i skarżą Rusini, »że Polacy nie uznają ich praw narodowych, że przeszkadzają rozwojowi ich języka, że tłumią i niweczą ich narodowość«. Polacy odpowiadają na to; »że w kraju, gdzie można modlić się, uczyć się i pracować po rusku, gdzie wszelka korespondencya urzędowa w tymże języku jest dozwolona, gdzie drukarnie i dzienniki ruskie drukują i piszą co chcą, gdzie nawet z de-sek teatralnych patriotyzm szerzyć można ruski, tam trudno doprawdy uwierzyć w istotne pokrzywdzenie ruszczyzny. Bodajby Polacy i Rusini innych krzywd nie cierpieli pod sąsiedzkim rządem!... Skargi to nieszczerze (mówią dalej niektórzy Polacy), jak nieszczerem u wielu Rusinów ich związek

z Rzymem, nieszczerem ich przywiązanie do ruskiej narodowości. Bardziej oni kochają swój obrządek niżli wiarę, bardziej nienawidzą Lachów, niż kochają ojczyznę. W tych warunkach przyznawać im coś więcej, byłoby to szkodzić polskiemu i ruskiemu żywiołowi razem; dalsze ustępstwa wyszłyby na korzyść nie ich, ale kogoś trzeciego«...

Jak dalece tego rodzaju zarzuty są uzasadnione, w to nam na teraz nie wchodzić; to tylko pewna, że z jednej i z drugiej strony są zakorzenione głęboko, i że je w pismach i na zebraniach publicznych ustawicznie czytać i słyszeć się zdarza. Kto chce więc szczerze obie ludności zaspokoić i pogodzić, nie będzie lekceważył tych żalów, i owszem, musi usuwać nietylko złe prawdziwe, ale i wszelki pozór złego, wszystko, co podejrzenie i nieufność wzniecić może. Nie na toć Bóg osadził Polaków z Rusinami pospołu, aby siebie nawzajem krzywdzili, ale na to, aby żyjąc w bratniej zgodzie dopomagali sobie wzajemnie. Winni Polacy wystrzegać się wszystkiego, co u Rusinów budzi mniemanie, że nie szanują ich ojczyztego języka i zwyczaju; winni Rusini złożyć dowody, że nie do czasu i nie dla pozoru tylko zostają w jedności z Rzymem.

Dość, by te podstawy przyjąć i strzedz ich z obu stron, a zdaniem naszym przyjść musi do zgody. Wprawdzie taka mowa nie trafi do wszystkich, ale trafi z pewnością do ludzi zacnych i dobrej woli; a jeszcze ich, dzięki Bogu, nie brakuje ani u Rusinów, ani u Polaków. Jest w Galicyi niemało wsi, w których znajdują się dwie parafie: łacińska i ruska. Gdzie proboszczowie tych parafij są szczerze katolickiego ducha, mężowie prawi, roztropni i pokój miłujący, tam między parafianami obu obrządków panuje zgoda najlepsza i żadne poddmuchy zewnętrzne nie zdołają zakłócić ich sąsiedniej przyjaźni. Jeżeli się więc znajdzie liczniejszy zastęp księży ruskich,

którzy wiernymi będąc swej narodowości, śmieiej niż dotąd głosić będą i wprowadzać w życie w swoich parafiach zasady katolickie, to przewidzieć nie trudno, że zmniejszy się o wiele Polaków nieufność i walka sama z siebie powoli ucichnie.

Ten jest właśnie cel i to żądanie naszego internatu, o ile drobnemi, prywatnemi siłami tak wielkie zadanie spełnić można. Myśl jego powziął Ojciec Św. Leon XIII. Polecił Zgromadzeniu naszemu otworzyć w Galicyi zakład wychowawczy, w którymby młodzież obrządku grecko-katolickiego, obok gimnazyjalnego wykształcenia, otrzymywała wychowanie gruntownie katolickie i przygotowywała się w ten sposób do nauk teologicznych, jeżeli znajdą się w niej powołania kapłańskie, z którychby następnie gorliwość zacnych Biskupów nieomieszkała korzystać. Ten zamiar Najjaśniejszy Cesarz i Król najżyczliwiej przyjął i ofiarą z własnej szkatuły najmiłościwiej poprzeć raczył. Tak wysokiem i zaszczytnem obdarzeni zaufaniem, rozpoczęliśmy w roku bieżącym pracę naszą, kładąc odrazu przed sobą jako cel niezmienny: zaszczerpić w dziatwie ruskiej, nam powierzonej, głęboką miłość do Rzymu i do wiary świętej, rzetelne przywiązanie do swej narodowości, wdzięczność dla Monarchy, jak to już z samych zasad katolickich wypływa, który Rusinom i Polakom przyznał wspaniałomyślnie ich prawa, a nakoniec braterską życzliwość dla pokrewnego narodu, obok którego żyć i pracować będzie nadal tej młodzieży przeznaczeniem.

Oto cały nasz program i cała »intryga, tak miernie, jak nas oskarżają, ukuta!« Bo chociaż zakład nasz w nader szczupłych zacząty rozmiarach, nie zasługiwał bynajmniej na uwagę publiczną, niemniej przecież od kilku miesięcy spadał na niego grad zarzutów i podejrzeń. Ogłaszano nas jako wrogów narodowości ruskiej, tem zdradliwszych, że pozorami życzliwości kła-

miących. Dzienniki ruskie wytoczyły przeciw nam cały szereg zaskarżeń, na które milczeliśmy, przekonani, że jedynie czas i doświadczenie z tych uprzedzeń wyleczyć potrafią. I dziś jeszcze innej nie dajemy odpowiedzi, jak tylko to stanowcze zaręczenie, że ani polonizować ani latynizować uczniów naszych nie myślimy. Jak pragniemy, aby obcy szanowali naszą narodowość, tak i my narodowość ruską szanować i na chrześcijańskich podstawach rozwijać w naszej dziatwie będziemy. Czem Bóg mieć chce, tem i my Rusinów mieć chcemy.

Atoli i z drugiej strony, ze strony polskiej, obok gorącego wielu osób poparcia, za które serdeczną życzymy wdzięczność, spotkały nas nieliczne zarzuty i ostrzeżenia, że się zrywamy nad siły, że przeciwnicy albo nas zgniotą, albo oszukają, że więc w końcu, przy najlepszych chęciach, zmarnujem pieniądze i czas. Być może; któż jest pewnym skutku swej pracy! Zamiar tylko w rękę człowieka, rezultat w rękę Boga. Czy wszystko, co zamierzamy, da się osiągnąć, nie wiemy; to tylko pewna, że żadna praca pocziwa nie ginie całkiem bezpłodnie.

Więc i my, z ufnością w Bogu, jak zaczęliśmy, tak trwać będziemy w naszym dziele. Mimo przeszkód, z którymi miał do walczenia, zakład nasz z podwójną liczbą uczniów rozpocznie nowy rok szkolny. Dzieci to bez wyjątku ubogich rodziców, mało które jest w możności zwrócić nam choćby połowę kosztów swej nauki i utrzymania, większa część przyjęta bezpłatnie. W takich warunkach tworzyć i prowadzić instytucję wychowawczą, rzecz arcytrudna. Gdybyśmy zajmowali się młodzieżą polską, jak nas do tego nieustannie zapraszają, mielibyśmy pracę o wiele łatwiejszą, skutek bardzo upewniony, a przytem zapłatę dostatnią. Z dziećmi ruskimi przeciwnie: czeka nas krzyżów, zawodów


i prześladowań bez liku, a w dodatku wyciągnąć musim rękę żebraczą!

Lecz i przed tem się nie cofamy, skoro Bóg tego od nas żąda. A jak On natchnął Papieża myślą tej instytucyi, tak ufamy, że natchnie także ludzi dobrej woli, by nam dopomogli.

Lwów, w dzień ŚŚ. Cyryla i Metodego 1881.

Ks. Kalinka

przłożony XX. Zmartwychwstańców w Galicyi.



IV.

Stowarzyszenie Opieki nad Internatem ruskim XX. Zmartwychwstańców we Lwowie.

Ogólne zebranie odbyte we Lwowie dnia 5. marca
i w Krakowie dnia 11. marca 1883¹⁾ roku.

Na zebraniu lwowskim, ksiądz Kalinka, przełożony Internatu ruskiego, odczytał sprawozdanie z dochodów Stowarzyszenia. »Opieka lwowska« przyniosła na rok 1883 5.400 złr. (o 543 złr. więcej niż w roku przeszłym); »Opieka krakowska« przyniosła 4.159 złr. 49 ct. (o 532 złr. 69 ct. więcej niż w roku przeszłym). Obie »Opieki« przyniosły na rok 1883 9.559 złr. 49 ct. (o 1.075 złr. 69 ct. więcej niż w roku zeszłym).

Po ukończonem sprawozdaniu finansowem, ks. Kalinka czytał dalej rzecz swoją:

Otworzyliśmy nasz Zakład z 6 uczniami; w następnym roku mieliśmy ich 14; obecnie mamy 25. Ofiary zebrane świeżo przez was, Przewacne Panie, dozwolą nam z rokiem szkolnym pomnożyć tę liczbę o 10 lub nieco więcej. — Idziemy naprzód zwolna i ostrożnie, pamiętając o tem, że pospieszny wzrost Zakładu mógłby

¹⁾ Drukowane po raz pierwszy w roku 1883.

go narazić na szkody dotkliwe, a nietylko pod finansowym względem. Nicby nie było łatwiejszego jak pięćdziesięciu nowych uczniów od razu wprowadzić; dużo więcej zgłasza się ich co rok. Ale przybytek nowych o tyle tylko jest pożądany, o ile wśród dawnych znajdują się kadry już gotowe, wyrobione i duchem Zakładu przejęte. Bez takich kadrów, zadanie przełożonych zbyt byłoby trudne, a może i niewykonalne.

Podobnie jak poprzednio, tak i w tym roku, pierwsza klasa uczy się w Zakładzie. Starsi przeszedłszy z dobrym postępem egzamina, chodzą do gimnazjum ruskiego, z wyjątkiem kilku, których posyłamy do polskich lub niemieckich szkół, bo tam rozpoczęli nauki. To kierowanie naszych uczniów do ruskiego gimnazjum wywołało z pewnej strony wątpliwości, które i w dziennikach echo znalazły. Zapytywano, czy nie narażamy uczniów na złe wpływy, które cały owoc naszego starania udaremnią? Nic dziwnego, że takie wątpliwości nasunęły się; ze złym wpływem, z propagandą antireligijną i socjalistyczną łatwo w szkole publicznej spotkać się można, w naszych czasach, tak dobrze w polskiej, niemieckiej jak ruskiej; temu żadna Dyrekcyja, przy najlepszej woli, ani profesorowie, zapobiedz już dziś w zupełności nie mogą. Czy, dlatego porzucić wychowanie publiczne i chłopców (bo o chłopcach tu mowa, a nie o dziewczynach) chować w cieplarni domowej, jak roślinki egzotyczne? ¹⁾ Może się udać taka próba, raz i drugi, pod kierunkiem mądrych i baczących rodziców; ale w ogólności doświadczenie przekonywa

¹⁾ Słowa te wywołały ostrą krytykę ze strony *Przeglądu Lwowskiego*. Zarzucano, że ks. Kalinka to co robił z konieczności, z braku ludzi i funduszy, pokrywał teorią. Że mówił z przekonania, dowodem te same jego zasady wyłożone w *Wiadomościach polskich* z 1858 r. (*Przewodnik polski w Paryżu*, gdzie mówi o Pensyonatach rzemieślniczych) pewnie nie *pro domo sua*, bo go wtedy nie miał.

inaczej. Dla młodego, nie ten tylko wpływ może być szkodliwy, któremu on ulega podczas nauk szkolnych, ale i ten, z którym on się spotyka po ich ukończeniu: i owszem atmosfera, w której młody znajdzie się później, w wieku swego dorastania, tem mocniej na niego oddziaływać będzie, im mniej się z nią oswoił przy nauce szkolnej. Doświadczenie uczy, że młodzieniec choćby po katolicku, najpoczciwiej, ale w pewnem odosobnieniu wychowany, następnie, gdy wejdzie w stosunek z kolegami, których dawniej nie miał, gdy ujrzy zły przykład, którego dawniej nie widział, zbyt łatwo mu się podda, albo, w najlepszym razie, chowając dla siebie samego swe pocziwe zasady, nie będzie miał dosyć odwagi, by przeciw złemu, które go uderzy, oburzyć się jawnie i stanowczo. Lepiej jest, naszym zdaniem, jeśli młodzieniec rośnie i dojrzewa w tej atmosferze, w której żyć i pracować nadal będzie jego przeznaczeniem; lepiej zwłaszcza, kiedy udziałem jego ma być służba publiczna, a taką przedewszystkiem jest służba kapłanów, sług Bożych. Zgorszenie nie zamąci jego duszy tak łatwo, bo się z niem już poprzednio spotykał, zły przykład nie pociągnie go swoją nowością, bo wie od dawna co o nim sądzić. Nikt nie ustrzeże cnoty, która sama się nie strzeże; kontrola zewnętrzna sama jedna nie wystarczy; ona jest konieczną, ale wtedy dopiero skuteczną być może, kiedy służy ku wzmocnieniu i uzupełnieniu tej kontroli wewnętrznej, którą młody sam nad sobą sprawuje. — Atoli przynajemy, że taki system wychowania o wiele jest trudniejszy i dużo pilniejszej i głębszej wymaga czujności i pracy, niż się to dzieje zazwyczaj z młodzieżą chowaną w zamknięciu domowem. Trzeba do tego wielu warunków: a naprzód, aby całe wychowanie nie słowem tylko, lecz nadewszystko żywym przykładem przełożonych utwierdzało uczniów na drodze prawdy i obowiązku; trzeba powtóre

ciągłego porozumienia przełożonych z uczniami i niezachwianej ze strony uczniów ufności, aby wszystko cokolwiek ich uderzy i zgorszy poza domem, w domu szczerze i otwarcie powiedzieli, i by przeciw temu skutecznie oddziaływać można; trzeba nakoniec i tem samem, aby całe wychowanie miało cechę rodzinnego stosunku, który jedynie wzajemną miłością da się wytworzyć i utrzymać.

Niebezpieczeństwa wychowania publicznego, przy dzisiejszych, jakie panują, prądach, są niewątpliwe; przeczyć im i zamykać na nie oczu nie myślimy. Owszem, znać je i o nich pamiętać potrzeba, aby tem prędzej i skuteczniej bronić się od tego, co okaże się szkodliwym. Pomimo to, mniemamy, że byleby zachowano konieczne warunki, więcej dla uczniów otrzymać można korzyści ze szkół publicznych aniżeli z prywatnych. Znamy dobrze tych ostatnich zalety, ale znamy i tę wielką niedogodność, że wychowanie prywatne wydaje zbyt często charakteru miękkie, do życia publicznego mało sposobne i niedość zahartowane, by w walce zasad, która każdego dziś czeka, w obronie Kościoła i Ojczyzny, do której każdy jest obowiązany, stanąć odważnie i z narażeniem siebie. Czasy, w których żyjemy, a raczej w które dopiero wступujemy, zbyt są trudne, iżby to, co dawniej wystarczało, i dziś wystarczać mogło. A i o tem także zapominać nie wypada, że przy szerokim, może zanadto szerokim zakresie dzisiejszych nauk gimnazjalnych, przy wielkiej ściśłości, z jaką władze szkolne trzymają się, w egzaminach, swego planu i swojej metody, instytucje prywatne rzadko bywają tak uposażone, aby ich wymaganiom odpowiedzieć zdołały; nam przynajmniej, dopiero początkującym, byłoby to zbyt trudnem.

»Zgoda na to wszystko, powiedzą nam, o korzyściach publicznego wychowania nikt dzisiaj nie wątpi,

dowodzisz rzeczy od dawna dowiedzionej; ale dlaczego wysyłacie uczniów waszych do gimnazyum ruskiego?» Odpowiedź prosta, bo chcemy aby pozostali Rusinami, chcemy aby w języku ruskim uczyli się, mówili, myśleli; chociaż po polsku uczą się przytem wszyscy i wszyscy ten język dobrze umieć muszą. — I tu znowu spotyka nas główny zarzut: ruski język w Internacie jest zgorzeniem dla wielu. »Rusi niema, mówią nam; ów dzisiejszy patryotyzm ruski jest znakiem osłabienia ducha polskiego, jest odstępstwem od polskości; zasiany chytrością Stadyona, zdradą rosyjską wyrasta, kapłani polscy czyż mogą takiemu dziełu pomagać? Niech sobie lud prosty będzie ruskim jak był zawsze, lecz kto chce przejść z niego do sfery wyższej, ten musi zostać albo Polakiem, albo Rosyaninem; drogi środkowej tu być nie może. A stąd konkluzya jasna, że ponieważ uczniów waszych nie chcecie wychowywać na Polaków i uczycie ich w ruskiej mowie, to z nich musicie zrobić Moskali, i doczekacie się tego, że polskim trudem i polskim nakładem przygotujecie Ojczyźnie i Kościołowi wrogów, tem niebezpieczniejszych, że starannie wyuczonych«.

Nim na ten zarzut odpowiemy, chcielibyśmy uprzątnąć się z pewnemi pojęciami i uprzedzeniami w kwestyi językowej, bardzo utartemi i które niemałego zamącenia w umysłach stały się przyczyną. Zapytamy, czy nie przywiązują dziś zbyt wielkiej, zbyt wyłącznej wagi do różnic językowych? Nikt nas pewnie nie posądzi, byśmy nie kochali mowy ojczystej, byśmy nie pragnęli dla niej wszelkiego uznania, wzrostu, rozpowszechnienia. Nikt pewno nie przypuści, aby dla nas było obojętnem, czy Polacy dbają o swój język, czy go umieją, czy go strzegą w życiu, a nietylko publicznem, ale, co w pewnych sferach do dziś dnia jeszcze jest trudniejszym, czy go strzegą w swem domowem, codziennem obejściu. To położywszy zastrzeżenie, twierdzimy, że brać język

jako wyłączną cechę i podstawę narodowości, jak to czyni wielu dzisiejszych publicystów, polityków i ludzi uczonych, jestto dopuszczać się grubego i szkodliwego błędu. Takie pojęcie jednostronne i płytkie dozwala zapominać o wielu innych pierwiastkach i czynnikach właściwych narodowi i przyjmuje jako zupełny wyraz narodowości to, co jest tylko jednym z jej znaków, nie najcelniejszym i u niektórych narodów niekoniecznym. Boć wiadomo, że istnieje w Europie naród, który nieraz w historii dowiódł swego przywiązania do ojczyzny; nieraz dzielnie jej bronił i bronić gotów. Są nim Szwajcarzy, którzy nie posiadają własnego języka i mówią trzema obcemi: po włosku, po niemiecku i po francusku. A choć nie istnieje język szwajcarski, nikt pewno nie powie, że niema Szwajcarów, i nikt nie zaprzeczy, żeby to nie był odrębny, wybitny i bardzo twardy naród; Szwajcar tak różny jest od Niemca, Włocha i Francuza, jak te trzy narody niepodobne są do siebie. — Wiadomo również; że Żydzi od dwudziestu kilku wieków zapomnieli swojej mowy i posługują się wszystkimi na świecie językami; a trudno powiedzieć, żeby to nie była osobna, w każdym kraju na pierwszy rzut oka wyróżniająca się narodowość, a tak u każdego Żyda uparta, tak żywotna, że jej nic, nic zgoła, prócz zmiany religii przemienić i złamać nie zdoła. Na odwrót temu, widzimy trzy ludności: angielską, irlandzką i Stanów Zjednoczonych, które używają tegoż samego angielskiego języka; a nikt dla tej tożsamości języka nie ośmieli się twierdzić, żeby to był jeden i ten sam naród; owszem każdy przyzna, że są to narody bardzo różne od siebie i wewnętrznem usposobieniem i zewnętrznem w świecie stanowiskiem, jakkolwiek wszystkie trzy mówią po angielsku. — Te przykłady, a możnaby ich więcej przytoczyć, dowodzą jasno, że język sam przez się nie tworzy jeszcze narodowości, że innych potrzeba dla niej warun-

ków. Narodowość tworzą dzieje, tworzą wieki, i wyrobione w ciągu wieków wspólne tradycje, obyczaje, właściwy charakter i trwałe interesa. Ani różność mowy nie rozbija jedności narodu tam, gdzie ją przeszłość urobiła, ani przeciwnie, jedność języka nie usunie różności narodowej tam, gdzie ona z natury rzeczy istnieje i ludność od siebie oddziela. Żmudzin nie mówi po polsku, a kocha Polskę i czuje się Polakiem; Irlandczyk nie zna innej mowy prócz angielskiej i nienawidzi Anglii i za nic nie nazwie się Anglikiem. Nie sam więc język, jak widzimy, ale inne, wyższe rozstrzygają tu instancje. Toż i Rusin może kochać albo nienawidzić Polaków, bez względu na to, czy polskim czy ruskim mówi językiem. Iat temu kilkanaście język polski w powszechnym był, jak wiadomo, u Rusinów wykształconych używaniu. Czy wszyscy nas dlatego kochali? Kto zna dzieła Harasiewiczza, Zubrzyckiego, że o innych nie wspomnę, pisane w czasach kiedy w Galicyi księża ruscy mówili po polsku, a tchnące nienawiścią do wszystkiego co polskie, ten musi przyznać, że język polski jeszcze nam przyjaźni Rusinów nie upewni, zatem że i ruski język jeszcze nam w niej nie przeszkodzi, czyli inaczej mówiąc, że w stosunku naszym do Rusinów, ta lub inna mowa, sama jedna, jeszcze o niczem nie decyduje.

Z etnograficznego więc stanowiska niema dostatecznych przyczyn, któreby usprawiedliwiały niechęć naszą do ruskiego języka ¹⁾). Czy są inne? »Są, mówią nam, są przyczyny polityczne. Język ruski jest tylko pomostem do rosyjskiego; służy on Rosyi jako narzędzie do

¹⁾ Zwracamy uwagę czytelników naszych z poza kordonu, którymby to pismo wpadło w ręce, że ilekroć mówimy: »język ruski«, mamy na myśli nie język rosyjski, ale ten, który oni rusińskim albo małoruskim zowią. Używając w tem znaczeniu wyrazu »ruski«, trzymamy się zwyczaj, który w Galicyi, między Rusinami i Polakami powszechnie panuje; nadto poj-

rusyfikacyi tego kraju. Ktoż nie widzi jakie ona postępy uczyniła na tem polu? Rosyjski alfabet wprowadzony już i powszechnie przyjęty; drukują się gazety i broszury po rosyjsku; nawet książki szkolne przepełnione mnóstwem form i wyrażań rosyjskich. Coraz bardziej i duchem swym i słowem Rosya ten kraj zalewa, i nie można jej niczem innem stąd wyprzeć, tylko na odwrót, polskiem słowem«. — Odpowiemy: sprawa jest trudniejsza, zawilsza, bardziej skomplikowana niż się na pozór zdaje. Naprzód należałoby dobrze grunt poznać, na którym stoimy, aby krokiem pospiesznym, sądem namiętnym i jednostronnym, własnej sprawie nie zaszkodzić i nie służyć temu właśnie, z którym chce się walczyć. Nie przeczym, że na tej ziemi ruskiej pełno jest kretów rosyjskich, i że choć się jedno kretowisko rozwali, nie przestaną gdzieindziej się wkopywać. Ale to jeszcze nie Ruś cała. I na Rusi są stronnictwa jak u nas, nawet więcej niż u nas. Obok ludzi, których nienawiść do Polaków popycha w obóz rosyjski, są insi, zacniejsi, którzy gorąco kochają swą narodowość i służą jej z zapalem, a jest takich coraz większa liczba. Ci ani Polakami ani Rosyanami być nie chcą, chcą być tem, czem ich Pan Bóg stworzył, i tego im przecież za złe nie weźmiemy, i tych najpilniejszym, i jak na teraz wyłącznem jest zadaniem, z tylu narzeczy, których lud prosty używa, stworzyć jeden ruski język, wykształcony, książkowy. Czy zawsze dobrą ku temu celowi idą drogą; czy i oni, gorączką narodowościową porwani, nie stawiają narodowości za najwyższą zasadę, z pominięciem innych zasad, bez których tamta zdrowia nie przyniesie; czy

mujemy go tak, jak go po wszystkie czasy w Polsce pojmowano. Mówiono u nas: król polski, w. książę litewski, ruski i t. p. a nikt przecież nie rozumiał, aby ten tytuł »ruski« obejmować miał rosyjskie, czyli, jak wówczas nazywano, moskiewskie dzierżawy. Dopiero pisma polskie po za kordonem wychodzące, od niedawna, to pomieszanie nazwisk nieogłędnie wprowadziły.

i w swej pracy lingwistycznej nie ulegali chwilowym a popularnym niechęciom i czy sami na swej pomyłce później się nie spostrzegli, to są inne pytania, na które odpowiedzieć nie umiem lub w tej chwili odpowiadać nie wypada; ale w każdym razie rzecz widoczna, że to nie jest i być nie może agitacją rosyjską. Dla nikogo mniej niż dla Rosyi ta samoistna dążność Rusinów nie jest pożądaną. Wszak miliony tego ludu wchodzą w skład rosyjskiego imperium, w zachodnich i południowych prowincjach, i nie zgadza się to wcale z interesem Cesarstwa, z jego usilnem od stu lat dążeniem, aby narodowy a odrębny duch tę wielką masę ludności ożywił. Dlatego rząd rosyjski nie tylko w urzędach i szkołach języka ruskiego nie cierpi, ale nawet pisać i drukować po rusku u siebie nie pozwala. Ucisk; którego polska mowa w Cesarstwie doznaje, o wiele jest lżejszym od rygoru, z jakim ten rząd ściga każdy objaw odrębnej ruszczyzny. Polski język w Cesarstwie ma, bądź co bądź, swe prawa nabyte, siłę i opór przedawnienia, z którymi niepodobna się nie liczyć i im czasem nie ustąpić; ale nie tak się ma z mową ruską piśmienną, którą jako fakt nowy a rządowi nieprzyjazny, zawsze łatwiej powstrzymać. Miałżeby ten rząd, który u siebie tak się obawia ruszczyzny, tutaj ją dobrowolnie wywoływać i krzewić? To zgoła niepodobne, bo ten rząd lepiej od nas rozumie, że nie pomostem zbliżającym Rusinów, ale raczej wałem oddzielającym ich od Rosyi, może stać się wykształcony, książkowy język ruski. — I Rusini także wiedzą co się dzieje po tamtej stronie Zbrucza, wiedzą, że się to nie zmieni; nawykli do milczenia, nie skarżą się, znoszą złe cierpliwie. Zato tem skwapliwiej rzucają się na pole, które tutaj jest dla nich przystępne. Trzeba uznać wielką ich usilność, wytrwałość, poświęcenie. Ludzi bogatych a choćby tylko zamożnych niema między nimi, a jednak wciąż płyną

ofiary; gazet i pism przybywa, utrzymują się dawne instytucje, nowe się tworzą. Patrząc na tę ich mrówczą zabieglivość, trudno nie przypomnieć sobie ruskiego przysłowia: *hromada wetykij czołownik*. Czego w Rosyi tknąć nie wolno, tu chcieliby oni z pospiechem odrobić, i dopóki czas, wykształcić i utrwalić odrębny, cywilizacyjny język ruski, któryby w danym razie dla wszystkich Rusinów stał się gotowym już nabytkiem.

Czy mamy interes w tem im przeszkadzać? Dla Rosyi ów język ruski, dobijający się z takim mozołem swego życia, może być rzeczą szkodliwą; dla nas nie jest ani szkodliwą, ani nową. Przeciwnie, w naszej przeszłości zdobył on sobie oddawna prawa obywatelstwa i tylko z ubiegim wieków je stracił, w znacznej części z winy samejże Rusi. W dawnym senacie Rzpltej i na sejmach, w epoce najwyższej naszej potęgi, mówił po rusku kto chciał; język ruski był długo językiem dworu w. książąt litewskich i litewskich panów, a tych przecież z historii polskiej wymazywać nie będziemy; pierwotny statut dla Litwy i nieraz dyplomy monarsze w tym języku bywały układane; królowie nasi w swej korespondencji z biskupami unickimi przez długie lata ruskiej używali mowy. I nikomu to nie wadziło i jedności Rzpltej wcale nie szkodziło, jak dziś nam nie szkodzi, że pewna, a bodaj czy nie najwierniejsza część narodu nie mówi po polsku tylko — po żmudzku. Nie to więc jest osłabieniem ducha polskiego, jak nam zarzucono, że język ruski zaczyna na nowo, w pośród nas, znajdować obrońców, ale przeciwnie, owa odraza do mowy ruskiej, tak niedawna między nami i niektórym tylko sferom i okolicom właściwa, śmiem twierdzić, jest pewnym znakiem osłabienia ducha polskiego w nas samych, w Polakach. Nie przeczę, że ją w części sami Rusini wywołali swem nachylaniem się ku Rosyi; niemniej dlatego powiedziałbym, że ta odraza jest napływem obcych nam

uczuc i poglądów, jest dowodem, że stara, z dobrych czasów tradycya polska u nas przygasa i ustępuje miejsca zwiędłemu liberalizmowi, który to tylko w państwie lub narodzie rozumie, co jest mechaniczną jednością i pod sznur prosto wyciągnięty da się zszeregować. — Dlaczego Rusinom mielibyśmy utrudniać to, co oni najślusniej kochają i co my także pokochać winniśmy? Może Rosya wystrzegać się ruskiego języka; dla nas on żadnem nie grozi niebezpieczeństwem, ani teraz, ani w przyszłości. To też, nie o to starać się winniśmy, by Rusini swojej zapomnieli mowy, raczej o to, by Polacy się jej wyuczyl i o tyle przynajmniej, o ile po francusku lub po niemiecku umieją; aby jak oni po polsku do nas mówią, tak i my po rusku, gdzie tego potrzeba, do nich mówili. Polskiego języka nie skazimy przez to, owszem zyskać on tylko może. Alboż ów polski Bojan, Bohdan Zaleski, którego strofy płyną tak słodko jak tony harmonijne, nie na ruskich wykołysany dumkach; alboż w uszach Polaka nie brzmią mile piosenki Padury? Z wielkiej rzeszy słowiańskich mów i narzeczy, język Rusinów jest najmuzykalniejszy; a z europejskich, tylko włoskiemu pod tym względem ustępuje. Wiadomo, że gdzie polska mowa spotyka się z niemiecką, tam ona schnie i grubieje, i w swych formach i w wymawianiu; przeciwnie, gdzie z ruskim zlewa się językiem, tam z jego dźwięczności coś dla siebie przejmuję. Słyszac prostą, wiejską dziewczynę nad Sanem, kiedy przemawia po polsku, zdawałoby się, że to wielka pani; tak czysto, świeżo, tak muzykalnie brzmi każde jej słowo. — Któraż z pań polskich, albo który ksiądz łaciński we wschodniej Galicyi nie rozmawia chętnie z włościanami po rusku; dlaczegoż ten język, przechodząc do książki, miałby nam stać się niemiłym? W całym kraju zmieniły się dziś stosunki; niechże wedle nich zmieniają się także nasze pojęcia, nawyknięcia, sympatyje. Za czasów pań-

szczyźnianych chłop był u nas poddanym; dziś jest sąsiadem, da Bóg, będzie dobrym nam sąsiadem. Toż i z ruską mową; z chłopskiej, jaką pierwiej była, niech się stanie u nas mową sąsiadów, równych i, da Bóg, dobrych nam sąsiadów.

Wszystkie te względy są ważne i każdemu dobrej wiary muszą dać do myślenia, ale pojmujemy, że pomimo to mogą one zostawiać w umysłach pewną wątpliwość i ulegać kontrowersyi, a nawet budzić niesmak u niektórych. Ktokolwiek w tym przedmiocie, z myślą na obie strony zwróconą, przemawia, musi pamiętać o tem, że ma do czynienia z zadawnionemi niechęciami i uprzedzeniami, do których żaden przeciwny argument nie trafi i które owszem wszystko, co im nie odpowiada, z oburzeniem odrzucają. Ten także przygotować się winien, że będzie źle przyjętym, niezrozumianym, a nawet pomawianym i podejrzywanym bez końca. — Ale oprócz tych, któreśmy wyżej przytoczyli, są inne argumenta i zasady, które nie ulegają kontrowersyi, które są niewątpliwe i które ksiądz katolicki nadewszystko przypominieć powinien. *Nie czyń drugiemu, co tobie nie miło.* Nie bądźmy tem dla słabszych, czem nie chcemy, aby byli dla nas mocniejsi. *Waga i waga, miara i miara, obrzydliwością są w obec Boga* — mówi Pismo święte: *Jaką miarą mierzysz, taką ci będzie odmierzone.* Silnym i w pełni życia będącym może niesprawiedliwość uchodzić do czasu bezkarnie, choć pomści się później; na nas zemściłaby się ona odrazu i odjęłaby nam tę prawość i szlachetność, która musi być treścią polskiego ducha, jeśli na lepszą przyszłość zarobić mamy. — Zresztą, na nicby się już ona dzisiaj nie przydała. Nie spolszczyliśmy Rusi przez długie wieki polskiego nad nią panowania; możemyż się łudzić, że ją spolszczymy dzisiaj, gdyśmy o wiele słabsi i w epoce tak powszechnie rozbudzonych

aspiracyj narodowych? Nie zrobimy ich Polakami, sko-
rośmy dawniej tego nie zrobili, to rzecz widoczna dla
każdego, co patrzy na rzeczy trzeźwo i spokojnie; dla
każdego co własnymi życzeniami nie zasłania sobie oczu
dobrowolnie. Chodzi więc o to, czy mają być naszymi
wrogami, czy też zostać przyjaciółmi, sprzymierzeńcami
wspólnego dzieła. I nie potrzebujemy ich polszczyć,
ściśle rzecz biorąc. Aby swoje i Kościoła interesa nale-
życie ubezpieczyć, nie potrzebujemy bynajmniej targać
się na język Rusinów. Wystarczy nam, jeśli Ruś, pozo-
stając sobą, będzie szczerze i otwarcie katolicką; wy-
starczy najzupełniej, bo czyż można wątpić, że wtedy
nie z Rosyą schyzmatycką ani z nihilizmem ale z Pol-
ską katolicką pójdzie ręka w rękę. Przeciwnie, narzu-
cając jej swą mowę, grożąc jej wynarodowieniem, jak-
kolwiek ono już dziś niepodobne, nie przekonamy jej,
nie zbliżymy jej do siebie; popchniemy ją tylko tam,
gdzie pragnie ją widzieć tyłu przesłańców rosyjskich,
którzy się wśród niej uwijają.

Rzecz to tak dla nas wyraźna, że szukać dla niej
więcej dowodów — doprawdy, zdaje nam się zbytecznym.
Nie o jedność więc językową z Rusią starać się win-
niśmy, ale o jedność religijną, przy zupełnem wzaje-
mnem uszanowaniu obu obrządków. Mniejsza o to, ja-
kim Rusin będzie mówił językiem, ruskim czy polskim,
byle tak dobrze Polak jak Rusin byli wiernymi synami
Kościoła, byli wiernymi katolikami, i w słowach i w ży-
ciu. — Atoli, potrzebaż przypominać — (tu słowa nasze
zwrócimy do Rusinów) — iż nie wszystko co w teoryi
dowiedzione, odrazu stać się może rzeczywistością. Jest
moc nawyknień, której nie przełamie władza najsilniej-
sza; zwyczaju nie wywróci litera prawa, tylko przeci-
wnym zwyczajem odrobić go i zastąpić można. Kto się
temu dziwi, kto zżyma się na to, że jego zasady choćby
najsłuszniejsze, nie są natychmiast od ludzi przyjęte, ten

tylko świadczy, że w jego zasadach jest jeszcze pewna niedojrzałość i w nim samym pewna młodocianość, której nie stać na hart męski, aby spokojnie i cierpliwie dobijać się swych praw. Na wszystko czasu potrzeba; czas jest jedynie dobrym budowniczym; cokolwiek się zrobi bez niego, czas znowu prędko obali. — Nadto, w każdym sporze długotrwałym, rzadko aby jedna tylko strona była przyczyną nieporozumienia; zazwyczaj po obu są winy, i błędy, i zastarzałe wady. Kto żąda od przeciwnika aby się poprawił, niechże wpierw ze swoich wad się otrząśnie, niech usunie wszystko co drugim jest kamieniem obrazy, co daje powód do podejrzeń, słuszych czy niesłuszych. Bez tego można wspaniale deklamować i za swe deklamacye zbierać od swoich poklaski, ale sprawy nie posunie się na włos. — Lecz spostrzegam, że to są kwestye, które o wiele sprawozdanie nasze przekraczają; zatem wracając do przedmiotu, przypomnę tylko, że właśnie ta jedność religijna, konieczna podstawa Unii, konieczny warunek zgody między Polską a Rusią, przy sumiennem uznaniu różności języka i obrządku, jest właśnie celem, jest racją bytu naszej instytucji, która pod waszą opieką, Przeważne Panie, utrzymuje się i przy waszej gorliwości żyć i rozwijać się nadal może. Do ożywienia tej gorliwości zebranie dzisiejsze przyczynić się ma. — Powiadają, że nam Polakom zacząć jest łatwo, dokończyć najtrudniej. U Polaka rozum bystry, łatwy, pełen wyższych zdolności, przytem rzewność i głębokość uczucia, ofiarność i w ofiarności bezinteresowność, jakich niewiele gdzieindziej. U nas schwycić myśl piękną w zapale i wcielić ją w siebie, polecieć za popędem serca aż do heroizmu, dobro publiczne jak własne pokochać, to rzecz prosta i jakby codzienna. Cóż, kiedy przy tylu wielkich przymiotach, brak nam wytrwałości; a bez niej tamte nie wiele znaczą, jeśli nawet nie zaszkodzą. Każde przedsięwzięcie

nasze jest jak potok bystry, który z niesłychanym pędem z pod skały wytryska i pieniać się i rwąc brzegi płynie żartko; pilno mu stać się wielką rzeką, która pół świata ma przebiec; cóż, kiedy wnet potem wolnieje i w piaskach mizernie tonie albo wysycha! Gdybyśmy do tych darów, któremi nas Bóg obdarzył, umieli dodać choć trochę wytrwałości, mało narodów mogłoby nam sprostać i niejeden, co nas dziś wyprzedził, zostałoby daleko za nami.

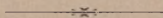
Jak dotąd, my w tem drobnem dziele, o którym mówimy, na brak wytrwałości ze strony Członków i Opiekunów Stowarzyszenia skarżyć się nie możemy. I owszem, boć i ten rok ostatni waszej pracy przyniósł o 1.000 złr. więcej niż poprzedni, pomimo klęsk i zawodów, któremi Bóg zeszłego lata tę ziemię nawiedził. A obok ofiar na utrzymanie Zakładu, jest jeszcze inny rezultat, który także świadczy o polskiej ofiarności. Jest nim dom własny Internatu, w którym mamy zaszczyt po raz pierwszy Was przyjmować, w chwili gdy ledwo trzeci rok naszej tu czynności zaczęliśmy. Nie dokończyć on wprawdzie, ale jednak już tak urządzony i zaopatrzony, że i obecna liczba młodzieży znajduje w nim wszystko, co jej potrzeba do nauki i do utrzymania, i więcej niż drugie tyle może on jeszcze w swych murach pomieścić. Więc zamykając to sprawozdanie moje, pragnę na tem zakończyć, od czego właściwie winienem był zacząć: pragnę wyrazić wdzięczność moją Dobrodziejom naszym, gdziekolwiek oni są, którzy nam do tego dzieła dopomogli i złożyć pokorne dzięki Bogu, który tego wszystkiego miłosiernym jest sprawcą. — Lecz byłoby niewdzięcznością z mojej strony, gdybym nie wspomniał tutaj o łasce Miłościwego Monarchy, który wielokrotne dał dowody, że go ten Zakład szczerze obchodzi; jak również, gdybym nie uznał głośno

tej wysokiej życzliwości, którą Dostojny Jego Namie-
stnik okazuje zawsze dla Internatu ruskiego. Dzisiejsza
obecność jego w pośród nas, jest tej życzliwości nowem,
nader miłym i dla nas zaszczytnem potwierdzeniem.

W roku zeszłym, pod koniec czerwca, w dzień
św. Jana Chrzciciela, Przesłannika Chrystusowego, za-
tknęliśmy krzyż na kaplicy Internatu, i umieściliśmy
pod nim, na szczycie gmachu, napis tej osnowy:

R. P.
1881 i 1882
TEN DOM ZBUDOWANY
I
KRZYŻ CHRYSTUSOWY
NA NIM
PODNIESIONY ZOSTAŁ
PRZEZ
BRACI ZMARTWYCHWSTANIA PAŃSKIEGO
KU
CHWALE BOŻEJ
I KU
UTRWALEMIU ZGODY
MIĘDZY
POLSKĄ A RUSIĄ
ABY
ZA TĄ ZGODĄ
ŚWIĘTA WIARA KATOLICKA
W TYM KRAJU
WZMOCNIONA
I
W DALSZE STRONY NA WSCHÓD
ROZSZERZONĄ BYŁA
ZA
PRZYCZYNĄ NAJŚWIĘTSZEJ PANNY
I
ŚW. JÓZEFATA

W tym napisie streszczony jest cel a także i spo-
sób działania naszego Internatu.



V.

Stosunek Polaków i Rusinów do Internatu ruskiego XX. Zmartwychwstańców we Lwowie.

Sprawozdanie odczytane na Walnem Zgromadzeniu Stowarzyszenia Opieki nad tymże Internatem, w marcu 1884 roku.

Na rok 1884, »Opieka lwowska« przyniosła w datkach stałych 5.006 złr., w jednorazowych 503 złr., razem 5.509 złr. (o 109 złr. więcej niż w roku zeszłym). »Opieka krakowska« przyniosła w datkach stałych 3.173 złr. 86 ct., w jednorazowych 955 złr. 56 ct., razem 4.129 złr. 83 ct. (o 29 złr. 66 ct. mniej niż w roku zeszłym). Obie przyniosły na rok bieżący 9.638 złr. 83 ct. (o 79 złr. 34 ct. więcej niż w roku ubiegłym).

Jest zaco Panu Bogu podziękować, zwłaszcza kiedy się zważy na ciężki nieurodzaj, jaki dotknął ostatniego lata naszą prowincję. Ten rezultat zawdzięczamy przede wszystkim staraniom naszej przezacnej Prezesowej i jej niestrudzonej Sekretarki, oraz waszej Czcigodnej Panie gorliwości; lecz wspomnieć także muszę i o tych osobach, tak szczerze instytucji naszej oddanych, które nie mogąc pomagać hojnym datkiem, wspierają nas stale swoją modlitwą. Ta jałmużna wiele innych sprowadza, a co ważniejsza, przynosi ze sobą błogosławieństwo Boże. Szczególną wdzięczność winienem tutaj wyrazić pani

Aleksandrze Zaleskiej, iż na prośbę księżnej Prezesowej, raczyła przyjąć obowiązki Wiceprezesowej Stowarzyszenia we Lwowie.

Uczniów mamy obecnie 36, uczęszczających jak w latach poprzednich do gimnazjum ruskiego, z wyjątkiem kilku, którzy na żądanie rodziców kończą rozpoczęte w gimnazyjach polskich nauki. Mówić dziś o nich, przedwcześnie; przyjdzie chwila, kiedy sami złożą o sobie świadectwo. Nowy rok szkolny rozpoczniemy, jeśli środki pozwolą, z 50 uczniami. Idziemy zwolna, bo chcemy iść długo, i zejść, ile możności, daleko.

O wewnętrznym stanie Zakładu wypada nadmienić, żeśmy skasowali pierwszą klasę, której uczniowie pobierali w domu nauki. Wydatek był znaczny a niekoniecznie potrzebny; odtąd wszyscy uczniowie chodzą do gimnazyjów: młodszym, do studyów szkolnych mniej jeszcze wdrożonym, pomagają starsi. Drugą zmianą, o której donieść potrzeba, jest, że od początku roku szkolnego, Internat ma swoją kaplicę. Jakkolwiek niejednego jej brakuje, do tyła przecież jest zaopatrzona, że uczniowie mogą w niej codzień Mszy św. służyć, i że w większe święta, nabożeństwo odprawia się z powagą i uroczystością, obrządkowi wschodniemu właściwą.

Liczymy czwarty rok naszej egzystencji. Za mało to bezwątpienia, aby powiedzieć że Zakład wytrzymał już wszystkie próby; ale dla nas dosyć, aby nam dać nadzieję, że przy Boskiej pomocy, może trwać i rozwijać się dalej. Poznaliśmy grunt po którym idziemy, przeszkody z którymi mamy do walczenia. I ten krótki czas ma już swoją historję. Chcemy ją opowiedzieć wam, Szanowne Panie, z prostotą i zupełną szczerością, w przekonaniu, że szczerość jest najsilniejszą bronią, która tych nawet, co nie mają ufności, w końcu do wierzenia przymusi.

Kiedyśmy tutaj stanęli z zamiarem otworzenia Zakładu wychowawczego dla Rusinów, Polacy przyjęli nas w ogólności bardzo życzliwie, Rusini z małemi wyjątkami, bardzo niechętnie. O jednych i drugich jest coś do powiedzenia; zacznijmy od Polaków. — Postawiliśmy od razu nasz program w całości; wychowywać Rusinów na Rusinów, z uszanowaniem ich obrządku, języka i narodowości. Podyktowała go prosta sprawiedliwość, doradzał interes Kościoła i kraju, a także głos wewnętrzny sumienia, który ostrzegał, że Rusi coś się należy z naszej strony za przeszłość. Aczkolwiek myśl wydała się nowa i w ustach zakonników polskich niezwykła, wyznajmy jednak z chlubą i pociechą, że znaczna część publiczności polskiej jej przyklasnęła; mianowicie niewiasty polskie poparły ją serdecznie i gorąco. One na-przód zrozumiały, że prawda choćby nieprzyjemna, jest najlepszym na złe lekarstwem, że sprawiedliwość najroztropniejszą polityką i że kiedy z dawnej roboty niekoniecznie pożądane wypadły skutki, niema lepszej na to rady, jak zacząć robić inaczej. Zrozumiały i wsparły nas skutecznie datkiem, radą, modlitwą. Ich to jest zasługą, cośmy dotąd wykonać mogli. A dziękując im za to z głębi duszy, nie myślimy bynajmniej od tego uznania z naszej strony, wykluczać ich mężów i braci. Jest to niemałą pociechą i otuchą na przyszłość, że mimo burz, powodzi i zarazy, które od stu lat tylokrotnie spustoszyły, i kraje, i serca, i głowy nasze, w każdej prowincyi polskiej, dziś jeszcze spotyka się ludzi, co tak czują i myślą i tak rozumieją interes Kościoła i Polski, jak czuć i myśleć i rozumieć musieli Polacy, za dobrych czasów, za najlepszych czasów, za czasów Jadwigi i kardynała Zbigniewa, kiedy najwięcej było zdrowia i czystości w narodzie i kiedy najlepiej pojmowano jego potrzeby i zadania dziejowe.

Nie chcemy jednak ukrywać, że nie wszyscy między Polakami w ten sposób nasz program pojęli; znalazła się między nimi pewna, jakkolwiek dużo mniejsza liczba, która w najlepszej wierze nie przypuszczała, iżby było coś do zmienienia w sposobie zachowywania się Polaków względem Rusinów. Przystawali oni powszechnie, bez względu na swe religijne i polityczne przekonania, że potrzeba wzmocnić ducha katolickiego na Rusi, aby ją ubezpieczyć od propagandy schyzmatycznej, bo tego wymaga dobro Kościoła, monarchii i kraju; ale mniemali, że to inaczej stać się nie może, jak tylko przerabiając Rusinów zwolna i nieznacznie na Polaków. Byli więc radzi naszej instytucji, o ile przez nią mogliśmy przyczynić się do pomnożenia księży ruskich oddanych Głowie Kościoła — i o tyle dobrem sercem nie odmawiali nam pomocy; lecz do wszystkiego, cośmy o narodowości ruskiej mówili, nie przykładali wagi i może nawet słów tych nie brali naprawdę.

Tak więc obok zastępu takich, którzy nasz program w zupełności popierali, znajdowali się inni, którzy tylko jedną część jego, to jest katolicką, przyjmowali, nie dając wcale baczenia na jego stronę narodową, ruską. Przydajmy jednak, że tych ostatnich było tak mało, że moglibyśmy o nich ze spokojnem sumieniem zamilczeć, gdyby nas, że tak powiemy, ścisłość historyczna do tej wzmianki nie skłaniała. Cokolwiek bądź, wytworzyła się z tej różnicy poglądu na nasz Zakład pewna niejasność położenia, która dla początkującej instytucji mogła się wydawać korzystną; ale nie zgadzała się z prawdą, i dlatego trwać w niej w żaden sposób nie chcieliśmy. Należało skorzystać z pierwszej okazji, by dążność naszą całkowicie zatwierdzić, i Zakład, tak dobrze wobec Polaków jak Rusinów, stanowczo i niewątpliwie nacechować. Przypomnieliśmy więc, że Internat jest ruski, że narodowość ruską poczytujemy za

dzieło Boże, a obrządek wschodni za rzecz świętą przez Kościół ustanowioną, której uchybiać w czym bądź nie mamy prawa ani zamiaru; że będąc sługami Kościoła, o jego dobro przedewszystkiem troszczyć się musimy; ale że interes naszej Ojczyzny złączony jest nierozzerwalnie z interesem Kościoła; że co jemu służy to i naród nasz krzepi, a przeciwnie, co Kościół w nas osłabia, to ducha polskiego zabija. Przypomnieliśmy raz jeszcze, nie dalej jak przeszłego roku, i z tego właśnie miejsca, z którego dziś przemawiam, że Rusinów bynajmniej polonizować nie myślimy; nietylko dlatego, że to dziś niepodobne, ale głównie dlatego, że toby ich od Rzymu odstręczyło; że zresztą polonizować ich niema żadnej potrzeby, bo wystarcza najzupełniej dla sprawy, jeżeli pozostaną czem ich Bóg stworzył, a wierni Rzymowi i przyjaźni Polsce.

Kiedyśmy te słowa w zeszłym roku przed wami, Szanowne Panie, odczytali, wielu z przyjaciół najbliższych ostrzegało nas, żebyśmy z ich ogłoszeniem nie spieszyli się, jeżeli nie chcemy zaszkodzić Internatowi i odstręczyć niejednego z chętnych dotąd Polaków. — Uznając życzliwość tej rady, nie daliśmy jej przecież posłuchu, bo nie sądziliśmy, aby nam wolno było okupywać poparcie dla Zakładu dwuznacznością naszego stanowiska. I ogłosiliśmy i rozpowszechniali, ile było w naszej mocy. — Po części sprawdziły się te przestrogi, ale po części tylko. Jakoż dochodziły nas upomnienia od kilku Polaków, że idziemy w fałszywym kierunku, że nie znamy położenia kraju, że uwodzimy się sentymentalnością, i że teoryom naszym rzeczywistość wcale nieodpowiada: że różne są dyalekta ruskie w klasie włościańskiej, ale wszelki, który z niej wychodzi do sfer wyższych, musi wybrać dla siebie język polski albo rosyjski, musi stać się Polakiem, albo Rosyaninem; ów zaś dzisiejszy pęd narodowy u Rusinów wykształconych

jest tylko gorączką, która za lat kilka lub kilkanaście, nie zostawi innego śladu prócz stosów wydrukowanej bibuły. Nie chcę wyliczać tego rodzaju dalszych zarzutów, które nam czyniono, bo każdy je słyszał nieraz lub czytał; dodam tylko, że nieco pierwej przyszedł do nas pewien zacny obywatel z innej prowincyi i rozpatrzywszy się z Zakładzie, rzekł do nas: »Wierzę waszym pocziwym chęciom, o polskich uczuciach nie wątpię; ale przestrzegam, że się narażacie na bolesny zawód, i że końcem waszego poświęcenia będzie to, iż przygotujecie Moskwie wykształcone i pożyteczne sługi. Jestem bezdietny, pracą własną dorobiłem się dość znacznego majątku; otóż wszystko, co posiadam, wam zostawię, jeżeli uczniów waszych nie na Rusinów, ale na Polaków kształcić będziecie«. »Żałujemy, była odpowiedź z naszej strony, że tej szlachetnej ofiary przyjąć nie możemy; i rozkaz Papieża i głos sumienia tego nam zabrania«.

Były więc, jak widzimy, rady i upomnienia w dobrej podawane intencji; ale niebezpieczeństwa, których się dla Zakładu obawiano, nie ziściły się. Nikt już dzisiaj między Polakami nie wątpi, że Internat wychowuje swych uczniów na szczerych Rusinów, a jednak ofiary polskie, które go utrzymują, nie ustały, i Zakład, jak szedł dotąd, pójdzie swym trybem i dalej. Ażaliż nie mamy powodu z tego się radować; temu lat dziesięć możeby tak nie było. Widocznie zaszła zmiana w usposobieniu Polaków; jaśniej i spokojniej poczynamy zapatrywać się na nasz stosunek do Rusi, a ten zwrot opinii musi koniecznie, wcześniej lub później, objawić się i na szerszem polu, w praktyce codziennego życia. Ten zwrot jest dowodem, że na dnie polskiej duszy tkwią znaczne uczucia, i byle tylko zedrzyć z nich powłokę zadawnionych niechęci i uprzedzeń, a wrodzona sprawiedliwość, ludzkość i szlachetność wyjdzie na jaw. — A jeśli są

między nami jeszcze tacy, którzy nie mogąc się rozpoznać wśród nowych stosunków, chcą aby wszystko było jak dawniej bywało, i głoszą, że Rusi niema i nie będzie, że mogą być tylko Polacy albo Rosyanie, że kto Polakiem być nie chce, ten musi stać się Moskalem — jeśli są jeszcze tacy — tychbym prosił, niech zważą, jak dalece podobnemi twierdzeniami pracują bezwiednie — dla Rosyi!... Boć jeśli Rusi być niema, to z pewnością, ta co dziś jest, nie stanie się polską ale rosyjską, pomimo wszelkich środków, którychbyśmy mogli użyć tu, w tej prowincyi, gdzie mamy przewagę. A cóż dopiero mówić o tamtych prowincyach, gdzie wszystkie *instrumenta regni* ku zagładzie naszej są zwrócone! Wszak nikt usilniej nie stara się przekonać całego świata, nikt śmieiej w siebie, w swoich i w obcych nie wmawia, nad Rosyę, że jest tylko jedna wszechrosyjska, czy wszechruska narodowość w Cesarstwie, prócz tej garstki Polaków, którzy tam z przywiślańskich zaplątali się krajów. I jest racya stanu w takowem kłamstwie, bo jeśli Rusinów niema, to, dzięki tej etnografii, Cesarstwo zyskuje odrazu piętnaście milionów jedнопlemiennej ludności. A nietylko w Cesarstwie ludność jest wszechruska; znajdują się Rosyanie na Podlasiu, w Chełmskiem, w Galicyi i na Węgrzech. I oto, jakie jest znaczenie, jakie ostatnie słowo tego systemu, który przeczy Rusi! Kto Rusi przeczy, ten Moskwę buduje... Nietylko więc uczucie prawdy, które powinnyby nam wystarczyć, ale sama roztropność i sam interes Kościoła, cywilizacyi i Polski nakazują przyznać, że między Polską a Rosyą istnieje naród odrębny, ani do jednego, ani do drugiego nie należący, który swych uczuć i właściwości narodowych nie pozbędzie się w naszej epoce, skoro ich się nie pozbył przez tak długie wieki; nakazują służyć mu szczerze i uczynnie, bez względu na jego dzisiejsze usposobienie, aby i on z czasem, gdy się poczuje cząstką

europiejskiej rzeszy, służył ogólnej cywilizacyjnej sprawie, jak mu Bóg przeznaczył.

Oto, cośmy mieli do powiedzenia o stosunku Polaków do Internatu. Spróbujmy teraz określić, jak się na ten Zakład zapatrują Rusini; a jeśli z jednej strony myśl naszą wypowiedzieliśmy z całą otwartością, to nie widzimy wcale powodu, dlaczego byśmy, z drugiej strony, mieli ją przysłaniać. Przyjęto nas wśród Rusinów bardzo niechętnie, jak wiadomo; ledwo kilku znalazło się takich, którzy nas stanowczo nie odrzucali. Miło nam tutaj wymienić męża, w którego rękę złożony dzisiaj zarząd największej w Kościele ruskim dyecezyi; a który wówczas nie wahał się, choć samotny, powitać nas słowami serdecznymi i uznać ważność naszego zadania. Ale pozatem — potępienie ogólne! Mało powiedzieć, że nas powszechnie podejrzywano o zamiary nieprzyjacielskie dla Rusi; słuszniej przyznać, że o nich nie wątpiono. Powiadano o nas: »Jeśli dawni Jezuici wydarli Rusi arystokrację, szlachtę, mieszczaństwo, to ci nowi, którzy niewiedzieć dlaczego przewali się Zmartwychwstańcami, nierównie są gorsi, bo przychodzą zadać Rusi cios ostatni, zabrać jej duchowieństwo i lud; tamci jawnie przeciągali na ryt łaciński, ci podstępnie chcą się wkręcić do naszej ufności. Zręczna obłuda nie jestże stokroć niebezpieczniejszą od otwartej nieprzyjaźni!« Więc klątwa na tych wszystkich, coby ze Zmartwychwstańcami mieli jakikolwiek stosunek, coby z ich usług zdradliwych chcieli dla siebie lub dla swych synów korzystać niebacznie! Na całej linii wydano wojnę: nie było dziennika, któryby nas w jakikolwiek sposób nie czernił, nie było zebrania publicznego, na któremby wycieczkami przeciw nam nie ostrzono swoich dowcipów, a jeśli w której parafii, jakiś Rusin ubogi, obarczony dziećmi, wpadł na myśl by ulżyć sobie, oddając

chłopca do Internatu, wnet tworzyła się liga duchowna i świecka, by tę biedną duszę ratować od zguby. Znalazł się jednak pewien proboszcz, Rusin twardy, gorącego katolickiego ducha, który chcąc syna swego po katolicku wychować, przywiózł go do nas. Zgorszenie było wielkie, oburzenie niewymowne, krzyków bez końca. Ile ten kapłan i ojciec sumienny musiał wytrzymać szykan i prześladowania, ile odebrał listów i pogroźek bezimiennych, ile o nim ogłoszono zjadliwych artykułów wiązaną i niewiązaną mową, w których nawet z nazwiska jego z wątpliwym dowcipem szydzono, tegoby dzisiaj przypomnieć nie łatwo, dodajmy — przypominać nie warto.

Trwała ta kampania przeciw nam dość długo i do dziś dnia trwa jeszcze, a zbyt liczna nadmieniam, że każdy krok naprzód, postawiony przez nas, wywoływał nowe, a właściwiej mówiąc, wielokrotnie już odgrzewane filipiki oratorskie i pisarskie. Niejeden z naszych przeciwników powinienby przyznać po sprawiedliwości, że nam coś winien, bo się dorobił u swoich popularności, bez żadnego trudu dla siebie, jedynie kosztem Zmartwychwstańców; niejeden od lat trzech powtarza argumenta, i płytkie i nudne, i jeszcze to popłaca i zjednywa mu sławę »starego, wypróbowanego patrioty, nieustraszonego diejatela i pisarza«. Inny drukuje w dzienniku, właśnie obecnie, szereg artykułów, i wykrywa o nas straszne tajemnice świata zdumionemu, żeśmy przyszli na Ruś — rozszerzać ducha rzymskiego, i przygotować misjonarzy katolickich na Wschód! Nigdyśmy z tego nie robili sekretu; ale co zabawniejsze, to konkluzya, do której autor przychodzi z tego powodu, że my w ten sposób oszukujemy i Austryę, i Polaków i Rusinów, bo — działamy na rozkaz Papieża. Proszę zrozumieć tę logikę! — W tym stanie rzeczy, cóż począć z naszej

strony? Czy odpowiadać; — na co by się to przydało? Więc robić swoje, nie oglądając się na te puste w większej części frazesy i deklamacye. I tak też czyniliśmy i czynimy. Powiedzmy przytem, że cała ta wyśrubowana bez żadnej miary agitacya, cały ten ferwor oburzenia udany czy prawdziwy, mało nam szkodziły. Nie brakowało nam kandydatów do Internatu i nie zabraknie ich nigdy; bo zawsze znajdują się rodzice, którzy dbać będą o to, by dać dzieciom swym moralne i religijne wychowanie. Każdego roku zgłaszało się do nas uczniów dwa i trzy razy więcej niż mogliśmy pomieścić. Od władz rządowych doznawaliśmy stale przychylniej opieki; od władzy kościelnej ruskiej nie było wówczas tak dalece przeszkód, jak dziś jest wszelkie najżyyczliwsze ułatwienie; a jedyna instytucya, gimnazjum ruskie, bez której pomocy nie mogliśmy się obejść, nie odmawiała nam swej pomocy chętnej, dla wychowania naszych uczniów niezbędnej. Zawdzięczamy to głównie Dyrekcyi. Jej bezstronność, roztropność i rzadki takt w trudnych, jakie się zdarzały przejściach, umieliśmy zawsze oceniać i z wdzięcznością je tutaj uznajemy.

Czy ta zacięta nieprzyjaźń, z którą nas u Rusinów powitano, złagodniała nieco? Być może; o tyle przynajmniej, że owe »straszydło«, Zmartwychwstańcy, tak groźne w pierwszej chwili, straciło już dzisiaj cechę nowości; oswojono się poniekąd ze złem. Tymczasem doświadczenie tych kilku lat, posłużyło i nam, żeśmy mogli lepiej rozpatrzyć się w tych różnych gronach i obozach, na jakie się dzieli Ruś nam przeciwna. Jest ich kilka; trudno je dokładnie rozklasyfikować, bo wszystkie mają coś wspólnego między sobą, to jest niechęć i nieufność do Polaków; lecz nie jednaki jest jej stopień i nie jednaki sposób jej objawiania. W najliczniejszym między niemi jest ta nieprzyjaźń bardzo głęboka. Nie można

tym ludziom odmówić miłości Ojczyzny; lecz bodaj czy nie główną cechą tego patryotyzmu jest nienawiść obcych, a zwłaszcza Polaków, dlatego że są bliżsi, że ich się codzień spotyka, a nadto, że w tym kraju, gdzie jedni i drudzy mieszkają, Polacy zajmują wszystkie bez mała wyższe stanowiska. Patryotyzm to ujemny, pogański, nic dodatniego dla sprawy narodowej zdziałać niezdolny, tylko krzykliwe demonstracje. Ale nie potępiajmy zań Rusinów zbyt mocno. Bo i czyż u nas niestety, ten patryotyzm nienawiści niejednemu jeszcze nie wystarcza, nie względem Rusinów bezwątpienia, ale względem innych?.. Bądź co bądź, że przy takim usposobieniu, obóz o którym mówimy, skwapliwie podnosi wszystko, piórem i słowem, co z polskiej strony było i jest przykrego dla Rusi, to rzecz prosta; lecz i to także dziwić nie powinno, że każdą usługę Polaków starannem zakrywa milczeniem. Cokolwiek Polacy zrobią dobrego dla Rusi — Sejm, władze czy indywidua — o tem się nie mówi; tylko to się wciąż i aż do przesady powtarza, co ktoś zrobi złego. Taka jest reguła powszechna; mieliśmy jej małą próbkę na sobie. Przeszłego roku podnieśliśmy głos za językiem ruskim, śmielej może niż niejeden Rusin zwykł to czynić, i dzienniki ruskie przyjęły go milczeniem. A gdy jednego z nich zapytano, dlaczego żadnej wzmianki nie czyni, odpowiedział: »Tyle złego o nich mówiliśmy, że nie wypada nam teraz odmieniać zdania«. I ten powód uspokoił redaktorskie sumienie.

Samo z siebie wypływa, że nasz Internat był dla tego obozu rzeczą najwstrętniejszą i pospieszono go też ogłosić jako machinę w tym celu ustawioną, iżby młodzież ruską przebierać w kontusze i konfederatki. Czy to było prawda albo nie, mniejsza o to; dość że ten Zakład otworzyli Polacy, a któż kiedy słyszał, żeby z rąk księdza polskiego wyszło coś dobrego dla Rusi!... A choć

później niepodobna było zaprzeczyć, że w Internacie młodzież uczy się i mówi po rusku, że uczęszcza do gimnazjum ruskiego i że obrządek wschodni jest w nim najskrupulatniej szanowany — »nic to nie znaczy, odpowiadają (cytujemy tu prawie co do słowa); to tylko powierzchnie i do czasu. Tak samo dawniej Jezuici mówili i robili, aby zwabić dzieci szlachty ruskiej, a wiadomo do czego doprowadzili w końcu. I Zmartwychwstańcy do czego innego nie dążą, tylko żeby znieść kalendarz ruski, odmienić alfabet i wszystko co Ruś od Polaków wyróżnia; jednym słowem, podkopać narodowość ruską. Sami podobno gdzieś się z tem przechwalali! A jeśli trzeba lepszego jeszcze powodu aby przekonać czego chcą Zmartwychwstańcy, to dość ukazać kto ich proteguje? Ci właśnie, którzy sami byli niegdyś Rusinami, a dzisiaj chcą drugich do tego odstępstwa pociągnąć!«...

Cóż na to odpowiedzieć? Że Rusini są ostrożni a nawet nieufni, to pojmujemy; ich nieufność mogłoby w pewnej mierze usprawiedliwić choćby niniejsze sprawozdanie, w którym szczerze wyznajemy, że nam samym niektórzy Polacy doradzali, abyśmy zeszli z drogi, po której idziemy. To też nie żądaliśmy nigdy zaufania z góry; żądaliśmy tylko, do czego każdy ma prawo, aby nas z góry nie potępiano, aby nas sądzono po owocach. »Możeż co dobrego być z Nazaretu?« zapytał Nataniel. »Pójdź a oglądaj« odrzeczł Filip. — Zarzucają nam, że »my nie dla Rusi pracujemy, lecz dla Polski«. Nie dla Rusi tylko lecz i dla Polski, odpowiemy, aby odrobić ile możności co było dawniej zaniedbane, aby naprawić względem Rusi co było złe, i tą wysługą jakkolwiek późną, uprosić zmiłowanie Boże, lepszą dla Polski i dla Rusi dołę.

O drugim obozie zaledwo wspomnieć warto, tak małe to gronko i coraz bardziej malejące. I Polski on

nienawidzi i o Rusi nie chce wiedzieć; jedną tylko ojczyznę wszechruską wyznaje. Zdaje się, że ma sobie specjalnie poruczone jątrzyć między sobą Polaków i Rusinów, kłócić ich i podburzać nawzajem i tę waśń utrzymywać, dopóki okoliczności skorzystać z niej nie pozwolą. — Ważniejszym nierównie jest trzeci obóz, do którego możnaby zaliczyć znaczną większość inteligencji świeckiej. I tu jest niechęć, ale spokojniejsza; nie dochodzi do gorączki, nie pozbawia trzeźwości. I tu jest nieufność, ale nie zaślepią ona do tego stopnia, aby ludzie z tego obozu nie umieli rozemnieć własnego interesu. I owszem widzą go dobrze i z daleka; pozytywni, rachujący na zimno i nieraz z wielką precyzją, żadnemu słowu nie wierzą, ale na fakta są uważni i względem nich ulegli. Jak dla innych, tak i dla nich, Internat był zjawiskiem niespodzianem i niemiłym; na jego program nie zwracali wcale uwagi, ale jednak nie zamykali oczu, i owszem śledzili pilnie, doglądali starannie i po uważnej i dość długiej obserwacji, przyszli do przekonania, że Internat nie jest tak złą instytucją, aby z niej żadnej korzyści wyciągnąć nie można. »Ruś, mówią oni, potrzebuje ludzi wykształconych; przez nich może ona choć w części powetować co dawniej utraciła i zdobyć wraz z politycznym i socyalnym w kraju stanowisko. Jeśli więc Zmartwychwstańcy takich nam ludzi dostarczą, tem lepiej dla nas; mogą to być cyfry poważne, które wejdą do kapitału narodowego. I to dobre, że ci wychowañcy będą mieli więcej ogłady towarzyskiej; bo nie w każdym zakładzie jej się nabywa, a ona dużo znaczy i w świecie ułatwia. A chociaż ta młodzież przejmie od Zmartwychwstańców trochę polskich pojęć, trochę polskiego obyczaju, choć się napoi rzymskim duchem, nie potrwa to długo; potrafiemy ją przerobić, gdy wejdzie pośród nas; poczciwa krew ruska odezwie się w nich. Więc niech sobie Zmartwychwstańcy prowadzą swój zakład; to woda

na nasz młyn. Swoją drogą nie zaszkodzi, że głośno będą ich podejrzyc i krzyczeć na nich i skarżyć; bardziej to ich ustrzeże od polonizacyjnych zachcianek; a w potrzebie będzie można i ten także zakład pomieścić w katalogu naszych krzywd narodowych«. Jednym słowem, trzymać się biernie i tolerować, trochę przeszkadzać lecz nie zawiele; — oto pogląd tego obozu.

Przedstawiliśmy wiernie, jak nam się zdawało, opinie Rusinów o naszym zakładzie, chcąc im i Polakom dać dowód, że się nie łudzimy i pracy naszej nie obrażamy sobie łatwiejszą, niż ona jest w istocie. A jeśli w tym obrazie nawinął się pod pióro rys ostrzejszy i mniej przyjemny, to niech Rusini raczą zważyć, że coś w nim musiało się odbić z tego, co o nas tak długo mówili, i kiedy nam zarzucają, że się chcemy wkupić do ich ufności, to przynajmniej — nie pochlebstwem.

Czy to Ruś cała? Mówiliśmy o takich, co naszemu zakładowi są przeciwni, mniej albo więcej. Poza nimi jest wielka masa klasy włościańskiej, rdzeń narodu, która o antagonizmie do Lachów nic nie wie ani pragnie wiedzieć, i z tym zdrowym zmysłem, jaki ją cechuje, odwraca się od tych, co ją na te zgubne i nedorzeczne chcą wprowadzać tory. Są mieszkańcy miast pomniejszych, i ci także nie mają czasu ani ochoty bawić się sporami, którym inteligencja wielkomiejska z taką lubością się oddaje. Jest mnóstwo i spokojnych i prawych Rusinów, zajmujących prywatne lub publiczne stanowiska, którym ani na myśl nie przyjdzie, iżby to miało odznaczać prawego Rusina, że się z Polakami w dobrej nie żyje harmonii. A nakoniec, jest także nie mało zacnych, pobożnych kapłanów ruskich, i ci jawnie poczynają ustępować już z pod tej chorągwi, pod którą ich niejako przymusem zaciągnięto. Niedalej jak dwa lata temu, przyjazne z dworem lub z żywiołem łacińskim

sąsiedztwo mogło uchodzić w sferach wyższych za nie-najlepszą rekomendację dla proboszcza ruskiego. Dziś dzięki Bogu to się zmieniło, odkąd prawdziwie chrześcijański i katolicki nastał u góry kierunek; i dziś spodziewać się można, że coraz liczniejszym stawać się będzie ów zastęp kapłanów ruskich, którzy swój patriotyzm i słuszną o prawa narodowe troskliwość będą umieli pogodzić z życzliwością dla sąsiedniej ludności.

Zdaje nam się, że zadanie Internatu stanie się przez to samo łatwiejsze. Coraz częściej zgłaszają się do nas kapłani ruscy, chcący powierzyć nam swoje dzieci, i ci przychodząc do Internatu, nie mogą ukryć swego podziwienia (moglibyśmy wiele takich wypadków zacytować), że to co widzą, tak mało odpowiada pojęciom lub uprzedzeniom, jakie z gazet albo z rozmów o nim powzięli. Nic w tem nadzwyczajnego; rzecz to znana w historii katolickich instytucyj. Przez długie lata nieprzyjaciele Kościoła głoszą o nich nieskończone brednie, aż w końcu prawda wychodzi na wierzch. Mniemamy, że i z nami tak będzie, i że przeciwnicy nasi, wśród Rusinów, potwierdzą tylko własnym przykładem owo złote polskie przysłowie: *kłamstwem świat przejdiesz, ale niem nie wrócisz!*

Świeżo, dwóch znanych i powszechnie szanowanych proboszczów ruskich stanęło jawnie po naszej stronie w Radzie powiatowej podhajeckiej, gdy chodziło o przyznanie stypendyum w Internacie. Dawniej byli nam przeciwni, i zmienili swe zdanie, bo jak jeden z nich się wyraził, sposób wychowania młodzieży ruskiej u Zmartwychwstańców odpowiada jego narodowym i religijnym pojęciom. Z głębi serca dziękujemy im za to świadectwo; nagroda to i zachęta dla nas. Fakt to drobny powiedzą, bo pojedynczy; ale mimo to znaczący, bo jest aktem odwagi i mocy przekonań; starano się też zagłuszyć go w niektórych dziennikach ruskich. Prawda jest, że jedna

jaskółka nie przynosi wiosny, ale i ta jaskółka jest wskazówką, że wiosna musi być niedaleko ¹⁾).

Jeszcze o innym objawie wspomnieć musimy, który doszedł nas z tego samego źródła. Jeden z tych zacnych kapłanów, o których dopiero mówiliśmy, z dekanatu podhajeckiego, ogłosił roku zeszłego w *Ruskim Syonie* kilka artykułów o Internacie, w porozumieniu ze swymi kolegami i jako wyraz wspólnych opinij. Pojmując nasz zakład jako dźwignię Unii, wyraził obawę, że celu swego nie dopniemy, bo się do dzieła bierzemy jednostronnie. Nie sami Rusini zawinili różnemi czasy względem Unii, i Polacy mają sobie wiele pod tym względem do wyrzucenia; nie z jednej więc tylko strony ale z obu powinna nastąpić poprawa. Nie dość żeby Rusini byli gorliwymi o Unią, trzeba żeby i Polacy mieli dla niej przynajmniej uszanowanie, i to uczucie trzeba w młodzieży polskiej zaszczipać. Żąda tedy autor, aby w Internacie równa liczba Rusinów i Polaków razem się kształciła, z wzajemnem poszanowaniem języka, obrządku i narodowości, i ażeby w ten sposób ta generacja Polaków i Rusinów, której przeznaczeniem będzie obok siebie żyć i pracować, przepędzała razem szkolne lata, przy wspólnej pracy i zabawie, wiążąc się i oswajając z sobą za młodu. Taka jest w najkrótszych słowach myśl autora; myśl zdrowa, głęboka i która w szerokich przeprowadzona rozmiarach, byłaby najwłaściwszym środkiem do rozwiązania zadania polsko-ruskiego. Atoli

¹⁾ Już po napisaniu niniejszego sprawozdania, czytaliśmy w *Ruskim Syonie* artykuł o Internacie, Ks. Józefa Kobylańskiego, proboszcza ruskiego z pod Kałusza, który przynosi prawdziwy zaszczyt jego kapłańskiemu usposobieniu. Są tam i głębsze i pełne trafności spostrzeżenia. Na owe nieustające narzekania, że Sejm przed trzema laty przyznał subwencję na budowę Internatu, w ten sposób odpowiada: A cóżbyście powiedzieli, gdyby ich był odmówił? Tożbyście dopiero wyrzekali, że Sejm nie chce nic zrobić dla Rusinów, nawet wtedy, gdy ich polskie mają wychowywać ręce!

to połączenie dwóch języków i dwóch obrządków w jednym zakładzie przedstawia w praktyce ogromne trudności, i dlatego upewniając autora, że jego rady tak prawdziwie chrześcijańskiej nie spuszczaemy z pamięci, spieszyć się z jej wykonaniem nie możemy.

Ostatnie słowo nasze chcemy zwrócić do was, Szanowni Panowie i Panie. Podjęliście wraz z nami rzecz arcytrudną lecz wielkiej doniosłości. Słyszeliśmy między innymi taki zarzut: »Szkoda waszego wysiłku; waszego czasu i poświęcenia szkoda. Bo w najszcześniejszym razie cała praca wasza przyniesie tylko — kroplę do morza. Cóż znaczy kilkunastu lub kilkadziesiątu kapłanów ruskich, których w waszym zakładzie przysposobić zdołacie, wobec tak wielkiej ilości, jakiej potrzeba!« Nie przeczymy. Lecz czyż wszelkie usiłowanie ludzkie nie jest tylko kroplą w morzu, wobec ogromu złego, wobec naglących potrzeb społeczeństwa; i czyż ta kropla nie zmienia się potem i w rzeki, i w jeziora, i w morza, kiedy jej Bóg pobłogosławi? Rzekł mędrzec tegoczesny: w dziełach chrześcijańskich trzeba być śmiałym jakby się mogło wszystko i pokornym jakby się nic nie mogło. Rezultat nie od nas zależy; składamy go w ręce Pana, ufni, że nam pobłogosławi, a ufni dlatego, że Mu chcemy służyć w dobrej intencji, a także z tej przyczyny, żeśmy się wzięli do pracy na rozkaz tego, który jest namiestnikiem Chrystusa Pana na ziemi.

I w tem jest nasza siła, której przeciwnicy nasi nie mają i nie rozumieją. Jeżeli ta sprawa jest z Boga, jak o tem najgłębiej jesteście w duszy przekonani, to On zesle ludzi, którzy nam pomogą, którzy i nadal dostarczą środków, jak dostarczyli do tego co już spełnione. Bóg robi cuda stopniowo i niewidocznie, podobny w tem do mistrza, który patrzy z boku, niby obojętnie, jak czeladź jego wywiązuje się z zadanej roboty. On

przyjdzie w swej porze, przeszkody usunie, błędy naprawi i rzeczy dokończy. A że tymczasem szarpać nas będą, i gryźć, i podejrywać, i oczerniać — to cóż to szkodzi? Wszak było tak od początku i to nas wcale nie zatrzymało wśród drogi: bośmy w ciągu tej drogi, liczyć mogli zawsze na ludzi dobrej woli.

W końcu pozwólcie Sz. Panowie i Panie, bym w waszem i własnem imieniu podziękował Najprz. Książętom Kościoła za tę łaskę, iż to zebranie swoją obecnością uświetnić raczyli; ich obecność jest dla nas najpożądańszą sankcyą, bo sankcyą Kościoła; — a także, iżbym hołd należny złożył Reprezentantowi Miłościwego Monarchy. Nie od dziś dnia dopiero poczuwamy się do żywej wdzięczności dla Waszej Ekscelencyi. Dużo pierwej, zanim łaska Cesarza i twoje zasługi wyniosły Cię Ekscelencyo na to najwyższe w kraju dostojęństwo, odbieraliśmy od Ciebie nieprzerwane dowody twojej życzliwości. A nietylko od Ciebie Ekscelencyo, ale i od twego przezacnego Domu. Niejedna z tych rzeczy, które w tym zakładzie widzimy, nie byłaby się zrobiła, gdyby z twego Domu i z twego natchnienia nie dochodziła nas życzliwa rada i pomoc. Szczęśliwy jestem, że to dziś głośno wyznać mogę.

VI.

Internat ruski i wychowanie po za szkołą.

(Sprawozdanie odczytane we Lwowie 4. marca 1886 r.).

Mając zdać sprawę Czcigodnym Paniom ze stanu Internatu, musimy tym razem wejść nieco bliżej w jego szczegóły budżetowe i prosić naszych słuchaczy o chwilę cierpliwości dla szeregu cyfr, które przedstawimy.

W bieżącym półroczu doszliśmy do liczby 60-ciu uczniów i to jest *maximum*, przy którym pragniemy pozostać, przynajmniej tak długo, dopóki stosunki ekonomiczne naszego kraju się nie poprawią. Wszyscy chodzą do gimnazjum ruskiego, z wyjątkiem jednego, który kończy swe nauki rozpoczęte w gimnazjum polskiem. Pod względem klas, dzielą się oni jak następuje: 2 chodzi do klasy przygotowawczej, 12 do pierwszej, 10 do drugiej, 7 do trzeciej, 10 do czwartej, 10 do piątej, 4 do szóstej, 3 do siódmej. Oprócz nich, jest dwóch Bułgarów obrządku wsch., którzy ukończywszy gimnazjum nasze w Adrianopolu, tu we Lwowie słuchają kursów prawa. Myślę, że kiedy tyle młodzieży bułgarskiej kształciło się dawniej w Odesie, Charkowie i w Moskwie, ten drobny wyjątek dla uczniów bułgarskich po katolicku

wychowanych, nie będzie raził w naszym zakładzie nikogo, zwłaszcza gdy na Rusinów działa on korzystnie.

Wydatki Internatu na rok bieżący wynoszą:

60 uczniów po 300 złr. ¹⁾	18.000 złr.
księży i bracia użyci przy Internacie (osób 9)	2.900 »
utrzymanie domu i kaplicy, nabożeństwo ruskie i t. d.	400 »
Razem	21.300 złr.

Potrzebujemy więc w obecnym stanie na Internat 21.000 złr. przeszło. Główne źródło na pokrycie tych wydatków płynęło, jak dotąd, z waszego Stowarzyszenia Czciogodne Panie. Obecnie poszczupłało ono nieco. Opieka lwowska, w miejsce 5.150 złr. jak w roku zeszłym, przyniosła 3.970 złr. Opieka krakowska, w miejsce 3.788 złr., przyniosła 2.379 złr. 25 c. Razem obie Opieki zamiast 8.938 złr. przyniosły 6.349 złr. 25 c.; niedobór 2.588 złr. 75 c. Ośmiu opiekunów lub opiekunek wymówiło się od dalszej pracy albo nie dało znaku życia; w ich miejsce trzech nowych ofarowało swe usługi. Ubytek i w opiekunach i funduszach dość znaczny; lecz mamyż prawo temu się dziwić wobec powszechnego zubożenia kraju, wobec tyłu zawodów i klęsk, i przy trosce, która prawie każdego dziś zasepia, kiedy chodzi o związanie dwóch końców budżetu? Bynajmniej, i tem większą wdzięczność czuć musimy dla was, Szanowne Panie, iż chcecie trwać dalej w tej służbie dla miłości Kościoła i kraju podjętej. Wiemy dobrze, że służba to nie miła,

¹⁾ W sumę 300 złr. na jednego ucznia rocznie wchodzi: ubranie i pożywienie, opał i światło, książki i potrzeby szkolne, służba lekarska, oraz lekcyjne dodatkowe w zakładzie, śpiewu, gimnastyki i t. d. Tyleż na każdego zakonnika użytego przy Internacie, z dodatkiem 200 złr. na pocztę, podróże itp. — Księża i Bracia użyci przy kaplicy łacińskiej, utrzymywani są z osobnych funduszków.

nie łatwa; wiemy jak często trzeba przypominać i naręczać się i narażać tym, którychby się chciało zostawić w pokoju. Rzemiosło żebraka nie przestaje być bolesne, nieledwie wstrętne, chociaż się żebrze dla drugich. O ileż wygodniej jest nic od drugich nie żądać, nic nie potrzebować; *beatus est dare quam accipere*. Niech Panie wierzą, że wasz trud szlachetny oceniamy gorącym sercem, choćby dlatego, że i sami doświadczyliśmy go trochę...

Ale prócz ludzkich, są i Boże rachunki. Pan Bóg umie i w tem jeszcze życiu przykrości osładzać i nagradzać zawody. Przyszła nam pomoc stamtąd, skąd najmniej mogliśmy jej spodziewać się, z prowincyi najbardziej pod względem ekonomicznym zagrożonej. Pewna liczba pań wielkopolskich, miłością świętego Kościoła natchnionych, chcąc wziąć udział w waszej pracy, przyczyniła się do niej swym trudem i ofiarą; przybyła także świeżo uchwalona subwencya sejmowa. Z tym podwójnym zasiłkiem możemy złożyć nasz budżet. Oto jak on się przedstawia na ten rok z funduszów już odebranych lub spodziewanych na pewno:

Opieka lwowska	3.970 złr. — ct.
Opieka krakowska	2.379 » 25 »
Od Dam wielkopolskich	3.104 » 30 »
Od kapłanów wielkopolskich (w dwóch przesyłkach: 597 złr. 88 c. i 370 złr. 50 c.)	968 » 38 »
Piętnaście stypendyów sejmowych po 300 złr.	4.500 » — »
Cztery stypendya Rad powiatowych ¹⁾ (sokalskiej, buczackiej, jarosław-	
Do przeniesienia	14.921 złr. 93 ct.

¹⁾ Już po odczytaniu tego sprawozdania, doszła nas wiadomość o uchwaleniu stypendyów w Radzie powiatowej podhajeckiej, oraz o przyznaniu $\frac{1}{3}$ stypendyum przez Radę cieszanowską.

Z przeniesienia 14.921 złr. 93 ct. skiej i przemysłskiej) i sześć sty- pendyów osób prywatnych po 300 złr.	3.000 » — »
Z opłat naszych uczniów	2.100 » — »
Razem 20.021 złr. 93 ct.	

Pozostaje do wyrównania budżetu około 1.300 złr., które albo zarobek własny zakonników albo jałmużna, jaką Bóg przysśle, zapełnią. Taki jest stan finansowy zakładu na rok szkolny bieżący; co będzie dalej, zostawmy to dalszemu czasowi.

Tymczasem jest za co i Bogu i ludziom dziękować. Uchwała Wysokiego Sejmu przyznała nam subwencyę, której żądaliśmy. Będzie to zrozumiałością z naszej strony widzieć w niej zaszczytne dla nas świadectwo; przyjąć je jako dowód, że kraj przez usta swoich reprezentantów działalność Internatu, w szóstym roku jego istnienia, za pożyteczną i godną poparcia uznaje. Takby wnosić wypadało z owej przemowy, pełnej namaszczenia i miłości, którą dostojny Książe Kościoła rozprawy sejmowe zagaił, a także ze słów serdecznych owego kapłana ruskiego, zarówno swej Cerkwi jak narodowości wiernego, po których Izba prawie jednomyślnie wyrok swój wydała. A poprzedziło go sprawozdanie Komisji budżetowej, która niepierwej wniosek swój postawiła, aż rzecz sumiennie, ostrożnie i wielostronnie zbadała.

Za te przemowy i świadectwa jesteśmy prawdziwie wdzięczni, jak niemniej za życzliwość tych wszystkich, którzy choć głosu w tej okazyi nie zabrali, swoją powagą i wpływem poparli skutecznie nasz zakład. Może jednak nie będzie od rzeczy, jeżeli słów parę z naszej strony dla objaśnienia dodamy. Między powodami, które skłoniły Komisję budżetową do stawienia swego wniosku, miał być i ten, że kierunek Internatu powierzony

jest — mówiącemu te słowa. Nie mam żadnego zamiaru polemizować z Komisją, ale zdaje mi się, że powinienem przytoczyć pewne okoliczności, o których wolno było Sz. Referentowi nie wiedzieć.

Jeśli chodzi o instytucję, która zostaje pod przewodnictwem człowieka świeckiego, albo nawet świeckiego kapłana, to słusznie może nasunąć się pytanie, co będzie później, kiedy tego człowieka zabraknie? Czy w niej, po jego śmierci, ten sam duch zostanie, czy też przeciwnie, ze zmianą przełożonego i ona nie ulegnie zmianie pod względem kierunku, metody i sposobu prowadzenia? Obawy te są słuszne i pojmujemy, że w Komisji budżetowej, która człowieka tylko miała na pamięci, mogły one zaważyć. Ale w zgromadzeniach zakonnych mniej one wydają się na miejscu; tu jednostka o wiele mniej znaczy. Tu ktokolwiek jest przełożonym zakładu, zawsze wyrażać będzie myśl nie własną tylko, ale tę, która całe Zgromadzenie ożywia i prowadzi. Jakkolwiek w Galicyi pierwszy to dopiero nasz dom edukacyjny, nie pierwszy on w historii naszego Zgromadzenia. Mamy podobne w Kanadzie, w Stanach Zjednoczonych północnej Ameryki, w Bułgarii. Mianowicie w Bułgarii stosunki są dosyć podobne do naszych. I tam powitano Zmartwychwstańców nieufnie i niechętnie; wyprzedziło nas podejrzenie, po włoskich i francuskich misyonarzach pozostawione, że przychodzimy latynizować ludność wschodnią. Śnać nie wiedziano, że Polacy zbyt wiele wycierpieli w obronie własnej narodowości, aby nie umieli jej uszanować u obcych. — Podczas ostatniej wojny tureckiej, władze rosyjskie zajmowały czas dłuższy Adrianopol i zwróciły uwagę na naszą szkołę. Najmocniej były one przekonane, że pod opieką turecką, która nam wszelką swobodę zostawiała, przerabiamy młodzież bułgarską na Polaków. Nawiedzano nas tedy, odbywano kilkakrotne rewizye, przeglądano

bibliotekę; gubernator rosyjski tak daleko posunął swą ostrożność, że kazał czytać wypracowania piśmienne naszych uczniów, aby nas schwytać na gorącym uczynku polonizacyi. I dopiero, gdy ani polskiej ani łacińskiej propagandy nie dopatrzył się śladu, zostawił nas spokojnie, zwłaszcza, że mu i czasu zabrakło, by się nami dłużej zajmować.

Opowiedziałem to zdarzenie na dowód, że osobistość przełożonego nie wpływa bynajmniej na kierunek wychowania w zakładach naszych. Jak tam nie wyradawiamy młodzieży bułgarskiej i nie uczymy jej nawet po polsku, bo inne języki są o wiele jej potrzebniejsze, jak tam staraliśmy się zaszczepiać w nich razem z miłością ojczyzny bułgarskiej, głęboką miłość powszechnego Kościoła, tak i tutaj kierunek ruski i katolicki, a przyjazny drugiej krajowej ludności, był nam od początku wskazany. I tego trzymać się będzie wiernie każdy, co tu będzie na mojem miejscu, bo jesteśmy przekonani, że tylko przy takiej dążności, można powoli osiągnąć to wszystko, czego z jednej strony wymaga dobro Kościoła i Rusi, a z drugiej dobro naszego kraju i monarchii.

Wreszcie dodać winienem, że chociaż mówiący te słowa jest u steru tutejszego zakładu, nie on właściwie go prowadzi. Istotnym przewodnikiem Internatu jest O. Smolikowski. Odbyszszy ośmioletnią praktykę w misyi bułgarskiej, wprawną ręką objął nadzór nad naszą młodzieżą i nabyte tam doświadczenie przeniósł tu szczęśliwie. Co się dobrego w tej instytucyi zrobiło od lat trzech, jego jest dziełem. Rad jestem, że tę zasługę O. Smolikowskiego mogę tu wyznać publicznie; boć z jednej strony niemiło odbierać uznania, które się szczerze mówiąc nie należą, a z drugiej dobrze jest, jeżeli ci, co się troszczą o przyszłość tego zakładu, będą upewnieni, że choćby tu między nami kogoś zabrakło, nic się jeszcze przez to nie zmieni.

W ciągu dyskusyi tegorocznej nad subwencją naszą w Sejmie, dał się słyszeć głos, że wychowanie nasze jest pieszczące, że dogadzając naszym uczniom i obmyślając wszystkie ich potrzeby, odbieramy im tę twardość i ten hart, w które młodzież ruska zawczasu uzbroić się powinna na dalsze, wcale niełatwe losy swego życia. Z tych słów wnosiłoby można, że byłoby najlepiej, gdyby młodzież ruska żadnej nad sobą nie miała opieki, żadnej mianowicie nie doznawała życzliwości; aby w tych warunkach, w które jest rzucona, szła naprzód sama, przebojem, jakby z zaciśniętymi pięściami. Ile jej padnie wśród drogi, to mniejsza, byleby ci, co przetrwają, zahartowali się do walki! Że tego rodzaju poglądom kierunek naszego Internatu musi być wprost przeciwny i antypatyczny, to rzecz jasna; ale też mniemamy, że dość takie zdania raz posłyszeć, aby się utrwalić w przekonaniu o potrzebie i konieczności nie jednego ale więcej takich jak nasz domów wychowawczych. Wszak można przypuścić, że dzisiejszą wojnę dynamitową, o której zewsząd słyszymy, a która nigdzie jeszcze ostatniego słowa nie wyrzekła, prowadzą ludzie nie bez wykształcenia naukowego, ale z pewnością nie wychowani w »pieszczących« a zwłaszcza zakonnych Internatach. — Przeczytaliśmy uważnie tę mowę posła ruskiego, ale żadnego więcej zarzutu przeciw sobie nie znaleźliśmy. Sąć tam wprawdzie dawne zaczepki, że Internat polonizuje swych uczniów, powtórzone i tym razem dla zwyczaju, ale czy z dobrą wiarą!... Za to, skąd inąd, mianowicie z prowincyi dochodziły nas zarzuty, że 300 złr. rocznie na jednego ucznia to za wiele, że możnaby go taniej wychować. Nie przeczymy; wszystko tu zależy od celu i założenia, które się przyjmuje. Nam się zdaje, że dobre wychowanie nie idzie zazwyczaj w parze z dziurawemi butami i ze świecącemi w surducie łokciami; że przy największej roztropności w wydatkach, nie dobrze jest

tak bardzo dusić każdy grosz, aby młody mógł mniemać, że nic nad to niema ważniejszego, i że prócz pieniędzy nic oszczędzać nie potrzeba; a dodajmy, iż ze wszystkich oszczędności najgorsza jest ta, która musi uszczuplać pożywienie, i to w wieku, w którym organizm człowieczy najbardziej się rozwija. Lecz dajmy pokój argumentom, które nie trafią do każdego, a stawmy przed oczy żywy obrazek wzięty z natury, jak się to w kraju naszym młodzież wychowuje za »tanie pieniądze« i »bez pieszczącego Internatu«. Mamy tu na myśli i polską i ruską młodzież zarówno.

Ojciec niższego stanu, lub tylko mniej zamożny, przywożąc syna swego do Lwowa, jeżeli nie może go wcisnąć do jakiegoś zakładu za darmo lub napół darmo, umieszcza go u gospodyni, która chłopców przyjmuje »na stancyę«, albo u stróża, woźnego, rzemieślnika, gdzie bądź — byle za najmniejsze pieniądze. Jaką tam syn jego znajdzie opiekę, pod którym zostanie dozorem, o to on nie pyta, dość by się uczył, a z głodu nie umarł. Gospodyni ma zwykle jeden pokój wolny i w nim tłoczy łóżek ile może, przybije do ściany parę półek, we środku postawi stół, bodaj czy kiedy umyty, a koło niego stołków nie zawsze tyle, ilu ma lokatorów; na stole lampę, która świeci tylko do oznaczonej godziny. Razem z kwaterą daje wikt, który się składa z kartofli, kaszy i chleba (mięso, chyba we święto) i za takie utrzymanie pobiera 12 do 15 złr. miesięcznie. Chłopiec nie dozna u niej ściśle mówiąc głodu, chyba, że się spóźni na jedzenie, ale za to ile nieczystości, ile zaduchu! Pościel, która do niego już należy, brudna, nigdy porządnie niezasłana, robi wrażenie barłogu. O bieliznę lepiej nie pytać, tem się gospodyni nie zajmuje; dość jeśli grzbiet pokryty i jeśli palców z buta nie widać. W brudzie i nieporządku żyje on rok cały, i tak doń nawyknę, że go to nie razi, i pó-

źniej gdy wyrośnie, gdy zostanie księdzem, nie razi nawet w domu Bożym, nawet na ołtarzu. Nie przyjdzie mu na myśl, żeby to mogło i powinno być lepiej, bo nikt go nie upomniał, nikt nie dał przykładu. A bodajby się na tem skończyło; gorzej, że z takiej kwatery wyjdzie ze zdrowiem podciętem, że śpiąc przy ścianie, po której wilgoć płynie strumieniem, nabawi się peryodycznych bólów głowy, i że w dziesiątym lub dwunastym roku życia, będzie już do kości zreumatyzmowanym. Możemy to śmiało mówić, bo się z tem nierzadko u kandydatów do naszego zakładu spotykamy. Lecz gorzej jeszcze, że w takiej kwaterze razem z brudem i niezdrowem dla ciała i brud moralny spływa do duszy codziennie.

Nie myślimy bynajmniej przeceniać moralności wiejskiej lub małych miasteczek; wiemy, że ona niewinna chyba w sielankach; ale jednak młody chłopczyna, który do wielkiego miasta świeżo przybywa, przynosi z sobą jakąś wiarę, jakieś uszanowanie dla rzeczy Bożych, rano i wieczór odmawia pacierz. Na kwaterze, gdzie go ojciec postawił, spotyka się ze starszymi, którzy go prędko tych przesądów oduczą. Trudno od malca żądać bohaterstwa; więc przestaje się modlić, bo z niego koledzy się śmieją. Ich rozmowy gorszą go i wstydzą z początku, lecz i do nich przywyka, i w końcu znajdzie w nich upodobanie. Niema nikogo, coby to spostrzegł od razu, zawczasu upomniał, w potrzebie ukarał; chodzi do szkoły uczyć się łaciny i greki, ale w domu jest szkoła wzajemnego psucia, od której nikt go nie strzeże. Ileż to brzydkich nałogów albo i chorób nabywa się w takim otoczeniu, które nieraz ciąży przez resztę życia! Po innych stancyach, np. u stróża albo u rzemieślnika, chłopczyna niemniej sobie samemu jest zostawiony. Prawda, że kiedy tam piją wódkę, to i »pana studenta« potrakują, ale zresztą nie oglądają się nań wcale. Czego on

tam nie słydszy, jakie klątwy i ordynarne przezwiska, jakie żarty i opowiadania, jak grubijańskiego obejścia nie dostrzega albo i sam nie doznaje! A jakie tam książki między nimi kursują! Człowiek starszy nie czytałby ich bez wstydu. — Czy mam wchodzić w dalsze szczegóły studenckiego na stancyi pożycia? Obraz to zbyt wstrętny i bolesny; zresztą domyśleć się go łatwo. W owych latach wiośnianych, kiedy dusza żądna wrażeń, chciwie je od swego otoczenia przyjmuje, kiedy najłatwiej zasiać w sercu szlachetne pragnienia, nadać woli zacny i podnioślejszy kierunek — w owej to porze, rzuca się biedne dziecko, samotnie, wśród kolegów już zepsutych, albo wśród ludzi grubych, prostackich, którzy nawet pojęcia nie mają, jakim są dla niego zgorszeniem. I w takich to domach wychowują się przyszli nauczyciele, urzędnicy, księża! Dla tych, którym »pieszczące Internaty« są tak bardzo wstrętne, tego rodzaju stancye i kwatery powinny być ideałem wychowawczym!...

Nie mówię ja, żeby wszędzie było tak źle, jak dopiero opowiedziałem, ale nikt nie zaprzeczy, że to złe nie jest u nas wyjątkiem. Rzekł jeden uczeń do swego kolegi: »Daj mi kilka myśli na temat: »zły przykład tworzy złe obyczaje«. »Masz je gotowe, odparł kolega, opisz historię ucznia gimnazyalnego na stancyi«. Inny powiedział nam: »Rok tylko jeden przepędziłem na stancyi, nie mając nad sobą nikogo ze starszych, u gospodyni, która ani złą ani dobrą nie była; — ot, zwyczajna, prosta kobieta, która pilnuje jak się ze studentów wyżywić! Tego roku nie zapomnę nigdy! On mi zostawił w duszy ranę głęboką, która długo jeszcze odzywać się będzie«. W wielkich miastach Stanów Zjednoczonych chodzą, jak wiadomo, pociągi kolei żelaznej po najludniejszych ulicach, gdzie ruch bywa nieustanny. Patrząc na to, rzekł cudzoziemiec przejezdny: »Anioł Stróż musi w tem mieście mieć wiele do roboty, aby

tutejsze dzieci chronić od pewnej zguby«. Anioł Stróż niemniej bezwątpienia ma do roboty w naszych kwaterach studenckich, lecz czy wiele tych biednych istot ochroni?... A jeśli, pomimo tylu wpływów gorszących i pokus niebezpiecznych, nie wszystko się psuje i pewna liczba młodzieży wychodzi z tej próby mniej więcej obronną ręką, przypisać to potrzeba, po łasce Bożej, pocziwej naturze młodzieży polskiej i ruskiej, w której wiara bardzo rzadko gaśnie do szczytu i od czasu do czasu budzi uśpione sumienie.

Powiedzą mi: »przecież szkoły i gimnazya muszą oddziaływać ze swej strony i na złe przynosić lekarstwo!« Szkoła formuje głowy, rozwija i bogaci umysł, ale charakter, zasady, uczucia i obyczaje młodzieńca — te już zależą od przykładu ludzi, którzy mu zastępują ojca, matkę, rodzinę. Ich wpływ jest stanowczy, wobec niego szkoła jest najczęściej bezsilną. Nikt więcej od szkolnych profesorów nie cierpi na złem wychowaniu uczniów. Ich niesforność, gburowatość i zdziczenie moralne, które z sobą do gimnazyów przynoszą, jak im samym czynią postępek w naukach prawie niepodobnym, tak profesorom ciężką stawiają przeszkodę, utrudniają wykład, rozrywają uwagę, najcierpliwszego mogą przywieść do niecierpliwości. Ileż to protokołów z przeróżnych sprawek, niezawsze dziecinnych, które profesorom zabierają czas, a w uczniach wyrabiają takie pojęcie i taką praktykę koleżeństwa, że przy nich sumienie młodego może stać się bardzo elastycznym! *Ex abundantia cordis os loquitur*, z obfitości serca mówią usta; więc i to się wydarza, że w wypracowaniach swoich uczniów profesor spotyka niekiedy takie ustępy, które same przez się zasługiwałyby na świadectwo »złych obyczajów«.

Czyż niema sposobu, by zapobiedz zarazie, która w złych kwaterach się gnieździ, a w szkołach się udziela? Za dawnych czasów Rzpltej, w każdym mieście woje-

wódkiem były wyznaczone obok gimnazyum, domy prywatne, w których jedynie wolno było uczniom lokować się; kto gdzieindziej zamieszkał, wyjąwszy najbliższych krewniaków, nie był przyjęty do szkoły. Gospodarz, który dopuścił większego zgorszenia wśród swoich stołowników, tracił prawo lokacyi. W każdym z takich domów mieszkał korepetytor, czyli jak wówczas zwano »pan dyrektor«, albo przynajmniej kilka razy na dzień dochodził i lekcye z uczniami przerabiał. Nadto ustawa Komisji edukacyjnej powiada: »Prefekt szkoły (który był pomocnikiem i zastępcą Rektora) powinien często nawiedzać mieszkania uczniów, dozierając pilności dyrektorów, ochędostwa w domu, odbierając młodzieży książki gorszące, a dając użyteczne i budujące. Dyrektorowie donosić mu mają natychmiast, gdy który uczeń w chorobę popadnie; zaczem prefekt go odwiedzi i obmyśli środki wyzdrowienia. W dawaniu uczniom dyrektorów uważać ma szczególnie na ich pilność i dobre obyczaje, i co miesiąc odbierać od nich raport o uczniach«¹⁾. Przepisy rozumne i ojcowską nacechowane troskliwością; czy i w jaki sposób dałyby się dzisiaj zastosować, nie do nas o tem sąd należy. Ale to nam się pewnem wydaje, że społeczeństwo, które o to tylko się troszczy, by liczbę szkół wciąż pomnażać i wykształcenie umysłowe wciąż rozszerzać, a o właściwem wychowaniu młodzieży nie pamięta, ani nie wgląda w to, co robi uczeń poza szkołą, podobne jest gospodarzowi, któryby bezustannie swe łąki i pola nawodniał, a nie myślał o tem, że trzeba tą wodą pokierować, że trzeba dla niej rowy i spusty pokopać, bo inaczej wszystka trawa zgnije... Takie społeczeństwo gotuje sobie smutną przyszłość. Boć jeśli złą

¹⁾ Ustawy Komisji edukacji narodowej dla stanu akademickiego i na szkoły w krajach Rzpltej przepisane. Warszawa, 1784. Rozdz. XIII, o Prefekcie szkół.

jest ciemnota, to stokroć gorszą jest pewnego rodzaju »oświata« bez zasad moralnych i bez obyczajów.

Drobnem antidotum na tak wielkie złe, groźne społeczeństwu, jest nasz Internat, który zgromadził u siebie kilkadziesiąt uczniów i pragnie ich po chrześcijańsku wychować. Długą jest droga, którą odbywać musimy, i metoda nasza niekoniecznie ta sama, którą się gdzieindziej spotyka; może przy innej sposobności opowiemy ją bliżej. Tu wspomnimy tylko o tych wrażeniach i przemianach, przez jakie młody przechodzi, kiedy się do nas dostaje. Najpierwsza rzecz, która go uderza, jest porządek, czystość i ochędóstwo w domu; nigdy tego nie widział, więc go to dziwi, czasem niecierpliwi, lecz zresztą dość prędko przywyka. Trudniej przychodzi mu pojąć, dlaczego mu nakazują grzeczność i usłużność dla kolegów, a uszanowanie dla przełożonych i profesorów; dlaczego żądają, aby przeproszał za każde, choćby mimowolne uchybienie; wydaje mu się to śmiesznem i zgoła niepotrzebnem. Dłuższego potrzebuje czasu, zanim się odczyzy kłamstwa i wykrętów, w które natura ludzka wszędzie jest bogata, bogata i na Rusi; niełatwa to rzecz wpoić w duszę młodą przekonanie, że kłamać i udawać nie wolno, nie wolno wcale, czy ludzie widzą czy nie widzą. Jeszcze trudniejszym i przykrzejszem jest dla niego wdrożyć się do porządku dnia, do rozkładu godzin i zajęć. Nie mówić i nie biegać, kiedy się chce, siedzieć spokojnie przy książce i słuchać uważnie wykładu profesora, tak żeby go można schwycić i spamiętać; a dopiero wtedy bawić się i swawolić, kiedy nadejdzie czas rekreacji, to przymus ciężki chociaż konieczny, i wyznajmy, że dzieci ruskie poddają mu się daleko łatwiej niż polskie. Pierwsze zadanie dla młodego w szkole jest nauczyć się pracować; to rzecz o wiele ważniejsza, niż nabyć tę lub inną umiejętność i przejść dobrze egzamin;

to piętno w duszy wyciśnięte na zawsze, to zdobycz na całe życie. W tej trudnej nauce są stopniowania. Dozór w wychowaniu tak potrzebny, może być czasem zbyt czyny, a nawet szkodliwy, jeśli młody nawyknie nic bez niego nie robić. Otóż nauczyć go pracować, chociaż nad nim nie ciąży kontrola przełożonego, pracować nie z bojaźni ani nawet dla dobrego w szkole postępu, ale jedynie z uczucia obowiązku, to dopiero rzecz godna chrześcijańskiego wychowania. Uczucie obowiązku to dozorca, którego nikt nie zastąpi, i tylko o takim, co słyszy w duszy głos tego dozorca, można powiedzieć, że jest dobrze wychowanym. Iluż starszym brakuje w życiu tego najlepszego przewodnika; ileż to ojców i matek nie domyśla się tego, że dzieciom swoim nic, nic zgoła nie dali, jeżeli ich za młodu do obowiązku nie wdobyli; że tej pustki w duszy nic później nie zapełni, że wszystko inne co im dadzą — majątek, stosunki towarzyskie, eleganckie wyształcenie, bez uczucia obowiązku — będzie tylko powodem do tem większej ich ruiny! A tego nie dadzą, jeśli sami nie mają... Ale iżby młody przyszedł do podobnego wyrobienia, trzeba, aby wprzód umiał zastanawiać się nad sobą, rachować się z sumieniem, siebie osądzić i w potrzebie potępić, a zawsze iżby umiał czuć i walczyć. To już bez uczuć i zasad religijnych niepodobne; a my tymczasem, nawet ze starszymi, musimy tu powtarzać katechizm, przygotowywać do spowiedzi i do komunii świętej. Bo i tego nie umieją, i nic dziwnego; wykład katechety w szkole nie może utkwić w pamięci ucznia, jeśli go w domu dobry przykład nie popiera. Powiadają, że młodzież naszą przerabiamy na fanatyków! Wszak u nas, aby zasłużyć na ten przydomek, dosyć jest wierzyć, że przykazania Boże obowiązują zawsze i wszędzie...

To jedno zadanie Internatu, pedagogiczne i religijne; jest i drugie, społeczne, w pewnej mierze polityczne. Ma on przyczyniać się do zbliżenia dwóch ludności, które Bóg złączył, bo je razem umieścił, a obustronne błędy ludzkie rozłączyły. I tu robota czeka nas duża. Też same uprzedzenia i niechęci, których doznajemy od starszych, tkwią w duszy młodego. Wmówiono weń, że chcemy zmienić go w Polaka, wyuczyć go łańcińskiej dewocyi; w to on wierzy i tak się układa, by się niczem nie zdradzić, a słuca, patrzy i śledzi za tem pilnie, coby mogło utwierdzić jego podejrzenia. Po upływie kilku tygodni, gdy się przekona, że nikt na jego narodowość nie czyha, że mu wolno i mówić i śpiewać po rusku, że nabożeństwo odprawia się w jego obrządku, a piękniej i poważniej niż zazwyczaj to widywał; dopiero wtedy poczyna zapominać z czem tu przyszedł i serce jego otwiera się do większej szczerości. Wreszcie swoboda i wesołość, które panują w Zakładzie, prostota w obejściu i dobry humor kolegów, dokonywują szczęśliwie w nim zmiany. Ale nie zawsze; bo są natury tak twarde i w swej obłudzie i przewrotności tak zacięte, że do nich najlepszem słowem nie trafi, i wtedy niema innego środka, jak pozbyć się ich z domu. A wydalamy z zasady i takich, którzy klasy nie przechodzą, bądź, że się uczyć nie chcą, bądź, że nie mają zdolności; zdaje nam się, że ze wszech miar jest lepiej, jeżeli poszukają odpowiedniego dla siebie zajęcia.

Podobno zbyt cieżnym byłoby tu dodawać, że praca nasza obrachowana jest na długi szereg lat, i że jej rezultat zależy od wytrwałości w podjętej raz służbie. Lecz, Czcigodne Panie, nie od nas tylko Bóg tej wytrwałości wymaga. Sami nic nie zrobimy. On wybrał was, Czcigodne Panie, za narzędzia do spełnienia swoich zamiarów, i przychodzę prosić, abyście i nadal pozostać niemi

raczyły. A prośba moja musi być w obecnej chwili tem gorętszą, że na ową pomoc, która nas ostatniemi czasy z Wielkopolski dochodziła, liczyć nadal, przynajmniej w równej mierze, nie możemy. Tej nad miarę utrapionej prowincyi, raczej inne ziemie polskie, pomnąc na wspólne niegdyś gniazdo, przyjsćby dziś w pomoc powinny. — Dla wielu stowarzyszonych kończy się w bieżącym roku albo się już skończył, sześcioletni termin, na który przyjęli zobowiązanie do zbierania lub składania ofiar. Jeżeli tworząc nasze Stowarzyszenie, proponowaliśmy członkom Opieki, by się związali nie dłużej jak na sześć lat, to uczyniliśmy dlatego, aby im dać możność przeświadczenia się, czy myśl takiego zakładu jest wykonalna i czy ją warto albo nie, nadal popierać. Była to więc próba, i zdaje nam się, że wypadła korzystnie. Otworzyliśmy instytucyę z sześcioma uczniami, dziś jest ich 60; umieściliśmy ich zrazu w naszym klasztorze z małą kapliczką łacińską, dziś Internat jest w swoim domu i ma własną, dość okazałą kaplicę; starsi uczniowie za lat dwa lub trzy, ukończą gimnazyum i niektórzy rozpoczną wtedy swe studia teologiczne, pierwszy więc szczebel będzie niebawem przebyty. Nie sędzę, Czcigodne Panie, byście nas w takiej chwili chcieli odstępować; przynajmniej, zdaje nam się, żeśmy na to nie zasłużyli.

Chodzi więc, Czcigodne Panie, po skończonem sześcioleciu, o odnowienie dawnych, o zyskanie nowych, jeśli podobna, zobowiązań. Nie wątpię, iż będą trudności, a najpierwszą podobno jest ta, że rzecz przestała być nową, że więc straciła ten powab, który u nas i wszędzie tak wiele znaczy; druga przeszkoda znajduje się w tem powszechnem zubożeniu kraju, które zmusza każdego do ścisłego rachowania się z groszem. Lecz będą może i tacy, co na wasze prośby odpowiedzą: Internat nie potrzebuje już prywatnych zasiłków, skoro Sejm uchwalił dla niego subwencyę — jakby to można

za 4.500 złr., które dopiero na pierwszy rok przyznano, utrzymać sześćdziesięciu uczniów!

Czy do tych trudności, mam dodać -- i pewne zmęczenie w tej dość ciężkiej Opiekunek służbie!... Chcieć zrobić coś dobrego i w istocie ważniejszego a nie utrudzić się, nie naprzykrzyć się sobie samemu a nieraz i drugim, to niepodobne. To też ci, co się podejmują takich przedsięwzięć jak nasze, a słowa te mówię do nas i do was, Szanowne Panie — powinni mieć żywą wiarę, że Bóg tego od nich chce, że Jemu służą, i że od Niego tylko wezmą zapłatę. Własną energią niedługo wystarczą, bez modlitwy z pewnością ustaną. Podobni oni są w pewnej mierze do ówch Królów wschodnich, co zoczywszy gwiazdę, puścili się za nią w strony nieznane, do Betleem. Jak trzech Królówie, tak i oni muszą iść długo, nie wiedząc wpośród jakich ludzi zajdą i co im się zdarzy w podróży. Spotkają jednych co im pomogą, innych co śmiać się będą z marzycieli, a innych wreszcie co im będą szkodzili. Lecz choćby wśród drogi upadać mieli ze znużenia, pójdą dalej, bo taż sama gwiazda wciąż świeci im na niebie...

VII.

Kolegium grecko-ruskie w Rzymie¹⁾.

Donieśliśmy czytelnikom naszym przed kilkoma tygodniami o oddaniu Kolegium grecko-ruskiego w Rzymie Zgromadzeniu XX. Zmartwychwstańców. Dziś chcemy wrócić do tego przedmiotu, bo sprawa ta ma bliższy związek z naszym krajem, niżby to na pierwszy rzut oka wydawać się mogło.

Jak wiadomo fundatorem licznych kolegiów papieskich, otwartych w Rzymie i spółcześnie po wielu miastach Europy, był Grzegorz XIII. Użył on w tym celu funduszów, jakie od stu z górą lat gromadzili papieże na wojnę świętą w Jerozolimie, a uczynił to za poradą Filipa Nereusza, który mniemał, że w owej epoce nie czas już było myśleć o odzyskaniu Grobu św.; trzeba było odzyskiwać dusze wydarte Kościołowi przez protestantyzm, a dążyć do tego przygotowując nowe pokolenie kapłanów pobożnych, wykształconych, gruntownie utwierdzonych w wierze. Jednym z takich zakładów wychowawczych było Kolegium greckie, przeznaczone dla młodzieży duchownej wschodnich narodowości, któreby kształcać się w nim wedle swojego obrządku,

¹⁾ Drukowane w *Przeglądzie lwowskim*, w roku 1886.

przejmowała się duchem prawdziwie katolickim i tego ducha w swoich stronach szerzyła. Wielu patryarchów i metropolitów, którzy później zajaśniali na Wschodzie tureckim apostołskim trudem, uczniami byli tego zakładu; z niego wyszło także wielu głośnych Rusinów, i tych poczet za dawnej Rzpltej otwiera Rutki, a zamyka Smogorzewski. Lecz i ostatni dwaj metropolici lwowscy, Józef i Sylwester Sembratowicz, temuż Kolegium zawdzięczają swoje wychowanie.

Największa świetność zakładu sięga czasów, w których on zostawał pod zarządem Jezuitów, przez półtora wieku blisko, począwszy od Urbana VIII, który im go powierzył (1623), aż do Klemensa XIV, który ich skasował. — Następnie, z małą przerwą panowania francuskiego w Rzymie, zostawał on i zostaje pod kierunkiem Propagandy; i ta z ramienia swego dawała mu rektora, księży świeckich, a zawsze Włochów. O tej ostatniej epoce można słyszeć różne sądy; my tylko powiemy, co nam lepiej wiadomo. Propaganda, która także ma swoje Kolegium, a daleko liczniejsze od greckiego, oba te zakłady jednym objęła regulaminem; jednakie przepisy obowiązują w obu młodzież, tak dobrze afrykańską i azyatycką, jak grecką, ruską, a w końcu bułgarską. Trzeba przyznać, że pod względem nauki teologicznej, porządku zewnętrznego, obyczajności i sprawowania się uczniów, oba te zakłady były i są wzorowe.

Jeśli co moglibyśmy zarzucić greckiemu, to chyba to, że wszystkie narodowości, które w sobie mieściło (a bywa ich po sześć i siedm w tym samym domu), pod jedną podciągało miarę; że do tej różnolitej, a tak mało między sobą podobnej młodzieży, przemawiano tak, jak gdyby wszystka z włoskich pochodziła rodzin i w szkołach włoskich początkowe pobierała wychowanie. Rektorowie, księża włoscy, mało zwracali uwagi na różnice szczepowe swoich uczniów, nie zajmowali się wcale ich

uczuciem narodowym i nie przypuszczali bynajmniej, że można i należy tem uczuciem posługiwać się dla rozbudzenia w duszy głębszego uczucia religijnego. — Nawet w najbliższej nam epoce, kiedy duch narodowościowy tak potężnie na całym Wschodzie się rozwinął, nie zadawali sobie pracy, aby nim w młodzieży umiejętnie pokierować; owszem, uważali go niemal za przeszkodę w wychowaniu kapłańskim, katolickiem. Dość powiedzieć, że przez czas dłuższy nie wolno było uczniom mówić innym między sobą językiem, jak po włosku lub po łacinie, nawet przy zabawie lub na przechadźce; dodajmy, że ten rygor dziś już ustał. Zdawało się zarządowi, że im więcej jego wychowawcy utracą swoich cech odrębnych, narodowych, im bardziej do siebie staną się podobni — jednym słowem — im więcej się zwłoszą, tem lepszymi będą katolikami i tem goręcej zwiążą się z Rzymem.

*Być może, że z niektórymi wychowawcami to im się udało; w ogólności jednak można powiedzieć, rezultat był całkiem odmienny. — Ludy wschodnie mają wielką łatwość do asymilacji zewnętrznej, nie tracąc jednak nic ze swego wewnętrznego, rodzinnego usposobienia. Mamy tu na myśli głównie Bułgarów i Rusinów, choć nam się wydaje, że ta uwaga stosuje się jednako do wszystkich. Włożeni od małości do udawania, do zręcznego ukrywania swych myśli i uczuć, skoro spostrzegą, że w otoczeniu, do którego weszli, zależy przedewszystkiem na pewnym porządku materialnym, na zewnętrznym obejściu i manierach, przyjmą dość prędko ten pokost, lecz w głębi duszy pozostaną nietknięci, czem byli, tem bardziej, że do tej głębi przełożony zajrzeć nie umie lub nie chce. Można było spotkać alumnów ruskich, którzy po kilku latach pobytu w kolegium, zapomnieli swego języka lub mówiąc nim zatrącali nieprzyjemnie cudzoziemskim akcentem, ale swych

skłonności wrodzonych, wcale niepożądanych u kapłana katolickiego, nie pozbyli się bynajmniej; albo ich w sobie nie mieli, albo ich nie poczytywali za złe.

Niepomyślniej jeszcze szło z początku z Bułgarami. W pierwszych latach pojawienia się unii bułgarskiej, przysłano stamtąd do Propagandy więcej niż trzydziestu młodzieńców, o wybór których nie wiele się troszczono. Ci, w ogólności mówiąc (boć wyjątki być muszą), sprawowali się i uczyli nieźle; pewna ich liczba przyjęła nawet święcenia kapłańskie, lecz gdy wrócili do Bułgarii, ileż ich pozostało wiernymi Kościołowi? Zapewniano nas, że nie więcej nad czterech lub pięciu! Reszta odpadła do schyzmy, albo oddała się świeckim zajęciom, bez żadnej pamięci na swe wychowanie odebrane w Rzymie. Nie taję, że na tę ich dezercję czy apostazję inne także złożyły się przyczyny. Oswojeni przez czas dłuższy z dostatkiem i z komfortem europejskim w Kolegium grecko-ruskim, nie czuli zapewne pociągu do tego rodzaju życia, jakie biedny ksiądz bułgarski w świeżo zaimprovizowanej parafii prowadzić musiał, i poszli tam gdzie im lepsze ofiarowano wygody. Ależ właśnie wychowanie kapłańskie powinno było obudzić w nich tę szlachetność i tę miłość kraju, aby nie dbać tak bardzo o wygody tam, gdzie ich powoływała służba około dusz ludzkich, a zwłaszcza swych ziomków!...

Zmieniło się to co do Bułgarów i dziś, dzięki Bogu, liczą się oni do alumnów najwierniejszych, zwłaszcza, o ile ich dostarcza szkoła XX. Zmartwychwstańców w Adrianopolu. Przypuszczamy, lecz zaręczyć nie śmiemy, że Kolegium greckie doznało podobnych zawodów i w innych także wychowańcach, skoro ci napowrót znaleźli się w swoich stronach. Kogoż tu o to obwiniać?

Po wszystkie czasy nawrócenia na Wschodzie chwiejne bywały i wątpliwe; interes świecki, doczesny, który je wywoływał, nie mógł nastroić dusz do wyższego

tonu. W Rzymie dobrze o tem wiedzą, i to tłumaczy dlaczego w tych zawodach innych, oprócz wschodniej niestałości, nie dostrzegano przyczyn, chociaż one były. Każdy rząd ma swoje tradycje i stare nawyknięcia, od których niełatwo odchodzi; rząd kościelny może najpowniej, bo to rząd najstarszy, bo owa niezmiennosc dogmatów katolickich i w zewnetrznych, świeckich urzędzeniach w pewnej mierze odbijać się musi.

W każdym razie to pewna, że przełożonym Propagandy (począwszy od kard. Barnabo aż do dzisiejszego kard. Simeoni i sekretarza wschodniej Propagandy, Mgra Cretoni) nie zbywało i nie zbywa na troskliwości i baczonej o Kolegium greckie czujności. Nie ich wina, że wśród Włochów, których na rektorów zakładu po zwyczajcu powoływano, nie znajdowano ludzi umiejących lepiej rozeznac się w dzisiejszych dążnościach wschodnich narodów.

Zasługą to jest ostatniego rektora Kolegium grecko-ruskiego, mgra Satolli, iż zrozumiał, że młodziez wschodnia potrzebuje obecnie innych przewodników i że sam z rzadką bezstronnością chciał uznać, iż do tego obowiazku mniej był odpowiedni. Opowiadano nam, że zacny ten i rozumny prałat, prosząc Papieża o uwolnienie, miał oświadczyć, że wedle jego zdania, najwłaściwiej byłoby poruczyć Kolegium greckie XX. Zmartwychwstańcom, którzy jedni tylko między zakonami posiadają dwa obrządki, łaciński i wschodni, i którzy już od niejakiemu czasu zajmują się wychowaniem Bułgarów i Rusinów. Ojciec św. przyjął łaskawie te uwagi i zawzawszy jenerała Zmartwychwstańców, kazał mu przedstawic jednego ze swych księży na rektora. O. Semeneńko wybrał O. Antoniego Lecherta. Kapłan to znany z nauki i doświadczenia, nauki teologiczne kończył w Kolegium polskiem w Rzymie i tu otrzymał stopnie doktora teologii i obu praw; we Francyi obeznał się ze służbą pa-

rafialną, następnie przez lat kilka był magistrem nowicyuszów, w końcu rektorem alumnatu XX. Zmartwychwstańców, wszystko więc każe wróżyć, że wybór nie mógł być lepszy. Do pomocy przydany mu będzie jeden ze Zmartwychwstańców wsch. obrz., który dotąd pracował jako misyonarz w Bułgarii.

Kolegium i nadal nie przestaje należeć do Propagandy i pod jej naczelnym zostawać kierunkiem. Jak wspomnieliśmy, i tu i tam, jednaki panuje regulamin i za jego wykonanie rektor jest odpowiedzialny przed kardynałem - prefektem. Ten stosunek zależności od Propagandy Ojciec św. najwyraźniej zatwierdził, przewidując wszelako potrzebę pewnych zmian w domowych urządzeniach, zastrzegł sobie ostateczną w tym względzie decyzję, skoro czas i doświadczenie lepiej rzecz wyjaśnią.

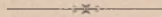
Zakład liczy obecnie dwudziestu pięciu alumnów, z tych 8 Rumunów, 5 Rusinów, 4 Bułgarów, 3 Sycylijszczyków, tyleż właściwych Greków, 2 Gruzyczyków; z początkiem roku szkolnego liczba ta ma się powiększyć, bywało ich niekiedy do czterdziestu. Drobny to, bądź co bądź poczet, a jednak niełatwo z nim dać sobie radę, utrzymać ład, harmonię, spokój. Przy tylu narodowościach zebranych w Kolegium, które w kraju swoim nieraz wojnę z sobą toczą, prawie niepodobna, aby się obyło bez jakichś zatargów, zazdrości i kłótni.

Doniesiono nam o fakcie świeżym, mało ważnym wprawdzie, ale charakterystycznym, bo wskazuje trudności, jakie w tym zakładzie są do przewyciężenia i niejedno z przeszłości jego tłumaczy. Zdawało się alumnom rumuńskim, że im się należy pierwszeństwo przed innymi, po części dlatego, że są trochę liczniejsi, a głównie dlatego, że są — Rumunami! Przecież oni są potomkami dawnych Rzymian i nietylko w swoim królestwie, ale na Bukowinie i w Siedmiogrodzie chcieliby pano-

wać. Poniewierali tedy młodzieżą ruską i bułgarską, czego O. Lechert ścierpieć nie mógł i nie chciał. Oburzeni jego admonicją bardzo delikatną, udali się ze skargą do kardynała-prefekta i oświadczyli, że występują z Kolegium, bo jak widzą, Słowiańszczyzna będzie w niem teraz górą! Utało się to na razie, ale na jak długo? Tego rodzaju demonstracye bywały tam dosyć zwyczajne, niemal każdy alumn wschodniego obrządku jest przekonany, że uczac się w Rzymie, wielkie dobrodziejstwo Kościołowi katolickiemu wyświadcza, a kiedy się tego nie uznaje, grozi, że wystąpi z Kolegium, a nawet, że przejdzie — na schyzmę! Żałować wypada, że zbytńia dobroć i wyrozumiałość dostojników rzymskich nieraz podobno tę młodzież do takiego zuchwalstwa zachęcała. O ile zdaleka można sobie sąd utworzyć, namby się zdawało, że gdyby pokazano, iż Kolegium nie dba o kandydatów wątpliwej wiary, że jedna taka pogroźka wystarcza, aby ich natychmiast wydalić, przybyłoby wnet sferności w domu, a może i stałości w wierze.

Nie mało więc troski i zajęcia przybywa Zmartwychwstańcom z tem Kolegium, i czasu też zapewne sporo upłynie, zanim lepszego ducha w nim się utrwali. Łaska dzisiejszego Papieża, który od początku swego panowania okazał, że mu dobro Słowiańszczyzny leży na sercu i że gruntownie zna jej potrzeby, dobra wola i życzliwość przełożonych Propagandy najskuteczniejszą będą dla nowego zarządu podporą i zachętą. Bądź co bądź, to zaufanie okazane Zgromadzeniu XX. Zmartwychwstańców wielkim jest dla niego zaszczytem i w historii tego zakonu znaczyć będzie, na szersze pole wyprowadza jego działalność, doda jej związku, donośności, siły. Kolegium grecko-ruskie w Rzymie stanie się koroną i niezbędnem uzupełnieniem tak dobrze Misyi bułgarskiej, jak Internatu ruskiego we Lwowie. I w tem właśnie leży znaczenie ostatniej decyzji papieskiej dla naszego

kraju. Uczniowie Internatu, którzy poczują w sobie powołanie do stanu kapłańskiego i zapragną wyższych nauk teologicznych w Rzymie, znajdą się tam pod tym samym kierunkiem i pod tymiż niemal przewodnikami, których mieli we Lwowie. Mniemamy, że dla czytelników naszych, którym Internat ruski XX. Zmartwychwstańców nie jest obojętny, wiadomość ta będzie pożądaną i niejedną wątpliwość, jaka dotąd nasuwać się mogła, z ich umysłów usunie.



VIII.

Wywiezienie księdza Biskupa wileńskiego ¹⁾.

Wywiezienie Biskupa wileńskiego świadczy, do jakiego stopnia nienawiść Kościoła katolickiego ogarnęła ministrów rosyjskich, skoro nie wahali się wywołać głębokiego rozdrażnienia na Litwie, a przytem w oczach Rzymu i całej Europy katolickiej tak ciężko skompromitować swój rząd. Lat temu siedm czy ośm, cesarz Aleksander II. zaniepokojony brakiem księży w królestwie i w prowincjach zabranych, a może ostrzeżony wewnętrznym instynktem, że źle zazwyczaj kończą przesładowcy Kościoła, kazał rozpocząć ze Stolicą św. układy w celu obsadzenia opróżnionych od wielu lat dyecezyj. Negocjacje toczyły się długo, mozolnie, przez pięć lat naprzód w Wiedniu, potem w Rzymie; nie danem było cesarzowi doczekać ich końca. Wstąpił na tron syn jego, Aleksander III, a miał reputację człowieka sumiennego, który chce uszanować przekonania religijne swych poddanych. Nie brakowało mu doradców, którzy pragnęli odciągnąć go z tej drogi, ale cesarz na nich nie zważał i kazał, bądź co bądź, kończyć układy. Miał tę pociechę, że przed jego koronacją wybór kandydatów był umó-

¹⁾ Drukowane w *Przeglądzie lwowskim* w lutym 1885 r.

wiony, biskupi prekonizowani i w pewnych punktach zgoda z Papieżem stanęła. Ale na jak długo! Zanim dwa lata upłynęły, już hr. Tołstoj proponował wywiezienie Biskupa żytomirskiego z powodu owej niefortunnej wizyty prawosławnego metropolity w kościele katolickim. »Dajcie mi pokój, odpowiedział mu car, zatykając sobie uszy, nie na tom z taką pracą szukał porozumienia z Papieżem, abym je miał zrywać dla jednej niezgrabności metropolity kijowskiego; metropolita powinien był wiedzieć co robi!« Tym razem burza przeminęła bez szkody; skończyło się na karze pieniężnej, na wzór pruski.

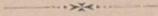
Hr. Tołstoj nie dał za wygranę. Ma on swój system polityczny, którego w ministrze konserwatywnym, jak go w Rosyi nazywają, zrozumieć niepodobna, i wyszukuje też odpowiednich do swego systemu narzędzi. Z taką dozą pokostu cywilizacyjnego, któraby wystarczyła może na Kaukazie, z takimi pojęciami o Kościele katolickim, o jego prawach i urządzeniach, jakie ma przeciętnie nihilista rosyjski, osadza generał-gubernatora w starej stolicy Litwy; i ten przybywszy, zaczyna rządzić nietylko krajem ale i Kościołem, a dziwi się, że u katolików nie wszystko dzieje się tak, jak w schyzmie. I kiedy Biskup, objąwszy swą dyecezyę po latach bezrządu i panowania intruzów, chce jakiś ład w niej zaprowadzić, i w tym celu znosi nadużycia, naprawia zaniedbania, a księży złem życiem zhańbionych od pieczy nad duszami usuwa; — gubernator rzuca się, gniewa, staje w poprzek, woła, że to samowola, że to bunt, i wreszcie zanosi skargę do Petersburga, że Biskup utrudnia wzrost prawosławia. Jakby to Papież na to mianował katolickich biskupów, by oni schyzmie służyli!... Ale w Petersburgu przyznają słuszność gubernatorowi, przywołują biskupa i nie dawszy mu możności uspra-

wiedliwienia się przed cesarzem, wywożą go na granice Azji.

Ze wszystkich godności, w naszych czasach, najmniej pewno jest do pozazdrosczenia godność biskupia; ale są stolice biskupie tak uprzywilejowane, iż ktokolwiek na nich zasiądzie, i żywot ma męczeński i koniec zazwyczaj męczennika. W Paryżu, od pół wieku, wszyscy niemal arcybiskupi padają z ręki rewolucjonistów: tak zginęli Affre, Sibour, Darboy. W Wilnie podobnie: Krasińskiego wywiózł Murawiew, Hryniewieckiego Kochanów, i każdy kapłan, którego Papież tam osadzi, najpewniej tegoż samego dozna losu, dopóki system dzisiejszy trwać będzie. Rewolucyoniści z dołu, czy rewolucyoniści z góry, jednakim chodzą torem.

Twarde to prześladowanie, ale w tej boleści jest i pociecha. Jest pociechą widok kapłana, który stojąc sam, oparty jedynie na swej wierności dla Kościoła, znalazł w sobie dosyć siły, aby się oprzeć całej grozie potęgi rosyjskiej i wytrwać do końca w swym obowiązku. Taki przykład podnosi i uszlachetnia wszystkich, co o nim słyszą, i jest potężnem dla każdego upomnieniem, aby w tem lub innem niebezpieczeństwie spełnić zanie swą powinność. I jeżeli Litwa pozbawiona jest dzisiaj swego Biskupa - wyznawcy, to cześć i miłość dla niego zostanie żywa wpośród wiernych, świecić będzie kapłanom i zagrzewać ich do męstwa na tej trudnej drodze, która ich czeka. Potrzebaż dodawać, że gorące życzenia i modlitwy wszystkich katolików polskich będą zawsze z dostojnym wygnańcem i z nimi! — Jest jeszcze i drugi wzgląd do zważenia, o którym hr. Tołstoj zapewne nie pomyślał. Wszelki tego rodzaju gwałt dokonany na biskupie katolickim zadaje niemały cios schizmie rosyjskiej. Bo niepodobna aby Rosyanie — o uczciwych Rosyanach tu mówimy — nie byli uderzeni takim bohaterstwem katolickich biskupów, którym pod wzglę-

dem politycznym nic a nic zarzucić nie można — i nie obejrzeni się mimowolnie na swoich własnych metropolitów i archierejów, których znają aż nadto. Niepodobna, aby takie porównanie nie dało im do myślenia, i aby w końcu nie obudziło w nich przekonania, po której stronie jest prawda, gdzie Kościół prawdziwy! Po wszystkie czasy Bóg posługiwał się cierpieniem swych wybranych, aby szerzyć światło wiary katolickiej, — *sanguis martyrum, semen Christianorum*; — najwymowniejsze to ze wszystkich apostołstwo; ono tam nawet przemawia, gdzie mówić nie wolno; zwalcza przesady, usuwa niechęci i tak z wolna przygotowuje grunt pod dalszą siejbę, kiedy przyjdzie na nią czas. To też trudno tu nie przypomnieć sobie słów rosyjskiego jezuita, Gagarina, »że Polska przez wszystkie wieki swojej potęgi nie uczyniła tyle dla nawrócenia Rosyi, ile w czasach swej największej niedoli...«



IX.

Sprawy Kościoła katolickiego w państwie cara ¹⁾).

Przedewszystkiem musimy wyrazić zdziwienie, że ks. Dudik sam ogłasza tę wiadomość, chociaż mu wcale nie jest tajno, że ona dzisiaj niema żadnego praktycznego znaczenia i że jego karyera improwizowanego negocyatora i połączone z nią nadzieje oddawna wzięty koniec. Dla sławy jego imienia, które w świecie naukowym pewnej używa powagi, wolelibyśmy aby smutna rola, którą w tej sprawie odegrał, i propozycye, które rządowi rosyjskiemu z własnego popędu czynił, pozostały zapomniane na zawsze. Atoli, gdy pod jego natchnieniem dziennik czeski tę wiadomość ogłasza, gdy ona powtórzoną została w jednym z pism galicyjskich (*Ruski Syon*), czujemy się w obowiązku opowiedzieć tę negocyacyę, do której ks. Dudik przez nikogo nie był upoważniony i której szczegóły oddawna są nam znane. W opowiedzeniu tem nie będziemy podnosili mnóstwa błędów, które pismo czeskie o Kościele polskim podaje, ani nawet wyrażeń uwłaczających Stolicy Apostolskiej (w piśmie katolickiem zaprawdę gorszących), przesta-

¹⁾ Drukowane w *Czasie* 3 grudnia 1879 r.

niemy tylko na wyjaśnieniu faktu a oraz głównych myśli rządu rosyjskiego, których ks. Dudik bezwiednym, chcemy wierzyć, chciał być poplecznikiem a może i wykonawcą.

W połowie roku zeszłego, jak nas doszło ze Szwecyi, gdzie się zajmował badaniami naukowemi, przyjechał ks. Dudik do Petersburga i tam przez pana Koene, swego przyjaciela, protestanta (jeśli się nie mylimy, dyrektora Ermitażu) zaznajomił się z pp. Makowem i Masłowem, którzy nie byli ministrami, jak pismo czeskie głosi, ale jako naczelnicy »sekcij wyznań obcokrajowych« pracowali w departamencie p. Sieverssa. Prawdopodobnie w rozmowach, jakie się między nimi toczyły, wywiązała się myśl zaproponowania Rzymowi nowego konkordatu, którego głównem zadaniem, według tych panów, miało być wprowadzenie języka rosyjskiego do kościołów katolickich w prowincjach zabranych. Lecz ponieważ rząd rosyjski przekonał się dowodnie, iż na biskupów polskich nigdy w zupełności liczyć nie może, bo jakkolwiekby ich dobierał, zawsze oni na swoich oglądać się będą; ponieważ z drugiej strony dobrze jest wiadomo, że Stolica Apostolska nie zgodzi się nigdy na mianowanie biskupów nie znających polskiego języka, przeto powzięto zamiar obsadzenia dyecezyj polskich na Litwie i Rusi księżmi katolickimi z Austrii, słowiańskiego byle nie polskiego pochodzenia. Ci biskupi mieliby prawo powołać na wszystkie beneficya w dyecezyach ludzi własnego wyboru, a rzecz prosta, że nie omieszkaliby się otoczyć własnymi rodakami ze Słowiańszczyzny austriackiej. Można się spodziewać, że księża czescy, kroaccy, słowaccy, objawszy na Litwie i Rusi dyecezye, prelatury i probostwa, nie dadzą się opanować duchem nieprzyjaznym rządowi rosyjskiemu, który cechuje polskie duchowieństwo, i nie będą też robili trudności w zaprowadzeniu po parafiach »krajowego«, to

jest rosyjskiego języka. Jeżeli Stolica Apostolska zgodzi się na zamianowanie takich biskupów, to rząd rosyjski w wielu innych kwestyach okaże się jej powolnym i upragnioną od tak dawna zgoda »której tylko Polacy niedopuszczają« dzięki interwencji słowiańskiego duchowieństwa, przyjdzie do skutku. A choćby też pozostały pewne punkta, na które Stolica Apostolska nie mogłaby się zgodzić, ks. Dudik i na to znajduje sposób. Radzi nie dotykać ich w ciągu negocjacji, lecz załatwić je później »drogą administracyjną«, bez wiedzy Rzymu, ale »wedle przepisów kościelnych!« (punkta 10 i 11 *Czasopisma*).

Na takich zasadach ks. Dudik podjął się w Petersburgu zagaić porozumienie z Rzymem; do tej zaś negocjacji, która z największą miała być prowadzona skrytością, miał sobie z ramienia rządu dodanego swego przyjaciela, protestanta, pana Koene. Obaj pełni nadziei wyjechali z Petersburga. Ks. Dudikowi ukazano w perspektywie metropolię mohilewską, której, jak mówi dzisiaj, nie przyjął.

Nie trudno zrozumieć, jakąby przyszłość zgotował układ tego rodzaju prowincjom polskim cesarstwa. Ludność polska, katolicka, tak srodze we wszystkim co jej najdroższem prześladowana i jedyną pomoc i pocieszenie w swojej religii i kościołach czerpiąca, mając sobie narzuconych cudzoziemskich biskupów i prałatów, czułaby się opuszczoną, osamotnioną, najboleśniej dotkniętą; do tych pasterzy, obcych jej duchem, mową, zwyczajami (a przybywałyby ich co roku!) straciłaby wszelką ufność i w końcu musiałaby zubożeć dla kościołów, w którychby wszystkie języki, prócz swego własnego, słyszała. Ci zaś pasterze, głaskani, szczerze nagradzani przez rząd, z tem większą gotowością poddawaliby się jego rozkazom, im mniej mieliby spójności z wiernymi, im bardziej czuliby się od nich odstrychnieni.

W każdej dyecezyi polskiej utworzyłaby się wnet osobna kasta księży czeskich, kroackich i t. d., popierana przez swego rodaka u góry, popierana z całą forszą przez czynowników rosyjskich, spychająca ze wszystkich posad dawnych księży polskich, iluby jeszcze zostało, walcząca na wyścigi ze wszystkim co polskie: w domu i w kościele, w szkole i przy nabożeństwie, w mowie, w śpiewach i w zwyczajach, może nawet w pamiątkach z przeszłości po świątyniach!... Bez wątpienia, dalecy jesteśmy od myśli, aby księża katolicycy w słowiańskiej Austrii gotowi byli sprzedać się Moskwie, aby łącznie z nią pracować nad zatraceniem polskiego narodu i na ziemi polskiej prowadzić rzemiosło Wandalów; owszem najmocniej jesteśmy przekonani, że wielu zacnych kapłanów odepchnęłoby taką propozycję z oburzeniem. Ale kiedy wspomnimy, jak od rozbioru Polski, przez lat siedm dziesiąt, sprawowali się w Galicyi urzędnicy czescy, z jakim pośpiechem, z jaką gorliwością służyli na szkodę polskiego narodu, systemowi, który nas w tej epoce gnębił, i jak fatalne swoich rządów i swej nienawiści zostawili dotąd u nas ślady, to nie będzie zbyt śmiałe przypuszczenie, że i dzisiaj znaleźliby się u nas tacy, coby spieżyli na Litwę i Ruś pracować ręką w rękę z Moskwą i pozyskać niesfornych Polaków »dla wspólnej ojczyzny słowiańskiej!« A nie twierdzimy, aby tacy nawet intruzi mieli koniecznie wiązać się z rządem na zgubę Kościoła i do zerwania z Rzymem (choć niejednemu wspomnienia husyckie zapewneby w tym kierunku pomogły); owszem przypuszczamy, że i w nich po pewnym czasie ocknęłoby się sumienie katolickie, przemówiłoby w nich głos pasterskiego obowiązku i zapragnęliby powstrzymać się na fatalnej drodze, na którą zawieść się dali. Ale po zaprowadzeniu języka rosyjskiego do nabożeństwa, po zerwaniu z wiernymi i odstrychnieniu ich od kościołów, jużby ten wyrzut sumienia przyszedł zapóźno, i ci obcy

biskupi wraz ze swymi towarzyszami, musieliby skończyć — jak skończył ks. Kuziemski w Chełmie! Bo i on oczyściwszy świątynie i nabożeństwo »z polskich naleciałości« i otworzywszy schyzmie wrota na oścież, dalej tą drogą iść nie chciał, apostazją się brzydził, a gdy rząd naglił, więc porzucił dyecezyę i wrócił do siebie. Takby zapewne zrobili owi w Wilnie, Żytomierzu i t. d. czescy i kroaccy biskupi i prałaci; i im zbrzydłaby w końcu ta nieczna robota i zapragnęliby znaleźć się znowu między swoimi. Rząd nie zatrzymywałby ich dłużej, jak nie zatrzymał ks. Kuziemskiego. Dzieło »przywrócenia« byłoby dostatecznie już przygotowane, reszty dokonaliby, jak w Chełmskiem — kozacy!

Zanimby dziesięć lat ubiegło, na całej Litwie i Rusi zapanowałaby schyzma! Wszakże nie byłby to jedyny owoc tego planu, z którym się dzisiaj ks. Dudik przechwala. Przypomnijmy, kiedy po zamianowaniu ks. Kuziemskiego biskupem chełmskim, otworzono w jego dyecezyi posady duchowne, dobrze uposażone, księżom ruskim z Galicyi, jakaż to falanga młodych i starych kapłanów unickich spieszyła tam korzystać ze szczodrobliwości carskiej! Nie wszystkich przyjęto co gotowi byli jechać, bo liczba posad była ograniczona; ale na jedno beneficjum, które rząd miał do ofiarowania w Chełmskiem, iluż to w Galicyi zyskiwał kandydatów chcących zaskarbić jego łaski, nabyć prawa do awansu. Przypomnijmy, jak od tej pory urosła w Galicyi propaganda rusofilska i nie ustała, mimo Plewny, traktatu berlińskiego i nihilizmu! Czy przeto nie należałoby się obawiać, że po obsadzeniu dyecezyj polskich w cesarstwie rosyjskiem słowiańskimi poddanymi Austrii, ten sam wypadek powtórzy się raz jeszcze, a na większe daleko rozmiary? Czy też sama gorączka nie porwie znowu duchowieństwa słowiańskiego w Austrii, jaka wschodnią zaraziła Galicyę? Za 50 intratnych beneficjów, któreby

na Litwie i Rusi rząd rosyjski wystawił na przynętę, zyskałby podobno w duchowieństwie słowiańskim tysiące wiernych i usłużnych adeptów, zyskałby w całej Austrii i Węgrzech sieć propagandy silnie zwartą i zyskownym awansem wciąż podtrzymywaną. A jakie następstwa przyniosłoby to dla Kościoła katolickiego i jakie dla bezpieczeństwa i całości monarchii, o tem zbyt uczynna zaprawdę mówić...

Nie utrzymujemy bynajmniej, żeby to wszystko ks. Dudik miał na myśli; powiemy więcej, ci nawet co z nim razem nad tym planem pracowali, nie przewidzieli może w pierwszej chwili wszystkich jego odległych skutków; niemniej jednak są one konieczne, bo leżą w logice faktów; Rzym je przewidział i doskonale ocenił. Na propozycje swoje do Rzymu posłane ks. Dudik otrzymał odpowiedź stanowczo odmowną. Powiedziano mu, że nie było nigdy przykładu, aby Stolica Apostolska usuwała z nabożeństwa publicznego język upoważniony i utrwalony wiekami, iżby go zastąpić innym w sposób sztuczny, a więc i do zastąpienia języka polskiego rosyjskim, w niektórych prowincjach cesarstwa rosyjskiego, ręki swej przyłożyć nie może. Powiedziano mu, że powoływanie kapłanów obcych z zagranicy, aby im powierzyć wyższe stanowiska kościelne, z pominięciem żywiołu krajowego w tychże prowincjach cesarstwa jest zgoła niepodobne, albowiem zagraża ono wierze i obyczajom chrześcijańskiego ludu. A co do owego poufnego agenta, pana Köne, którego ks. Dudik pod swoim płaszczem chciał kontrabandą dostawić do Watykanu, przypomniano mu, że jest obyczajem Stolicy Apostolskiej traktować sprawy Kościoła drogą urzędową; dlatego nigdy nie dawała ucha w rzeczach ważnych osobom okrywającym się tajemnicą, ale tylko takim, które były u niej uwierzytelnione w sposób formalny; zatem i towarzysza ks. Dudika przyjąć nie może.

Taką odpowiedź odebrał ks. Dudik właśnie rok temu i dlatego wyraziliśmy nasze zdumienie, iż on sam wyprowadza na jaw negocyację, której ogłoszenie nie przyczyni mu pewno szacunku u ludzi uczciwych. Mówi ks. Dudik, że i ta odpowiedź jest dziełem »intrygi polskiego stronnictwa w Watykanie«. Nie słyszeliśmy dotąd aby takie stronnictwo w Watykanie istniało. Są w Rzymie, to prawda, znakomici dygnitarze i kapłani polscy, których Papież zaszczyca zaufaniem swoim, jak są podobnież włoscy, francuscy, hiszpańscy, niemieccy, angielscy, w różnych sprawach zarządu kościelnego używani; atoli wszyscy są z ramienia Papieża, bez niego i po za nim nic zdziałać nie mogą. Prawić, że jakieś stronnictwo narodowe ma wpływ u Papieża w rzeczach wiary i obyczajów, jest poprostu śmiesznością, a w ustach kapłana katolickiego czemś gorszem niż śmiesznością. Czy sam, czy przez innych, nie kto inny tylko Papież wydał tę decyzję jako Namiestnik Chrystusowy, jako Głowa Kościoła; a przynajmy, że tą decyzją wyświadczył niezmierną usługę nietylko Kościołowi, lecz narodowi polskiemu i Austrii; trzeba dodać — i ks. Dudikowi i kapłanom słowiańskim w Austrii, którym oszczędził haniebną pokusy i haniebniejszego jeszcze upadku.

W tejże kwestyi ogłosił O. Kalinka następujący artykuł ¹⁾.

»W zeszłym roku ks. Dr Dudik, słynny morawski historyk, kawaler rosyjskiego orderu św. Anny II klasy, udawał się trzy razy do Rosyi w celu aby tamecznemu rządowi przedstawić warunki, których przyjęcie i wypełnienie ze strony Rosyi mogłoby być podstawą dalszych układów między Watykanem i Petersburgiem.

¹⁾ Drukowane w *Czasie* 4. grudnia 1879 r.

Ks. Dudik wziął się do tej sprawy z wielką energią, a jakieśmy słyszeli z jego własnych ust, jego starania uwieńczone zostały wielkiem powodzeniem.

»Jako kawaler jednego z rosyjskich orderów i mając w ministeryum petersburskiem wpływowego przyjaciela, barona Köne, tajnego radcę stanu, ks. Dudik mógł się odważyć na podobny krok i rachować na powodzenie. Jakoż baron Köne ułatwił mu wszystko i zaznajomił go następnie z ministrami Masłowem i Makowem, z których ostatni kieruje sprawami prawosławnego wyznania, a pierwszy sprawami wszystkich nieprawosławnych w Rosyi wyznań. Ks. Dudik dowiedział się od tych dwóch ministrów, że rząd rosyjski (bez wątpienia ze względu na objawy agitacji nihilistycznej) pragnie szczerze pogodzić się z Rzymem i że takie przedwstępne porozumienie się jest temuż rządowi wielce pożądanem.

»Przedewszystkiem trzeba było określić punkta przedwstępnej ugody i ks. Dudik postawił następujące warunki (preliminarya):

1. Rząd rosyjski dozwoli, aby do Petersburga przyjechał poseł papieski zaopatrzony w należyte pełnomocnictwo, któryby prowadził dalsze umowy. Na to rosyjskie ministerstwo chętnie się zgodziło.

2. Rząd rosyjski przywoła z zagranicy, szczególnie ze słowiańskiego (»z wyjątkiem polskiego«) duchowieństwa Austrii, kapłanów pobożnych i uczonych, umiających władać rosyjskim językiem, którym odda wakujące biskupstwa. Na ten punkt niema jeszcze zgody, o ile że Watykan jeszcze się nie zdecydował w tej mierze, »a to wskutek starań polskiego stronnictwa w Rzymie«, które lękając się postradać swoje panowanie w tych biskupstwach, usiłuje wytłomaczyć, że obsadzenie tych biskupstw nie polskimi duchownymi, grozi katolickiemu Kościołowi w Rosyi wielkiem niebezpieczeństwem.

3. Na każde wakujące biskupstwo Rzym przedstawi rządowi rosyjskiemu trzech kandydatów, z pomiędzy których car wybierze jednego. Car zgodził się na to.

4. Zamianowani tym sposobem biskupi staną się poddanymi rosyjskimi. O ten punkt nie było żadnego sporu.

5. Ci biskupi mają zupełną swobodę w sprawach kościelnych i przy obsadzaniu wakujących beneficjów i są za to odpowiedzialnymi jedynie wobec Stolicy Apostolskiej. Jest to punkt niezmiernie ważny ze względu na wolność kościelną, jakiej biskupi katolicycy nigdzie nie mają w tak wysokim stopniu. A jednak rząd rosyjski ohotnie się na to zgodził.

6. Papież ureguje dyecezye i dokona rozgraniczenia takowych (*circumscriptio*) za porozumieniem się z rządem. Temu warunkowi nic nie miano do zarzucenia.

7. Nie wolno biskupów używać do służby policyjnej i denuncyatorskiej(!). I to przyjęto.

8. Każda katolicka szkoła ma stać pod nadzorem katolickiego duchowieństwa, a mianowicie miejscowego proboszcza. Przyjęto.

9. Zasadnicze prawa, normujące stosunki Kościoła katolickiego i jego wiernych będą przejrzane przez rząd w porozumieniu ze Stolicą Apostolską i z nowoobranymi biskupami i zastosowane do potrzeb Rosyi. I to przyjęto.

10. Język parafian ma być językiem duchownego nauczania. Tak brzmiał ten punkt z samego początku negocjacyj, ale w Rzymie nie przyjęto go. Ten fakt, mogący się wydawać niepojętym dla wielu ludzi, da się wyjaśnić w następujący sposób. Niemały wpływ, jaki mają Polacy w Watykanie, dąży głównie do tego, aby Stolicy Apostolskiej całą rzecz tak przedstawić, że we wzmiankowanych pięciu rosyjskich dyecezyach niema bynajmniej katolików Rosyan, i że te dyecezye są czysto polskie, w których kaznodziejstwo ma się odbywać je-

dynie po polsku, a nie po rosyjsku. Według tego rozumowania, rosyjski język byłby tam tylko środkiem, aby polsko-katolicką ludność rzucić w objęcia rosyjskiej schyzmy. To twierdzenie wszakże nie da się niczem udowodnić, albowiem niezmierną większość tamecznych mieszkańców, a mianowicie cała ludność wiejska, z wyjątkiem spolszczonej szlachty, »mówi po rosyjsku« (*sic*). A jeżeli kiedyś w tych po większej części od Białorusinów zasiedlonych krajach kazania i nauki odbywały się po polsku, to było to takim samym gwałtem, jak ten, »który się dzisiaj dzieje Rusinom katolikom w Austrii, którym Polacy prawią kazania po polsku, a do ruskich szkół zaprowadzają polski język i tem znieważają ich prawa narodowe«. Chcąc ominąć ten punkt sporny, ks. Dudik radził tej rzeczy na teraz się nie tykać, ale dopiero »później ją rozstrzygnąć na drodze administracyjnej« wedle kościelnej maksymy, która nakazuje aby »język parafian był językiem duchownego nauczania«. Rząd rosyjski przyjął tę propozycję, która jest całkiem słuszną. Tak np. w Saratowie i Petersburgu, gdzie istnieją gminy niemieckie, potrzeba na kazalnicy i w naukach kościelnych używać niemieckiego języka a w innych miejscowościach zachodzi konieczność używania w kazaniach i naukach ruskiego lub czeskiego języka.

11. Rzym zobowiązuje się (?) cofnąć wszelkie *brevia*, które w sprawie językowej wydał na korzyść Polaków. Ostatnie takie *breve* wydano w lipcu 1877 roku; wedle niego wszelkie rosyjskie katedry biskupie mają być dawane tylko Polakom, a językiem kościelnym ma być jedynie polski język. Ale o tych brewach, które Polacy ogłosili drukiem w tysiącnych egzemplarzach, »należy powiedzieć, że Stolica Apostolska dała je sobie wyłudzić podstępem« i że nadużywano ich wszędzie, gdziekolwiek polska narodowość żadnych niema podstaw prawnych. To też i ten punkt został odrzuconym i »ma się

załatwić na drodze administracyjnej« stosownie do kościelnych przepisów.

12. Układy między Watykanem i Petersburgiem rozpoczną się na podstawie *status quo*, t. j. na podstawie stanu rzeczy istniejącego obecnie.

13. Kwestye odnoszące się do biskupów i duchownych wszelkiego stopnia, jacy się obecnie znajdują na wygnaniu, pozostają do dalszych układów; jednakże już teraz jest ta rzecz o tyle rozstrzygniętą, że dwaj biskupi, wileński i kowieński(?) mają powrócić z wygnania, a to w ten sposób, że biskup wileński obejmie dyecezyę kowieńską, a kowieński wileńską(!). Nie zdecydowano się tylko względem arcybiskupa warszawskiego. Prócz tego, jak to już nadmieniono wyżej, wypadnie obsadzić arcybiskupstwo mohilewskie z rezydencją w Petersburgu i biskupstwo żytomierskie.

»W samym Petersburgu jest 25 tysięcy katolików, z których aż 15 tysięcy Niemców. Ich duchownym potrzebom stało się zadosyć, gdy klasztor dominikański, skazany już na wymarcie, otrzymał znowu pozwolenie przyjmowania nowicyuszów, a niedawno powołanym został do niego tyrolski Dominikanin, ks. Flöss, który właśnie tymi dniami w liście do ks. Dudika pisany, dziękuje mu, że za jego pośrednictwem dostał się do Petersburga, gdzie się czuje bardzo spokojnym i szczęśliwym. Za nim ma jechać do Petersburga w krótkim czasie dwóch innych Dominikanów z Austrii, jeden z Wiednia, drugi ze styryjskiego Grazu, dla których ks. Dudik wyrobił zaproszenie. Według rosyjskiego prawodawstwa nie wolno nikogo przyjmować do zakonnego nowicyatu przed ukończeniem 24 roku życia. Gdyby te przepisy rozciągały się i nadal na rzymsko-katolickie klasztory, nie byłoby żadnej możebności wychowywać nowicyuszów w tych latach życia, jakie są najodpowiedniejsze w tym razie, a zatem zostałyby zagrożonem

samo istnienie zakonów. Dlatego starał się ks. Dudik otrzymać od rządu i istotnie otrzymał, że petersburskim Dominikanom pozwolono przyjmować do nowicyatu i w młodszym wieku, a to pozwolenie za wpływem ks. Dudika(?) rozciągnięto i na Paulinów częstochowskich.

»Na znak szacunku rząd rosyjski podarował ks. Dudikowi wspaniałą etnograficzną mapę Rosyi, przeznaczoną jedynie dla biur rządowych, na której jest oznaczono, gdzie jaka mieszka narodowość i gdzie się znajdują katolicy. Na południu cesarstwa, oprócz rosyjskiej Polski, znajduje się 50 tysięcy rodzin czeskich. Liczba wszystkich katolików w Rosyi (razem z Polską) wynosi 6 milionów. W mohilewskiej metropolii jest 2 miliony Rosyan katolików.

»Ks. Dudik otrzymał także od rządu rosyjskiego, że jego konfrater z zakonu Benedyktynów, ks. Placyd Matan, zasłużony redaktor dziennika: *Skola bożského srdce*, tudzież wydawnictwa: *Zabavne biblioteki* i kalendarza: *Moravan*, może bez przeszkody swe pisma i kalendarze posyłać do Rosyi, aby tam służyły za pokarm duchowny czeskim katolikom.

»Są to wszystko oznaki nastających weselszych czasów dla Kościoła katolickiego w Rosyi, a do tego szczęśliwego zwrotu dał początek Benedyktyn rajgradzki, sławny na całą Europę ks. Dudik. Rząd rosyjski ofiarował mu arcybiskupstwo mohilewskie, ale on, mając już lat 64 wieku i nie władając dobrze rosyjskim językiem, tej ofiary nie przyjął. Porozumiewał się on z rządem rosyjskim najczęściej po francusku i po włosku, lubo potrafi rozmawiać także po czesku, po niemiecku, po polsku, po angielsku i po szwedzku.

»Ks. Dudik upewniał nas wielokrotnie, że rząd rosyjski ceni sobie wysoko pokojowe usposobienia Papieża Leona XIII i pragnie z nim się pojednać. Jest także zdania, że te szczęśliwsze czasy nastaną dla Kościoła

katolickiego w Rosyi, jak tylko ustąpi z kanclerstwa ksiązę Gorczakow, który jest największym przeciwnikiem pojednania się z Rzymem. Potem zaraz będzie wysłany do Rzymu p. Buteniew, członek rosyjskiego poselstwa w Paryżu, o którym powszechnie wiadomo, że sprzyja katolickiemu Kościołowi i którego Ojciec Święty przyjmie z pewnością chętnie. O tych wszystkich rzeczach jest także dobrze poinformowany i Nuncyusz papieski w Wiedniu.

»Wedle przekonania Rosyan, Polacy to właśnie w Rzymie sprzeciwiają się wszelkiej zgodzie Watykanu z Petersburgiem (?), ustawicznie drażnią rząd rosyjski i podszczuwają go do prześladowania (?), aby tym sposobem obudzić dla siebie więcej sympaty na Zachodzie i przyprowadzić do skutku swe zamiary względem starej Polski. Z tego powodu niema Rosya żadnego zaufania do lojalności Polaków i pragnie dla swoich katolików otrzymać biskupów z Austrii, jako państwa, do którego czuje rzetelną sympatyę (!), o czem bynajmniej nie można powątpiewać, zważywszy, że najsilniejszą podporą Austrii była właśnie bardzo często Rosya i przeciwko jej interesom nigdy nieprzyjaźnie nie występowała.

Znów w sprawie Biskupa wileńskiego¹⁾.

Według wiadomości odebranych z Wilna, kapituła wileńska — na »rozkaz« dany od ministra, aby przystąpiła do wyboru nowego rządcy dyecezyi — odpowiedziała postanowieniem, że wybierać nie będzie, gdyż ks. Harasimowicz jestznaczony przez biskupa rządcą dyecezyi i nim pozostanie, dopóki biskup innego nie naznaczy. Odpowiedź słuszna, godna prawych kapłanów i wier-

¹⁾ Artykuł wstępny *Przeglądu* (Iwowskiego) z roku 1885.

nych sług Kościoła. Spodziewaliśmy się jej, liczyliśmy na nią, a jednak przyznajem, jest dla nas nie małym uspokojeniem, nie małą pociechą, zdejmuje z duszy ciężką troskę. Taka afirmacja godności i niezależności Kościoła pod rządem rosyjskim, to głośne wyznawstwo wolnego i chrześcijańskiego sumienia, to odważne postawienie się przy prawie Bożem wbrew pogańskiem urozczeniom zaślepionej władzy, jest chlubnym zwycięstwem, odniesionem nad schyzmą, jest aktem, któremu każdy człowiek kochający wolność i cywilizację musi z serca przyklasnąć, jest wspaniałem świadectwem dla zacnych mężów, którzy składają wileńską kapitułę. Co dalej będzie — nie wiemy i nikt tego nie wie, bo też nie dano jest człowiekowi przewidzieć wszystkich następstw swego kroku; dość kiedy jest uczciwy, by się nie troszczyć o nie, dość jeśli dziś zrobim, co dziś zrobić powinniśmy, jeśli w trudnym razie nie cofniem się przed niebezpieczeństwem i swój obowiązek spełnim sumiennie — Bóg dokona reszty.

Czytelnicy nasi wiedzą, jakimi oszczerstwami, rzućcanami na biskupa, przepełnione są dzienniki rosyjskie. Im mocniej one czują fałszywe położenie, w którym się rząd postawił, tem bardziej starają się zwalić winę na jego ofiarę. Nie myślimy czynić biskupowi krzywdy, abyśmy go bronić mieli od tej próżnej wrzawy; ale nie możemy pominąć milczeniem tych głosów, które nam się słyszeć dały, że biskup Hryniewiecki może nie jest całkiem bez winy, że w swem postępowaniu był nieco szorstki, bezwzględny, że nie liczył się z trudnościami położenia i szedł na przebój tam, gdzie raczej ugiąć się do czasu należało lub zręcznie szkopał wyminąć. — Zręczne wymijanie — znamy tę teorię, widzieliśmy ją nieraz w praktyce i właśnie jej owoce oglądamy teraz w cesarstwie rosyjskiem. Bez wątpienia, biskup, który ulega, może wieść życie spokojne i wygodne. Niech ustępuje,

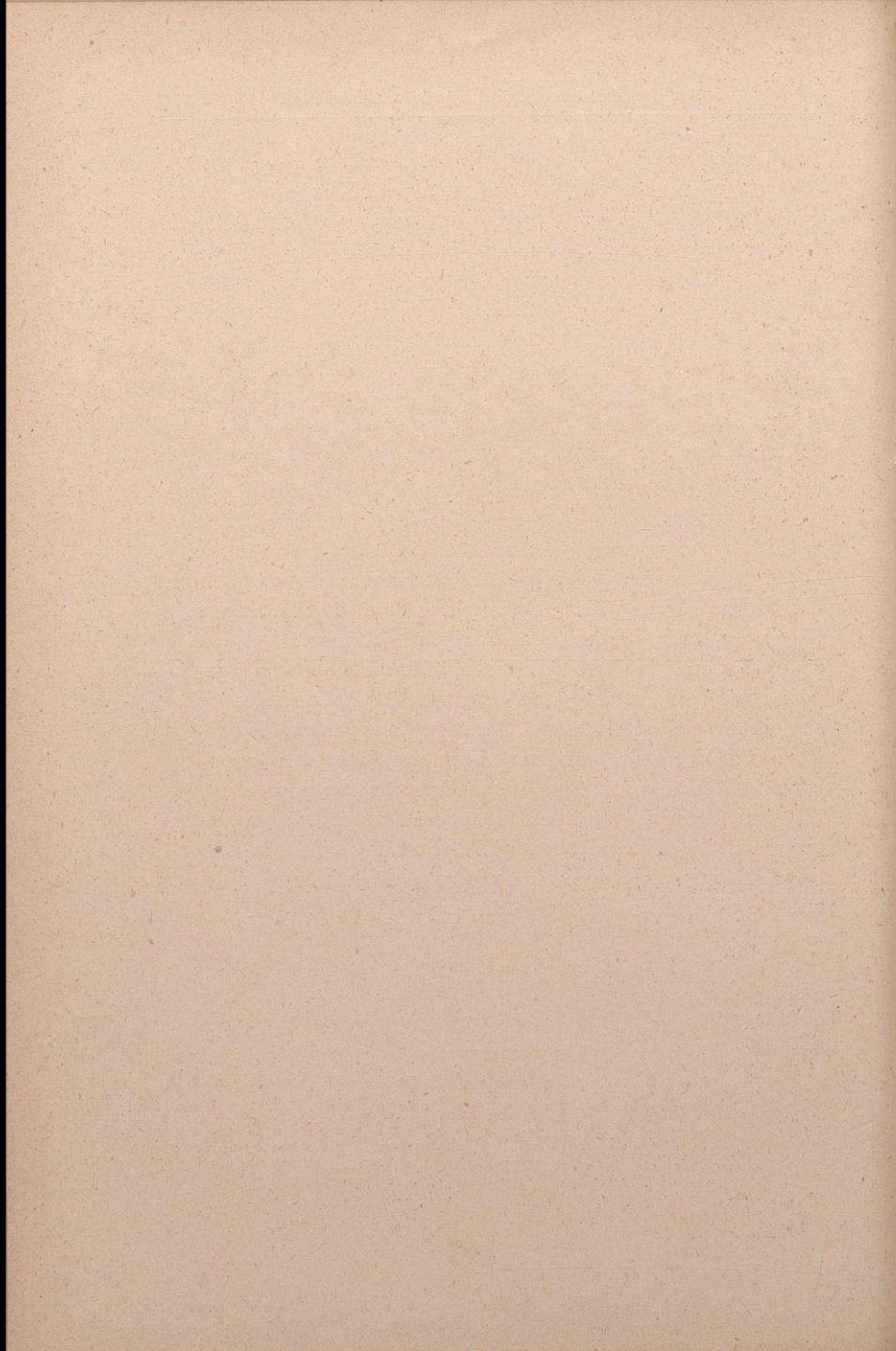
bez końca ustępuje, niech się cofa przed każdym wymaganiem ludzi, niech się nie pyta swego sumienia, ale rozkazów władzy lub świeckiej opinii, a spadną na niego fawory, zaszczyty, otoczy go popularność i potrafi nawet zachować jakieś pozory swej pasterskiej i katolickiej godności. Ale niechaj dba więcej o Kościół i dusze mu powierzone, niż o swój spokój i wygodę, niech prawa Bożego strzeże pilniej, niż swej wolności i życia, wtedy dopiero podniesie się chór zaskarżeń, wtedy dopiero zacznie się dlań męczeństwo, czy od rządu, czy od ulicy zadawane; męczeństwo tem dotkliwsze, że się go nieraz i od tych doznaje, za których się cierpi. Nie przeczym, zręczność potrzebna jest w pewnej mierze; można wiele przez nią otrzymać w sprawach świeckich, codziennych, w stosunkach z ludźmi; ale tam, gdzie idzie o Kościół, o jego prawa, o interesa wieczne, tam Bóg nie zręczności od nas wymaga, ale odwagi, jawnego wyznawstwa. Odkąd Zbawiciel wylał za nas krew swoją, odtąd rozum ludzki, dowcip i przezorność potrzebne być mogą dla ułatwienia i przygotowania spraw chrześcijańskich, ale ostateczną w duszach sankcyę, zatwierdzenie i zwycięstwo, da im tylko odwaga i cierpienie. To jest niezmiennie prawo apostołstwa wiary. Wzrost i siła Kościoła nie przychodzą od Boga za darmo ani jakąś sztuczką dowcipną; Kościół musi je okupić trudem, bólem, nieraz i krwią swoich sług wybranych. — Przychodzi tu nam na myśl bolesne wspomnienie, które też z niechęcią kładziemy na papier, ale rzecz tego wymaga. Nie zawsze o tych koniecznych warunkach służby Kościoła pamiętali biskupi katolicy pod rządem rosyjskim. Wystawieni na ciągłą walkę, a nadto w pewnej zależności od ludzi, którzy dzierżąc władzę, znani byli zarówno ze swej nienawiści do Kościoła, jak ze swej zupełnej nieznamomości jego niezmiennych praw i urządzeń, niektórzy z nich wpadali w pokusę, by się zbytecznie nie narażać,

raczej jakimś zręcznym wybiegiem zasłaniać się od wymagań gwałcących ich sumienie. Uchodziło to do czasu, zwłaszcza gdy na czele dyecezyi stali ludzie górujący rozumem, nauką, świecący wielką ogładą towarzyską, posiadający znaczne wpływy i stosunki. Ale jakież stąd skutki? Prawom Kościoła czyniło się w pewnej mierze zadosyć, ale i władza schyzmatycka zostawała w mniemaniu, że jej rozkazom zadość się stało. Tworzyły się zgubne precedensa, dwuznaczne sytuacje, z ustępstw szło się do ustępstw coraz dalej, i Kościół, chociaż w zasadzie i w swej istocie katolicki, przybierał pozory, jakoby go obowiązywały pewne zwyczaje schyzmatyckie, wprost przeciwne jego duchowi; a te zwyczaje wkorzeniały się coraz głębiej i z coraz to większem zgorzeniem dusz, kiedy zarząd dyecezyi dostawał się w ręce intruzów. Bolesne to są wspomnienia, które historia jaśniej wypowiedzieć kiedyś musi. Czy rzeczy mogły iść tym trybem dalej bez upadku Kościoła, bez zguby dusz? Bóg dał Litwie biskupa, aby zerwał z tymi zgubnymi precedensami; biskupa, który od pierwszej chwili gotów był na męczeństwo i z bohaterską odwagą powiedział w oczy zdziwionej schyzmie jasno i otwarcie: *non licet*. Nie on pierwszy, dzięki Bogu, między polskimi biskupami, ale wobec znowy potężnych nieprzyjaciół na zagładę wiary katolickiej w Polsce, ta jego donośna afirmacja nabiera wielkiego znaczenia i duszom zbołałym lub do zwątpienia chylącym się przynosi otuchę i moc.

Wywieźli go, może i innych za nim wywiozą, może nawet zgniotą dyecezyę. Nie przeczym, powiemy tylko, że co zgniecione, to się swą siłą wewnętrzną zazwyczaj podnosi, ale nie to, co zbutwiałe; »zmartwychwstaje się z pod gromu, nie zmartwychwstaje się z pod sromu«. Pisma rosyjskie cieszą się, że rząd rosyjski dał surowy przykład, jak należy postępować z krnąbrnym biskupem. I my mniemamy, że ten wypadek posłuży za przy-

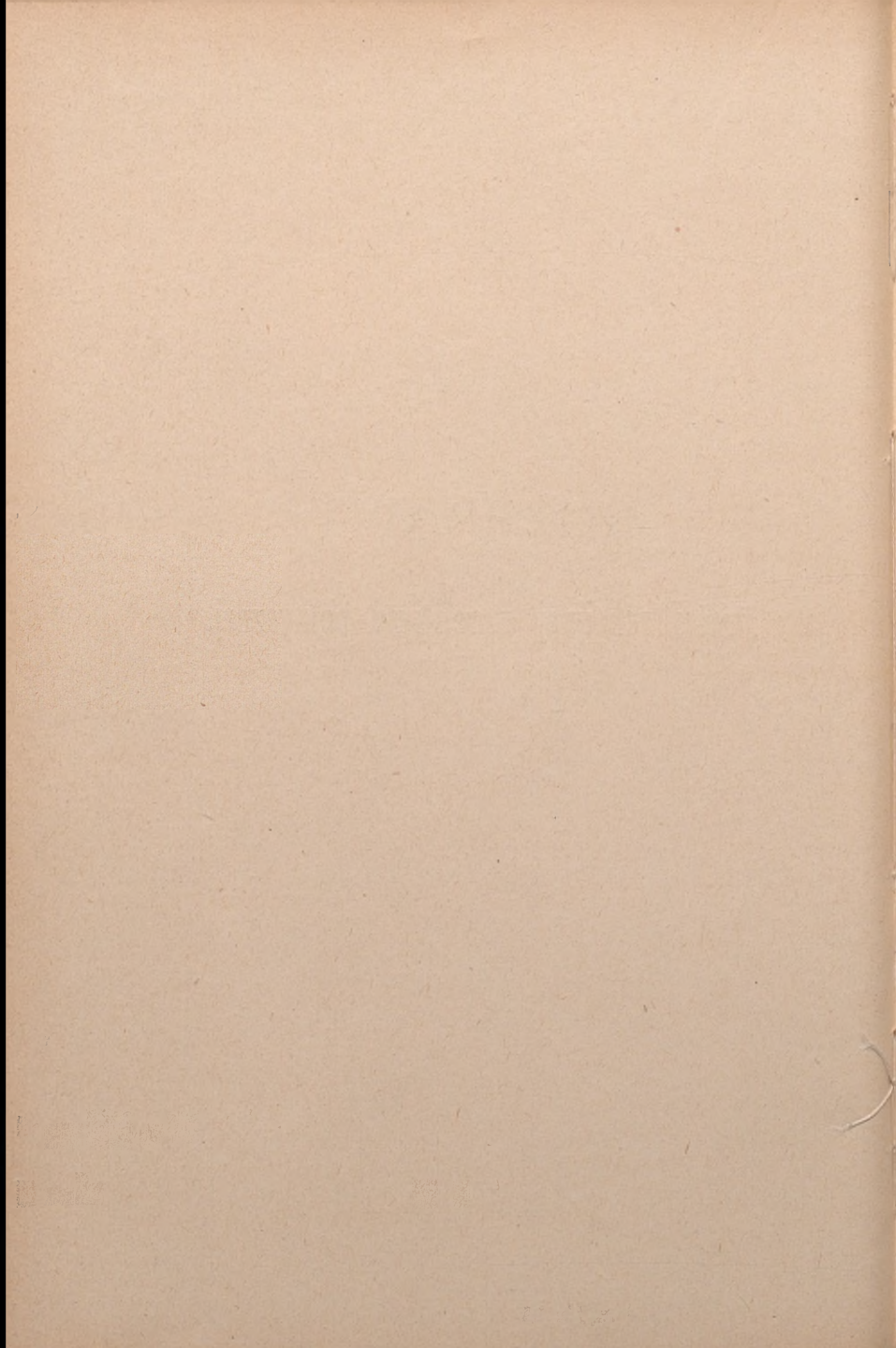
kład, choć całkiem w odwrotnem znaczeniu, za przykład, który świecić będzie w całej Litwie i Koronie i pociągnie za sobą biskupów, kapłanów i wszystkich ludzi uczciwych, wiernych swemu sumieniu. Biskup Hryniewiecki tylko dwa lata rządził swoją dycęzyą, ale ten krótki czas zaznaczy epokę odrodzenia się katolickiego na Litwie i w prowincjach zabranych.

Szcześnie to zaprawdę zdarzenie, że cała ta walka toczy się na polu czysto religijnem, bez żadnej przymieszki politycznej, narodowej. Biskup i jego kapłani nie uczynili nic, nic zgęła, coby dało nieprzyjacięłom choćby najlżejszy powód do oskarżeń o jakieś polityczne agitacye. Chodzi tu o wolność sumienia i o prawa Kościoła, o nic więcej; — i to właśnie stanowi wielką ważność tej sprawy, to ją podnosi i w oczach wszystkich bezstronnych czyni czystą i zacną, to dodajmy, zapewni jej zwycięstwo. Prawda, że Rosyane temu nie chcą wierzyć, by tu nie było jakiejś myśli, jakiejś »intrygi« politycznej; lecz czegoż to dowodzi? Powiedziano słusznie, że na dnie duszy każdego Rosyanina leży nieufność. On sobie samemu nie ufa, jakże nam mógłby ufać? Alboż widział on kiedy w całej swej przeszłości biskupa, któryby powiedział swemu rządowi: »więcej trzeba słuchoać Boga niżli ludzi«. Takich biskupów spotykają Rosyane dopiero u Polaków, i to jest wielka usługa, którą im oddajemy.



ROZPRAWY

treści religijnej i religijno-politycznej.



I.

Rozmyślania w czasie Wielkiego tygodnia ¹⁾.

Rozmyślaliśmy wszyscy w tym tygodniu nad męką i śmiercią Zbawiciela, odwiedzaliśmy grób Pański po kościołach, i czytelnik może nie zdziwi się, jeśli z tych uczuć i myśli, co się cisnęły w tych dniach do jego serca, znajdzie dzisiaj niektóre i pod naszym piórem.

Grób Chrystusowy dla człowieka myślącego jest przestrogą, jak każda, choćby najzacniejsza i najszlachetniejsza sprawa musiałaby skończyć na tym świecie, gdyby własnym, t. j. ludzkim pozostawiona była siłom. Czy było kiedy, po ludzku mówiąc, życie piękniejsze, czystsze, pożyteczniejsze dla świata nad życie Chrystusa? Kto kiedy wyświadczył tyle usług bliźnim, kto przyniósł tyle ulg i pomocy w chorobach, kalectwach i ciężkich boleściach; kto tylu ludzi zepsutych przywiódł ku lepszemu życiu, a tylu innych umocnił w dobrem; kto zostawił tyle mądrych nauk, które do wszystkich czasów i do wszystkich narodów niezmiennie mają zastosowanie i tworzyć będą zawsze treść i podstawę prawdziwej cywilizacji? A obok tego jaka słodycz, cierpliwość, wyrozumiałość, pokora! I cóż go za to spotkało? Bezprzy-

¹⁾ *Przegląd* (lwowski) z roku 1885.

kładna nienawiść jednych, niewdzięczność drugich. Po trzech latach niewymownego trudu, tyle na siebie wywołał złości, tylu i tak potężnych skojarzył przeciw sobie nieprzyjaciół, że go pojмали i osądziłi jak ostatniego zbrodniarza. Ci, co go dawniej wielbili i cześć mu i miłość swą okazując, śpiewali hosanna, odwrócili się potem od niego; i naraz, wśród tego ludu, który go przed chwilą chciał ogłosić królem, Chrystus stał się gorszym od zbojca — Barabasa! Przelęknieni uczniowie i przyjaciele, jedni zdradzili go lub wyparli się, inni znikli bez wieści; i kiedy tysiące ludu oskarżało go przed gubernatorem rzymskim, nie znalazł się nikt, nikt zgola, coby mu życzliwe dał świadectwo. A kiedy skazanego prowadzili na stracenie, któż szedł za nim? Jego matka, kilka niewiast i jedyny uczeń. I oto wszystko; oto wdzięczność, jaką zebrał, i koniec, jaki sobie zgotował; i to nam w tym tygodniu przypomniął jego grób.

Grób Chrystusa jest dowodem, jak prawda kończy na tym świecie i jak zawsze wśród ludzi musiałaby kończyć, gdyby jej nie przychodziła pomoc z tamtego świata. I gdyby Chrystus nie był Bogiem, gdyby po śmierci zmartwychwstały, nie ukazał się był swoim uczniom i nie pokrzepiał ich ustawicznie swoim duchem, cóżby z jego trudu, z jego przykładu, z jego nauk dla nas pozostało? Nic, prócz wspomnienia historycznego, jak o Sokratesie lub o innych mędracach starożytnych czasów.

Czy ten przykład nie powinienby dać do myślenia ludziom politycznym, w tym albo w innym kraju, którzy do służby publicznej całem sercem nieraz zaprzągnięci, trudu nie szcędzą, pracują odważnie i wytrwale, ale ufni w swój rozum, w swoją bystrość, w swoje doświadczenie, mniemają, że do ich pracy ramię Boże niepotrzebne? Jeśli Chrystus, jako człowiek, mimo swej mądrości, mimo swej świętości najwyższej, złęgo nie byłby zwyciężył, jakże oni mogą się spodziewać, że je zwyciężą

sami! Czy własne ich doświadczenie, którego się słusznie radzą, nie przekonało ich dostatecznie, że ród ludzki ma w swej naturze coś skażonego, coś przewrotnego, co w żaden sposób środkami ziemskimi wyrwać i uszlachetnić się nie da; czy nie wiedzą, że na złe hasła odpowiedzą zawsze tłumy, a na dobre tylko jednostki; że na rozum znajdzie się rozum i że w tej walce na rozumy prawie zawsze weźmie górę podłość lub nierozum? »Ja nie wiem, co to jest sumienie łotra, rzekł mędrzec tegoczesny, ja znam tylko sumienie uczciwego człowieka, to rzecz szkaradna«. Jak okiełznać lub oczyścić dzikie instynkta serca ludzkiego bez siły nadziemskiej; a gdzie ta siła skrzepowana lub gdzie ją mają za nic, jak przeszkodzić, by w pośród mas nie urosła taka moc przewrotnych chuci, że ona rozsadzi każde państwo i każdą społeczność? Nie przeczym, że wiele złego można zrobić ludzkim wysileniem, wiele zburzyć i roznieść spustoszenia; wszak to widzimy w okół nas, w całej Europie; ale by to złe z ziemi odwalić, by choćby zażegnać jego niebezpieczeństwa, na to rozum ludzki sam jeden nie starczy, na to trzeba dźwigni zasadzonej wysoko, ponad ziemią.

Nic smutniejszego nad tak zwanych ludzi porządku, owych mniemanych konserwatystów, którzy w działaniu publicznem obchodzą się bez Boga, bez Bożych przykazań, bez Kościoła i bez wiary. Nigdy tyle złego nie złało się na świat, jak w wieku XVIII, wtedy właśnie, gdy nim rządili ludzie zasad konserwatywnych a w nic nie wierzący, monarchiści a szydzący z Kościoła, arystokracja a z duchem wolteryńskim, ludzie świecący wysoką pozycją a jeszcze bardziej świecący życiem niemem i rozpustą. Im z wyższego miejsca spada zgorszenie, tem dalej i tem szerzej potok się jego rozlewa. Ci ludzie więcej zaszkodzili światu niż francuska rewolucja, która zburzyła ołtarze i kazała czcić nierządnicę. Dziś

takich konserwatystów, wprost nieprzyjaznych Kościołowi, podobno już niema. Są zato obojętni, oportuniści czy politycy utylitarni, »albo wyznawcy silnego rządu«, którzy Kościół do pewnego stopnia szanują, radzi go nawet użyją jako *instrumentum regni*, ale w nim reguły dla siebie i dla spraw publicznych nie uznają; owszem gotowi go wprzągnąć napowrót do jarzma, skoro im się wyda mniej przydatny. Nie długi ich żywot, policzył Bóg ich panowanie. W ich działaniu zawsze tego zabraknie, co skutek trwały zapewnia, to jest mocy wewnętrzznego przekonania: na zuchwałę przeczenie odpowiedzą tylko — połowicznym twierdzeniem. Trudu mogą sobie zadać wiele, lecz nic więcej nie zdobędą — prócz trudu dla siebie. Skruszy się to wątłe narzędzie, bez siły istotnej, to jest bez prawdy i szczerości: *appensi sunt in statera et inventi sunt minus habentes*. »Zważeni są na wadze i okazało się, że niedoważają...«

Na tym grobie Chrystusowym, któregośmy pamiętkę obchodzili, stoi Kościół niewzruszony i tej podwaliny żadne siły ziemskie czy piekielne nie przemogą. On jeden w swem działaniu jest płodny i swej płodności drugim użycza, lecz to wszystko co się w nim nie zasila, wyschnie prędko i zmarnieje. On jeden ma przywilej nieśmiertelności, i każda sprawa, która się na nim opiera, coś z jego trwałości dla siebie przejmuje. Powiedziano słusznie, że odkąd Chrześcijaństwo istnieje, narody są nieśmiertelne. Prawda jest, że niejeden naród zniknął, pomimo to, z widowni świata, ale pierwej nim on zgasnął, zgasnąć w nim musiała wiara. Prawda jest, że na narody spadają ciężkie krzyże, że tworzy się nie raz ku ich zgubie zmowa złych potęg, a tak groźna i niebezpieczna, iż zdaje się, jakoby przeciw nim nie było już żadnego zgoła ratunku ani podpory. Wszak tego sami doświadczamy. Ale boleść, która na ziemi nie znajduje ulgi, tem pilniej szuka jej u Boga, jak że-

glarz, który, gdy niema stałego punktu pod nogami, znajduje go w pośród gwiazd. I to także prawda, że pod naciskiem owych ciężkich prób, niejeden ugnie się i zwątpi; ale inni za to zmężnieją i urosną w bohaterów, i nic to ich bohaterstwu nie zaszkodzi, że o niem dzienniki nie będą pisały. Przybędzie im wiary, przybędzie zdolności cierpienia i staną się w pośród swych braci solą ziemi i światłością świata. Z wiary rośnie nadzieja, która tam nawet ufa, gdzie wszystkie nadzieje zginęły; rośnie cierpliwość, która wszystko przecierpi a od swego nie odstąpi — resztę zda na Boga...



II.

Znaczenie Świętych w historii ¹⁾.

I.

Oto jestem z wami po wszystkie czasy, aż do skończenia wieków. Temi słowy Zbawiciela, Mateusz zamknął swoją Ewangelię, i cała historia rodu ludzkiego niczem innem nie jest, jak tylko wymownym i dobitnym komentarzem tej wspaniałej obietnicy; i każdy wiek, który od tego czasu upłynął, nim zapadnie w przeszłość niepowrotną, zapisuje i świadczy, jeden po drugim, że się ta obietnica spełniła. Owa kropla drożdży cudownych, które Chrystus w Ewangelii zostawił, fermentowała przez wszystkie wieki i fermentuje po dziś dzień w rodzie ludzkim, i ogarnia i zalewa wszystkie sfery kuli ziemskiej, wszystkie objawy i kształty społeczeństwa, wszystkie dziedziny ludzkiego umysłu i serca. A dzieje się to tak powoli, stopniowo i konsekwentnie, jakby Bóg żadnej w tem roli nie odgrywał; i byli pisarze historyczni,

¹⁾ Mowa ta była powiedziana w kościele księży Jezuitów we Lwowie, 31. lipca 1881. Ponieważ zaś celem jej głównym było oddanie czci św. Ignacemu, przeto mowca nie mógł przekraczać epoki, w której żył ten wielki Święty, zacem na następne wieki w tym krótkim obrazie historycznym miejsca nie było.

z wielu miar godni pochwały, co tymi pozorami złudzeni, w dobrej wierze twierdzili, że wzrost chrześcijaństwa i tryumf Kościoła były tylko prostym i naturalnym wypadkiem ludzkich usiłowań. Ale kto głębiej w rzecz spojrzy, ten się przekona, że chociaż zwycięstwo Kościoła było niezaprzeczenie owocem trudów i ofiar jego synów, to jednak trudy te i ofiary nie byłyby wystarczły, gdyby ich Bóg za każdym razem ze swej strony nie był uzupełniał. W dziejach Kościoła widoczne jest ludzkie i Boże zarazem działanie. Łódź Piotrowa, rzucana od Pana w pośród nawałności, chociaż jej nigdy nie brakowało doświadczonego steru, byłaby sto razy zatona, gdyby jej Bóg od czasu do czasu nie był przysyłał wyjątkowej dzielności żeglarzy, albo, skoro i oni trudnościom podołać nie mogli, gdyby burzy zbyt gwałtownej swoją wszechmocą nie był poskramiał.

Przez trzy pierwsze wieki nie mieli chrześcijanie innego środka do bronięcia prawdy, jak tylko modlitwę i męczeństwo. Wiadomo, że swem cichem a mężkiem w cierpieniach wytrwaniem stępnili oni i zmiękczyli żelazną twardość i zaciętość Rzymian. Owce, choć się szarpać dały, nawróciły wilki; pokorne ofiary rozbroiły katów. Ich to zasługa i za to je dziś czcimy. Lecz byłóż to własną, wyłączną ich zasługą?... Dość się wczytać w akta męczeńskie tych wieków, dość przypomnieć sobie, jak przerażającymi i w swem okrucieństwie wyszukanymi były tortury Rzymian, jak głęboko obmyślonemi na złamanie ciała i nadwątlenie ducha, aby przyjść do przekonania, że, by odważyć się na takie katusze, wytrzymać je i nie cofnąć się przed niemi, chociaż cofnąć się zawsze było wolno, na to trzeba było czegoś więcej niż ludzka natura dać może, na to trzeba było siły nadziemskiej wprost od Boga danej. Boska to interwencya w tej ciężkiej, pierwszej próbie Kościoła; spełnienie obietnicy Chrystusowej: ja za wasze będę z wami. Przez trzysta

blizko lat przysyłał Pan nie jednego, nie kilku, ale tysiące i tysiące mężów, starców, niewiast i dzieci, których my ani w setnej części nie znamy, *quorum nomina scit Omnipotens* ¹⁾, i którzy jakby po to tylko przyszli na świat, aby oddać krew swoją za wiarę Chrystusową; ludzie obdarzonych niedostępną dla nas mocą do znoszenia niewysłowionych boleści i mąk, przyjmujących je odważnie, niekiedy nawet radośnie, a to wszystko dlatego, aby poświadczyć tej zasadniczej w społeczeństwie chrześcijańskiej prawdzie, że *więcej należy słuchać Boga, aniżeli Cezara!*

Bez tej prawdy, bez jej głębokiego zaszczepienia w życie i w pojęcia ludzkie, Kościół ani cywilizacya prawdziwa żyć swobodnie i rozwijać się nie mogły; i ją też przedewszystkiem należało wywalczyć, chociażby całym potokiem krwi chrześcijańskiej. Aż nakoniec tę wielką prawdę, iż więcej trzeba słuchać Boga, niżli ludzi, ten fundament chrześcijańskiej ery, uznała jawnie i stanowczo najwyższa na ziemi władza, Imperatora rzymskiego; i takim to podwójnem działaniem, ludzkim lecz oraz i Bożem, ów pierwszy, dziejowy tryumf Kościoła otrzymany został. Ale tryumf to nie zupełny. Bo chociaż krzyż Chrystusowy zabłysnął na koronie Cezara, duszy Rzymianina on nie przeniknął, nie przerobił. Rzym przyjął wiarę Chrystusową, to prawda, ale przy obyczajach pogańskich pozostał. Co większa, hołdowanie zmysłom, pogański kult ciała przytłumiały wiarę w nowo nawróconych; w owem nawskroś zmaterializowanem pokoleniu ferment ewangeliczny zdawał się tracić swą siłę. — Bóg, wierny swemu Kościołowi, przychodzi mu wówczas na pomoc, przysyłając zastępy niewidzianych

¹⁾ Napis na kościołach męczenników przeniesionych z katakumbów św. Kaliksta do kościoła św. Praksedy przez Paschalisa papieża, w wieku VIII.

dotąd szermierzy — ludzi, którzy wzgardziwszy tem wszystkim, za czem jedynie ubiegało się społeczeństwo, wzięwszy rozbrat z wygodami ciała i przyjemnościami towarzyskiego pożycia, skazują się dobrowolnie na głód i pragnienie, skwary i zimno, przykrości i niebezpieczeństwa pustyni. I jak w opowiedzianej dopiero epoce, spieszyli tamci na stopy i pod topór rzymskich katów, tak teraz spieszą ci nowi męczennicy do Tebaidy i do syryjskich pustelni. Pod Antyochią zjawia się pokutnik, któremu podobnego przedtem nie widziano, Symeon Stylita; i ten trzydzieści lat przeszło, dniem i nocą, przebywa na kolumnie czterdzieści łokci wysokiej. Przez lat trzydzieści z górą był wystawionym na skwary i burze, deszcze, wichry i zimna, i żył tem, co miłosierna dłoń ludzka przyniesie, to pokuta, która tak dobrze siły jak i pojęcia nasze przechodzi; a choć dzisiaj niejednemu dziwną a nawet śmieszną wydać się może, w owej epoce powszechnego wylania się na uciechy zmysłowe sprawiała potężne wrażenie. Słup Symeona stał się kazalnica, do której zbiegały się tłumy z odległych miast i krajów; przyjeżdżali biskupi, aby zasięgnąć zdania heroicznego pokutnika, i wiadomo z historii, że jego rady roztropne i świątobliwe przyczyniły się niemało do utrzymania w czystości nauki katolickiej na Wschodzie. Ów człowiek, stojący na słupie bez przerwy, zdawał się być tak wielkim Świętym i tak donośnem był dla wszystkich upomnieniem, że nawet imperator Konstancy nie wahał się pisać do niego z prośbą o modlitwy w trudnych sprawach i niebezpieczeństwach cesarstwa.

Atoli, ani Symeon Stylita i jego późniejsi naśladowcy, ani liczne szeregi pustelników, mnichów i mniszek, do których zaciągali się synowie i córki najprzedniejszych rodzin Rzymu, nie mogli oddziaływać skutecznie przeciw zepsuciu pokolenia, które nosiło w sobie truciznę więcej niż tysiącletniego pogaństwa. Serc zaty-

łych w grzechu nawet wiara Chrystusowa nie naprawi; potrzebna im naprzód chłosta Boża. Lecz, że w oczach Boga żaden dobry nie ginie uczynek, więc i te ofiary pokutnicze nie minęły bezpłodnie; owszem, wydały rezultat bardzo ważny, i dla tej epoki, o której mówimy i dla późniejszej, która wnet nadeszła. One zrodziły z jednej strony niepospolitych mężów Kościoła, genialnych szermierzy, którzy stawili czoło rodzącym się herezjom; z drugiej zaś strony powołały do życia wielkich robotników pańskich, którym otwarło się wnet obszerne, pełne trudu i chwały, lecz całkiem innego rodzaju życie. — Zesłał Pan hordy barbarzyńców, aby zburzyć niepoprawną Romę i to dzieło zniszczenia roznieść aż do ostatnich granic imperium. Pod smaganiem »biczów Bożych« rozsypało się w proch dawne społeczeństwo; z wszechwładnego Rzymu zostały tylko gruzy. Ale między gruzami świeciły już bazyliki, nasienniki przyszłości. Uderzeni świętością i majestatem następców Piotra, królowie barbarzyńscy uszanowali chrześcijaństwo, przyjęli chrzest święty. I oto nowa, wśród burz i piorunów, spadająca interwencja Boża; z nią dla Kościoła nastaje odmłodzone życie!...

Z okrucichów zachodniego imperium zdobywcy pobudowali sobie osobne królestwa. Chrześcijańscy to już byli, ale jeszcze dzicy i rozbójniczy wodzowie, którzy ani dawnej, zburzonej cywilizacji zrozumieć nie byli w stanie, ani stworzyć ładu koniecznego dla zawiązujących się państw. Burzyć umieli, zburzywszy gotowi iść dalej; nie łatwo ich było zatrzymać, osadzić na miejscu. Na tem morzu rozwalin Kościół sam jeden stał niewzruszony, sam jeden świadom przeszłości, sam jeden przyszłości miał być sprawcą, być piastunem i mistrzem narodów. Bóg nie odmówił mu pracowników takich właśnie, jakich było potrzeba, wobec tej surowej a rozhułkanej społeczności. Zjawia się mnich, Benedykt, i gro-

madzi koło siebie garstkę wybrańców i rozsyła ich w różne strony spustoszonej Italii, Brytanii i Galii, aby na gruzach starego świata zbudować nowy. Gdziekolwiek znajdą ci pokorni jego wysłannicy, wszędzie zbiegają się do nich ludzie prości, dobrej woli; wiążą się ślubem zakonnym, przywdziewają kaptur mniszy, i — dla miłości Boga i zbawienia swej duszy — trzebią lasy, uprawiają pola, zakładają warsztaty, budują kościoły i monastera. Ze świątyń benedyktyńskich biją w niebo dniami i nocą hymny pochwalne na cześć Pana; a odgłos tych pieśni i widok tych nowego rodzaju apostołów, z lemieszem lub młotem w ręku, zadziwia i przyciąga ludność. Za ich przykładem i pod ich wpływem, wojownicze niegdyś hordy przywykają z wolna do spokojnej i regularnej pracy; w około monasterów zakładane osady i miasta urastają prędko w ludność i zamożność. Nim dwa wieki upłynęły, zmieniła się postać zachodniej Europy. Dwa wielkie czynniki cywilizacji, wiara i praca, złożyły się na wytworzenie chrześcijańskiej, średniowiecznej społeczności; a te podwaliny musiały być już dość mocne, skoro na nich Karol Wielki oparł swą olbrzymią polityczną budowę. *Novus rerum natus est ordo...*

Ale Kościół nigdy długo nie zazna spoczynku. Z każdym stuleciem inne braki i choroby, innych potrzebują lekarzy i lekarstw. Widywano niegdyś apostołów uczniów Chrystusowych; przyszli następnie apostołowie-męczennicy; przyszli później apostołowie-pokutnicy i pustelnicy, jeszcze później apostołowie-rolnicy i rzemieślnicy; przychodzą teraz apostołowie-wędrowcy i żebracy; obaczymy niebawem apostołów-żołnierzy. Tymczasem przypomnijmy, że ręką pokornych i pracowitych Benedyktynów wytrzebione lasy i uprawione pola wniosły do klasztorów dostatek; lecz z dostatkiem wcisnęło się niestety rozprężenie; i zarówno w monasterach jak na dworach biskupich przygasła świątobli-

wość, zapanowały świeckie obyczaje. Ludzie świata widząc, że mężowie Kościoła stali się do nich tak podobni, pomyśleli, że i oni na ten sam sposób piastować mogą infuły i mitry, zapragnęli kościelnego chleba. Więc gwałtem, podejściem, a najczęściej przekupstwem, panowie możni poczęli zdobywać biskupstwa i opactwa dla swoich synów, nieraz małoletnich. Ilu było mężów świątobliwych w wieku XII, wszyscy jęczeli z boleści nad upadkiem duchowieństwa i Kościoła. A złe było tem większe, że kiedy w pałacach biskupich i w murach klasztornych słyhać było odgłosy biesiadnicze lub myśliwskie trąby, w odleglejszych wsiach i miasteczkach ludność już dość zgęszczona, dotkliwą cierpiała nędzę, i przy braku księży i proboszczów, pod względem religijnym najzupełniej była zaniedbaną; owa ciężka choroba, która dziś przeraża Europę, pod nazwą socjalizmu, już wówczas podnosiła głowę we Francyi i we Włoszech. Złe było tem większe, że razem z zawiścią socyalną, zjawiły się i utrwaliły mocno u stóp Pyreneów, zjadliwe sekty Waldensów i Albigensów i wypowiedały wojnę całej hierarchii Kościoła. Napróżno Papież przywoływali kler i świeckich do pokuty i poprawy, po trzy razy zbierali synody, wszystko napróżno; choroba coraz szersze przybierała rozmiary i nie wiedzieć gdzie było szukać lekarstwa, skoro ci, co powinni byli leczyć, sami nadewszystko potrzebowali ratunku!...

»W ręku Boga władza nad ziemią, mówi Mędrzec Pański; pożytecznego sprawcę wzbudzi dla niej w czasie swoim«. W tej epoce wzbudził naraz dwóch: Dominika i Franciszka. Nie mam czasu, by te szczytne postacie, choćby w najogólniejszych przedstawić zarysach; dość powiedzieć, że obaj stali się prawdziwymi dobrodziejami ludzkości, uzdrowicielami jej społecznych i duchowych ran. Dominik, utworzywszy zakon kaznodziejski, zakładał klasztory, ale już nie warowne benedyktyńskie twier-

dze, tylko daleko naprzód wysunięte posterunki, z których synowie jego wybiegali, roznosząc słowo Boże po całej Europie, na wschód i na północ odległą, do Kijowa, do Rygi, do Gdańska. Franciszek, istny serafin, apostoł ubóstwa, zebrał koło siebie całą armię Chrystusowych żebraków; do chat najbiedniejszych wniósł spokój, pociechę i godność chrześcijanina; pokazał nędzaczom wielką cenę i wielką zasługę ubóstwa, znoszonego z miłością, dla miłości Tego, który nagi umarł na krzyżu. A któż obliczy przecenne skutki Trzeciego zakonu i tyłu Świętych tercyarzy i tercyarek, którzy, wiedząc żywot ostry, w dobrowolnem ubóstwie, jaśniali przedziwnymi cnotami na tych właśnie dworach książęcych, pańskich i biskupich, które swoją płochością światową gorszyły ludzi przed niewielą laty. Nigdy jeszcze reforma życia i obyczajów nie była dokonana tak szybko i tak stanowczo, a wszystko sprawiła święta pokora żebraka z Assyżu!...

II.

Wierny jest Bóg Kościołowi swemu, pożytecznego sprawcę wzbudzi dlań w czasie swoim. Zapasem sił, jaki stworzyli Dominik i Franciszek, żyła ludzkość przez dwa wieki, lecz z czasem i one się wyczerpały. Z końcem XV stulecia spadły na Europę nader groźne choroby, na które synowie owych dwóch świętych patriarchów już nie umieli poradzić, tem bardziej, kiedy pierwotna ich dzielność znacznie ostygła i kiedy sami wpływom świata w pewnej mierze podbić się dali. Nigdy jeszcze od czasów Aryusza Kościół nie doznał tak wielkich klęsk, jak te, które go dotknęły w pierwszej połowie XVI wieku. Więcej niż trzecia część jego synów oderwała się od jedności. Z dzisiejszej W. Brytanii tylko Irlandya pozostała mu wierną; Dania i Szwecya połą-

czyły się z Lutrem w nienawiści do Rzymu; Niemcy środkowe, gdzie wylęgła się herezya, i północne, gdzie najszybciej się rozszerzyła, stracone na długie wieki; za niemi poszły Prusy książęce, Prusy królewskie, Kurlandya i Inflanty. Lecz i w krajach, które jeszcze nie zerwały ze Stolicą Piotrową, jak Francya, Niderlandy, Polska i Węgry, protestantyzm czynił ogromne postępy; zuchwałe i niebezpieczne żądania, które z tych krajów dochodziły do Rzymu, świadczyły, jak głęboko upadł w nich duch katolicki. Nie było dnia, w którymby jakaś groźna wiadomość nie dochodziła spólnego Ojca Chrześcijaństwa. Zewsząd powstawały głosy, że stary Kościół się zużył, zdzieciniał, że uczy fałszu, odstąpił od prawdy Chrystusowej, i że dopiero Luter ma ją rodowi ludzkiemu w całej czystości powrócić.

Skąd ten przewrót gwałtowny? Wiele było przyczyn. Odrodzenie się literatury starożytnej, czyli tak zwany humanizm, który upodobanie w formach klasycznych posunął aż do szału, lecz wraz z formami i pojęcia pogańskie wprowadził do umysłów; podstępna polityka kilku monarchów, którzy, szukając przewagi nad Kościołem w swoich państwach, radzi byli trudnościom, jakie on spotykał u swych dzieci; lekkie życie na dworach książęcych, stąd ciekawość i chęć nowostek; a na ostatek łakomstwo panów i rycerstwa na majątki kościelne. Lecz te wszystkie pobudki, jakkolwiek rzeczywiste, nie byłyby sprawiły tak wielkiego rozerwania w Kościele, gdyby w nim samym nie tkwiła głębsza przyczyna. A było nią z e s w i e c z e n i e duchowieństwa, czyli jaśniej mówiąc, jego zepsucie. W poprzednim wieku niemal wszyscy monarchowie zdobyli na Papieżach to bardzo ważne dla siebie ustępstwo, że mogli swoimi ludźmi obsadzać biskupstwa; też samą koncesyę wymógł i u nas jeden z Jagiellończyków, i za to dziś jeszcze gło-

szą o nim pochwały. Odtąd nie zdanie kapituł lub wola Ojca Świętego powoływały do biskupstwa, ale jedynie łaska monarchy, a zrozumieć łatwo, że tę łaskę zaskarbiać sobie należało nie tyle pobożnością i świętobliwością życia, znajomością spraw kościelnych i gorliwością o zbawienie dusz, ile zręcznością w podobaniu się królowi i jego dworzanom, co najczęściej pewnem uzdolnieniem do spraw świeckich. Odtąd też, przez sto lat, u nas przynajmniej, zasiadali na tronach biskupich mężowie — świadomi polityki, znakomici nieraz kanclerze, ludzie biegli w pisaniu wiązaną i niewiązaną mową — ale biskupów wedle serca Bożego nie było, w tej smutnej a tak sławionej odrodzenia epoce! Owszem, widziano intrygantów, sybarytów, rozpustników; widziano i takich biskupów, którzy przez całe życie ledwo jedną lub dwie msze odprawili, a w dyecezyach znali nie dusze swych owieczek, lecz swoje dochody. Że pod rządem takich pasterzy, Kościołowi narzuconych, rozpręgła się karność w duchowieństwie, ostygła gorliwość, zepsuły się obyczaje i sama nawet zachwiała się wiara; że ci pasterze, co powinni byli swoje owce wieść na drogi zbawienia, pchali je sami w przepaść zatracenia; że stamtąd, skąd miał świecić dobry przykład, szerzyło się najobrzydliwsze zgorwienie; że jednym słowem, ta sól zwietrzała nie zasługiwała na nic innego, tylko na to, by ją wyrzucić precz — to samo z siebie wypływa, i to posłużyć może za dowód, jak fatalnem po wszystkie czasy było i jest mieszanie się rządu i świeckich do spraw Kościoła. — I to także wytłomaczyć jedynie może owe niepospolite, a bardzo nauczające w dziejach Kościoła polskiego zjawisko, na które dotychczas nie zwrócono uwagi. Stoma laty wprzód wybuchła w Czechach niebezpieczna dla Polaków herezyja, hussytyzm; niebezpieczna, bo bliska sąsiedztwem i pokrewna rodem i językiem, a nadto przynosząca Polsce dar ponętny, koronę czeską. A jednak

ta herezyja nie przyjęła się u nas i wszystkie jej ułudy i pokusy rozbiły się o niezachwianą czujność i gorliwość biskupów polskich, których wówczas nie monarchowie wybierali, lecz kapituły lub Papieże. W XVI wieku jakże inaczej! Wkrada się luteranizm z odległego kraju; obcy nam i wstrętny samem pochodzeniem i językiem; obcy i wstrętny swą suchością i racjonalizmem, który bądź co bądź nie zaspokoi nigdy duszy Polaka. A pomimo to, witany, przyjmowany radośnie; panowie, szlachta, mieszczenie otwierają na roście swe wrota włoskim i niemieckim wywłokom, zabierają gwałtem kościoły, przerabiają je w protestanckie kirki, i bolesno wspomnieć, pędzą do nich, jak bydło, swych poddanych, chłopów! I nie znaleźli się biskupi, ani księża, coby położyli koniec temu rozbojowi dusz!...

Takie nastąpiło zgorszenie, taka obrzydliwość spustoszenia w czasie, gdy na świecie zjawił się Ignacy z Lajoli. Podobnie jak św. Paweł, z którym niejeden łączy go rys wspólny, nie myślał on za młodu służyć Kościołowi. Z usposobienia i rzemiosła żołnierz, prowadził życie gwarne, pełne niebezpieczeństw, marzył o świetnej karierze na polu bitew. Lecz i jego, jak św. Pawła, Bóg zawrócił z drogi i zawiódł do szkoły, w której mu pokazał, jak wiele miał wycierpieć dla Imienia Pańskiego. Ranny przy oblężeniu Pampelony, zmuszony do bezczynności, zażądał książek świątowych, by rozpędzić swe nudy. Nie było ich pod ręką, dano mu życie Chrystusa i żywoty kilku Świętych Pańskich. Czyta — i dusza jego doznaje niezwykłego wrażenia i nowe światło błyszczące mu w oczach. »Jeżeli ci ludzie mogli się zdobyć na takie rzeczy, czemu ja nie mogę?« Porzuca zamek ojcowski, przywdziewa strój żebraczy, szuka samotności, by z dala od ludzi zbliżyć się do Boga, poznać siebie. W jaskini Manreze znajduje schronienie. Tam, w twardej pokucie i wytrwałej modlitwie bada, szuka, walczy i prze-

chodzi najcięższe próby wewnętrzne, które całą jego istotę duchową burzą, obalają. Wycieńczeni głodem i krwawą dyscypliną, w kurzu i włosienicy, wybladły i bez sił, zdaje się być bliskim końca. Potężna dłoń go dźwiga, wyprowadza na jasny dzień światła Bożego, w najwyższe sfery zachwyty i objawień. Wówczas ogląda się na siebie i na mozolną drogę w tej samotności przebytą, i odgaduje ową przedziwną łączność, jaka zachodzi między usposobieniem każdemu z nas właściwym, a rodzajem walki, którą stoczyć musimy między wadami naszymi a pokusami, które w nas biją, między upadkami a dźwiganiem się naszym, które nam pokazują i bezsilność naszą i miłosierdzie Boże nad nami; widzi on, że to wszystko ma nam odsłaniać cały świat nowy, świat wewnętrzny dotąd nam nieznany, że zarazem oczyszcza duszę i wzmacnia wolę i czyni ją zdolną do wielkich przedsięwzięć i ofiar. — To był nowicyat Ignacego: szkoła twarda lecz niezbędna dla każdego, co ma być później przewodnikiem dusz. Tu książki, choćby najuczeńsze, niewiele pomogą, doświadczenie świata jeszcze mniej. Tylko ten, co w ogniu walki wewnętrznej przepalił swą duszę, a przynajmniej ją wypróbował, ten tylko zrozumie całą bezdenność i niespożytość ludzkiej niemocy, lichoty i złości, a obok tego mądrość i dobroć Boga; i ten tylko zbadawszy siebie i — dodajmy, wzgardziwszy sobą — nauczy się czytać w duszy bliźniego. A przeciwnie, biada temu, co bez takiej przygotowawczej szkoły, bez takiego wejścia w siebie i należytego siebie ocenienia, zrywa się na ów trudny i wysoki urząd kierownika dusz. Nic w nich nie zobaczy, lub chociażby ujrzał, nic nie zrozumie; zuchwale, świętokradzko własną swą wolę narzucać im będzie; zamąci je i zamęczy, i myśl świętą, myśl cudownie piękną, którą Pan w nich złożył, wykrzywi, pokala, sfałszuje. Ślepy ślepego prowadzi i obaj w dół wpadną!

Długa samotność Ignacego w Manreze zdecydowała o jego przyszłości i o zakonie, który miał utworzyć. Doznawszy na sobie błogich jej skutków, chciał opisać dla innych te drogi, któremi szedł i prawdy, których doszedł; i tak się zrodziła owa przedziwna książka: *Ćwiczenia duchowne*. Któż jej nie zna, kto jej nie zawdzięcza najszcześniejszych, a w każdym razie najważniejszych chwil swego życia? Papież tylokrotnie ją pochwalili, Kościół tak znaczne przywiązał do niej łaski i przywileje; święty Franciszek Salezy powiedział o niej przed trzema blisko wiekami, że ile w tej książce liter, tyle ona dusz zbawiła! Ćwiczenia św. Ignacego nie wchodzą do reguły Towarzystwa Jezusowego, boć dopiero *konstytucye* formują Jezuitę, jak dopiero misye i szkoły zaprawiają go do służby, którą rozkaz starszego kieruje. Ale niemniej dlatego godzi się powiedzieć, że *Ćwiczenia* św. Ignacego są podstawą i duchem tego zakonu; one nadały mu ten pęd, którym on idzie, ten charakter apostołsko-wojowniczy, którym się odznacza i dla którego nieprzyjaciele Kościoła tak bardzo go nienawidzą; one to ludzi świeckich przeistaczają w Chrystusowych żołnierzy, zaszczepiają w nich zdolność do wszelkiej ofiary, i do najcięższej ze wszystkich — ofiary ze swych nawyków, upodobań i woli, bez czego niema Jezuita i zakonnik być nie może. Czyż to nie cud prawdziwy, że taką właśnie książkę napisał Ignacy, i to — nie po długich latach pokuty, zakonnego życia, kierownictwa dusz i jeneralskich rządów — ale nazajutrz po swem nawróceniu, nazajutrz po odpasaniu swej szabli i oddaniu się Bogu? Bóg go powołał do wielkich dzieł, kazał mu zebrać wojsko liczne i karne, na którym Kościół oparty, mógł odepchnąć nieprzyjaciół i powetować swe straty. I dlatego u samego wstępu tej służby, Pan dał mu w rękę ten sztandar przedziwny i ten oręż zwycięski,

aby zaciągnąć Chrystusowe rycerstwo i zaciągnięte szczęśliwie do boju prowadzić.

Ten, który zapowiedział, że Kościoła nigdy nie odstąpi, Ten wzbudził Ignacego, aby go postawić przeciw Lutrowi i jego pomocnikom. To misya rycerza z Lojoli, i tę misję wyznaczył on dla swych synów. Ich zadaniem zburzyć herezyę; dopóki ona gdziekolwiek istnieje, dopóty żaden Jezuita spocząć nie może. Cała gorliwość Ignacego zwróconą była na korzyść Kościoła. Musiał on szukać ciągłych dla niego zdobyczy, lecz przede wszystkim utrwać lud w wierze, uczyć go katechizmu, zachęcać do częstego przyjmowania Sakramentów, zaszczeniać w nim cześć dla świętych obrzędów, posłuszeństwo prawom i przykazaniom Kościoła, nawracać herezyków i pogan i w tem wszechstronnem a świętem dziele nie oszczędzać pracy i ofiar, nie żałować swego zdrowia, wpływu i reputacyi, nie ustawać nigdy; — to cecha życia Lojoli. I taką właśnie niestrudzoną czynność, taką nieustającą do boju raźność i ochoczość, przekazał on swoim w zakonie następcom. Być gotowym na każde zawołanie, na każdą potrzebę Kościoła i dusz, mieć zawsze gorliwych misjonarzy, wymownych kaznodziei, pracowitych katechetów, niezmordowanych spowiedników, doświadczonych nauczycieli, uczonych teologów i apologistów, a przytem ludzi bohaterskich, zdolnych każdego czasu iść na mękę i na śmierć, gdzie każe starszy, w Europie czy w Azji, Ameryce lub Afryce, pod równikiem czy w okolicach podbiegunowych, to cel, to obowiązek, to racya bytu Towarzystwa Jezusowego, jak je pojął i utworzył św. Ignacy! *Quae regio in terris, nostri non plena laboris!*... Liczą w Towarzystwie Jezusowem około 12.000 pisarzy, między nimi takich olbrzymów wiedzy, jak Bellarmin i Suarez. Lecz nie to najwyższa chwala tego zakonu. Większym dlań zaszczytem

jest, że wydał 8000 misjonarzy, a jeszcze większym, że 800 Jezuitów poniosło za wiarą krew męczeńską!...

Kiedy Ignacy umierał, Towarzystwo Jezusowe liczyło 13 prowincyj i około stu kolegiów; synowie jego zasiadali na soborze trydenckim, przemawiali na dworach monarszych i z najgłośniejszych kazalnicy w Europie; pracowali na najdalszym wschodzie i zachodzie, w Azji i w Ameryce. Rzecz prosta, że tyle trudów i powodzeń tyle, jak z jednej strony podziw i uwielbienie, tak z drugiej wywołać musiały niechęć i zawiści. Kto silnie afirmuje, musi spotkać się z silną negacją; kto walczy z odwagą i dzielnością, ten koniecznie zszereguje przeciw sobie potężnych nieprzyjaciół. To leży w naturze rzeczy. W dobrej sprawie, jeżeli niema opozycji, trzeba ją stworzyć, mawiał pewien minister angielski; inaczej sukces niepewny, nietrwały. Przeciwnicy i prześladowania są jak cień przy człowieku; dopóki człowiek idzie naprzód, dopóty i cień za nim postępuje; dopiero kiedy człowiek położy się, cień znika. Kto chce być »towarzyszem Jezusa«, ten z góry wie o tem, że wszystkie zelżywości krzyża mogą spaść na niego. Święty Ignacy tak był przekonany o konieczności cierpienia dla miłości Jezusa i razem z Jezusem, że prosił Boga, iżby zakonowi jego nigdy cierpienie i prześladowań nie brakło. Trzeba przyznać, że został wysłuchanym! Żadne zgromadzenie zakonne nie doznało tyle obelg, potwarzy, zdrad i podstępów, co Towarzystwo Jezusowe; z żadnym nie walczone z taką zaciętością i tak niegodziwymi środkami. Lecz może się pocieszyć; jeżeli cierpi, to w dobrej kompanii. Nikt nie gotuje zamachu na Kościół, by pierwiej nie godził w Jezuitów; i też same głosy, co Jezuitów spotwarzają, też same szarpią Kościół, bluźnią Chrystusowi i Jego Matce Najświętszej!...

Czas skończyć. Kiedy św. Ambroży miał mowę pochwalną na cześć Teodozjusza i opowiedział wielkie

dzieła i przewagi zmarłego Imperatora, rzekł, wskazując na jego synów: *Reddite filiis, quod debete patri*; oddajcie synom, coście winni ojcu! Niema nikogo w tej świątyni, coby nie był czegoś winien synom Ignacego: ten dobrą radę, ów swe wychowanie i zbawienny kierunek; ten pomoc skuteczną a bezinteresowną, ów całkowite odrodzenie ducha i szczęśliwą w życiu reformę. I mówiący te słowa zalicza się także do ich dłużników. Wszystko to dzieło Ignacego. Ale wam nie powiem, jak mówił św. Ambroży, byście synom oddali coście winni Ojcu. Owszem powiem wam: *Reddite patri quod filiis debete*; oddajcie Ojcu, co zawdzięczacie jego synom, ponieważ synowie działają według reguł, jakie im przepisał, w duchu, którym ich natchnął, środkami, których im dostarczył. Albo raczej, i to, coście winni Ojcu, i to, co synom zawdzięczacie, oddajcie Bogu Najwyższemu, który przyśła Świętych swemu Kościołowi, a zawsze takich właśnie, jakich ludzie w tym czasie potrzebują, Bogu, który jest początkiem i końcem wszelkiego dobra i któremu cześć na wieki!...

III.

Męczeństwo św. Stanisława i jego znaczenie w dziejach narodu.

Za dni kilka odbędzie się w mieście naszym wielka religijna i narodowa uroczystość¹⁾. Ośmiowiekowa śmierci Stanisława rocznica ściągnie i już ściąga roje pielgrzymów z okolic miasta, z pod Tatrów, z Rusi czerwonej, ze Śląska, z Wielkopolski i aż z Prus Zachodnich. Z tem samem uczuciem, które w duszy narodu tkwiło za czasów piastowskich, zdążają oni tutaj: naprzód na Wawel, potem na Skałkę, uczcić wielkiego Męczennika Kościoła i Orędownika narodu, ogrzać się przy bijącym zawsze sercu Polski. Tylko z ziem, na których zawisła twarda ręka schyzmy, tłumy nie przybędą. Ale i stamtąd zjawi się zapewne jakiś pielgrzym samotny i w cichości, w ukryciu, z udręczonem sercem słuchać będzie modłów i śpiewów za Kościół i Polskę, i chowając swe wrażenia w głębi duszy, by ich nikt nie dostrzegł, uniesie je na daleką Litwę i Żmudź i rozda swoim jako upominek starego Krakowa. Bo niema kąta na ziemi polskiej, gdzieby Stanisław ze Szczepanowa nie był znany i czczo-

¹⁾ Rzecz czytana na posiedzeniu publicznem Akademii Umiejętności, dnia 3. maja 1879 w Krakowie.

ny. Imiona Batorego, Jagiellonów i Kazimierza W. jeszcze nie do wszystkich doszły uszu; niekażdy z Polaków wie o najgłośniejszych nawet przewagach oręża polskiego, o Grunwaldzie, Chocimiu i Wiedniu; ale chłop każdy i dziecko kilkoletnie już coś zasłyszeli o św. Stanisławie; wiedzą, że on poniósł śmierć za Kościół i naród zarazem. I to nie dziś tylko, ale wciąż, przez długie wieki, w najgorszych dla wiary i ojczyzny czasach. Dzisiaj więc, gdy ta cześć tak powszechna ma się na nowo w naszym grodzie, w sposób tak głośny, uroczysty objawić, zdawało mi się właściwem, aby i tutaj znalazła ona swe echo, aby i stąd podniósł się głos, nie śmiem powiedzieć, w imieniu Akademii, najwyższej instytucji naukowej w Polsce, ale przecież w jej przeczacnem gronie, a wyrażający toż samo, co każdy chłop polski i myśli i czuje. Byłoby lepiej bezwątpienia, aby ktoś zasobniejszy w erudycję, w znajomość epoki piastowskiej, podjął się tego zadania: zyskałaby na tem i powaga Akademii i sama uroczystość. Lecz, że tu nie chodzi o studyum czysto naukowe, że raczej o to idzie, aby przyłączyć się do uczuć całego narodu, do tych hymnów dziękczynnych i błagalnych, które ze świątyń naszych posłyszym niebawem, więc mniemałem, że w tych warunkach i mnie odezwać się wolno.

I.

Historycznie i tradycyjnie sprawa św. Stanisława przedstawia się w ten sposób. Bolesław, pan energiczny, rzutny i odważny, trawił życie w bojach nieustannych, więcej w obozie i po za krajem, słowa są Kadłubka, niż w domu przebywał, ciągnąc za sobą liczne rycerstwo na odległe wyprawy, któremi nie kierowała myśl głębsza, interes kraju, ale jak mówi Gallus, nadmiar pychy i próżności (*ambitionis et vanitatis superfluitas*). Ustawi-

czna króla i rycerstwa nieobecność musiała wywołać w Polsce jeszcze dzikiej i napół pogańskiej nierząd: sprzykrzyło się niewiastom żyć bez mężów, powszechnie oddawały się sługom. Działo się to podczas powtórnego a zbyt przedłużonego pobytu Bolesława w Kijowie. Na odgłos przerażających wieści, jakie dochodziły z kraju, rycerstwo samowolnie opuszczało Króla, spiesząc do swych domów; w końcu Bolesław widząc się niemal bez wojska, czempredziej z Kijowa uchodzić musiał. Wstyd swój i zawód uczuł dotkliwie, wróciwszy do kraju mścił się okrutnie, jednych jawnie skazując na gardło, drugich podstępnie każąc zabijać. Do srogości dodał wyuzdaną rozpustę, do której nawykł w Kijowie. Nastało powszechne oburzenie. Czyniąc się jego tłumaczem, Stanisław, biskup krakowski, mąż wykształcony, bogobojny i o swą trzodę troskliwy, upomniał króla, by uciskom i samowoli położył koniec. Czyn to był wielkiej odwagi, dotąd w Polsce niewidziany; monarcha polski, z owych czasów w swoim stosunku do poddanych i Kościoła, nie wiele się różnił od późniejszych carów moskiewskich. Gdy upomnienie nie skutkowało, biskup rzucił klątwę, a wiedział dobrze co go za to czeka. Oburzony do wściekłości król daje rozkaz zabić Stanisława, a gdy żołnierze cofają się przed wykonaniem jego woli, sam wpada do świątyni i biskupa sprawującego mszę św. własną ręką przy ołtarzu zabija. Jakie skutki ta zbrodnia w takich warunkach dokonana sprawiła, wnosić można stąd, że niespełna w rok potem Bolesław z kraju musiał ustąpić i tron na zawsze utracił.

Tak jest zapisany ten dramat u Kadłubka, który go w 130 lat później, pierwszy szczegółowo opowiedział; fakt jasny, prosty, zupełnie zgodny z charakterem epoki i ludzi, o ile tych ostatnich skądinąd znać możemy. Nic w nim niema nieprawdopodobnego, nic coby sztukowania, podrabiania domyślać się kazało. Wszak wypadek

nader podobny zdarzył się w sto lat później w Anglii, gdzie Tomasz Becket, arcybiskup kantuaryjski, za opór stawiony nadużyciom władzy królewskiej, zabity został z rozkazu Henryka II (1170), i nikt jeszcze tego męczeństwa i jego znaczenia nie podał w wątpliwość. Tak śmierć Stanisława oceniła w 40 lat po Kadłubku Stolica Apostolska, która nim przystąpiła do kanonizacji, nie przestała na relacji ówczesnego biskupa, ale po dwakroć wyznaczała komisję do ścisłego dochodzenia i wykrycia prawdy. Tak go przedstawił Długosz, który opowiadanie Kadłubkowe i nieco późniejsze br. Wincentego uzupełnił bogatym skarbem żyjącej wokoło grobu Męczennika tradycyi; i nikomu także nie przychodziło na myśl powątpiewać o prawdziwości zdarzenia (nikomu — nie wyjmując protestanckich pisarzy z XVI i XVII w.), aż do Naruszewicza, który rzecz umiejętnie obrobił. — Dopiero na początku tego wieku Czacki w przypisku do drugiej edycji *Historyi* Naruszewicza wspomniał, że według najstarszej kroniki polskiej Gallusa, Stanisław, ten mniemany święty, był zdrajcą i miewał skryte z Czechami porozumiewania. Wielką wrzawę zrobiło tak śmiałe twierdzenie; naglony o wydanie Gallusa Czacki, nie spieszył się z niem, i nie bez przyczyny. Już Ossoliński w *Życiu Kadłubka* ostrzegął, że oskarżenie niema dostatecznej podstawy, a Samuel Bandtke dodawał, że niekoniecznie w Gallusie tak stoi, jak Czacki to wyczytał. Gdy ukazała się nareszcie w poprawnem wydaniu kronika Gallusa, można było jasno widzieć, co warta jego pobieżna wzmianka o Stanisławie: ani biskupa zdrajcy nie tłumaczymy, ani nie pochwalamy króla, który mścił się w sposób tak brzydki; (*neque traditorem episcopum excusamus, neque regem vindicantem sic se turpiter, commendamus*). Dworski historyograf, który przesadne aż do śmieszności pochwały o stanie Polski za Chrobrego popisał, który twierdzi, że w owych

czasach niewiasty polskie uginały się pod ciężarem ozdób złotych, a srebro tyle znaczyło co siano, który opowiada, że Chrobry miał wojska tak wiele, jak jego prawnuk poddanych, pisarz, którego utrzymywali brat i synowiec wygnanego króla i który się przypomina im o nagrodę, trudno aby w oczach nieuprzedzonej krytyki mógł uchodzić za bezstronnego sędziego. Sam się też bynajmniej za takiego nie stawia, owszem wyznaje, że woli nic nie powiedzieć, bo kwestya drażliwa; więc przemykając się pośredkiem i króla potępia i na biskupa, którego pamięć tak wstrętną musiała być na dworze, rzuca słowa *traditor, traditio*. Jeszcze to niekoniecznie oznacza zdradę, jak my ją rozumiemy; *traditorem* był każdy, co się władzy monarszej sprzeciwiał. Wszak i o wspomnianym św. Tomaszu pisali spółcześni stronnicy królewscy, że był zbrodniarzem i zdrajcą haniebnym (*homo scelerum et proditio num infamis*). Izmiennik powiedzieliby dzisiaj Rosyanie, jak to przy każdym powstaniu o Polakach mówili. — Godzi się przytem pamiętać, że Czacki nie pierwszy czytał Gallusa, że go dobrze znali i Kadłubek i Długosz i Naruszewicz, i wiedzieli jaką wagę przywiązywać do jego wyrażenia. Przecież dwaj pierwsi byli bliższymi tamtych czasów i lepiej je od nas rozumieli, a nikt im pewno nie dowiedzie, by rozmyślnie kłamali lub taili prawdę. Atoli te wszystkie uwagi dość w oczy bijące nie mogły przekonać tych, którzy przekonani być nie chcieli. Czyż to nie jest dla niektórych ludzi uciechą czuć się wyższym nad przesady niskiego gminu, zwalić z ołtarza choćby jednego świętego, zarzucić Kościółowi, że w swej zgrzybiałej łatwowierności, lub co gorsza obłudzie, kanonizuje zdrajców i zbrodniarzy?...

Tymczasem uczeni rzucili się z namiętnością na chude teksta Gallusa i Kadłubka i nuż je wyciskać, szrubować i własnymi sztukować domysłami! Lelewelowi wypadek ten wydał się dalszym ciągiem powstania kmie-

cego z czasów Masława; Maciejowski przeciwnie widział w nim potężną przeciw królowi konspirację możnowładztwa, które wprawdzie straciło swego przywódcę w Stanisławie, ale w końcu zwyciężyło; Stadnicki w pięknej swej skądinąd książce mniema, że zajście to było buntem Chrobotów przeciw Lachom, a Stanisław Chrobotów wodzem; Roepffel przypuszcza, że to była też sama walka, co spółcześnie między Grzegorzem VII i Henrykiem IV we Włoszech i w Niemczech toczyła się; narreszcie Bielowski usprawiedliwia wymysł Czackiego o znowie Stanisława z Czechami, i na dowód stawia list Władysława, ale jakież — list, w którym król czeski Bolesława, jako szwagra swojego najprzyjaźniej przestrzega, aby żył w chrześcijańskiej zgodzie z biskupem krakowskim. A zważmy na datę, list był pisany na pięć lat przed śmiercią Stanisława. I to ma służyć za dowód jego zdrady!... Wolno tym uczonym, z tyłu miar szanownym i zasłużonym, budować swoje hipotezy, wolno i nam nie wierzyć w nie. My mamy za sobą odwieczny tytuł posiadania, który i w dziedzinie naukowej coś znaczy; mamy tyle innych dowodów. Ale z tymi dowodami przeciwnicy łatwo się uprzętają. Cokolwiek przemawia za Męczennikiem i za Kościołem, w ich oczach, jest niewątpliwie podrobione, sfałszowane; nawet cześć dla Stanisława wymyślona dopiero w epoce kanonizacji; pierwiej nic o niej nie wiedziano. Znalazł Bielowski w dekrete kanonizacyjnym Stanisława niektóre ustępy wzięte z kroniki Kadłubka. Cóż prostszego nad to, że Stolica Apostolska w kwestyi historycznej powtarza słowa kronikarza, który znany był ze swej prawdomowności, a nadto ze świętobliwego życia, i którego te słowa właśnie, jak zobaczymy, były po sumiennem dochodzeniu sprawdzone? Ale Bielowski inny stąd wyprowadza wniosek. On każe domyślać się, że nie słowa Kadłubka do

dekretu papieskiego, ale ustępy z tego dekretu zostały żywcem do egzemplarzy Kadłubka wciagnione.

Cóż odpowiedzieć na taki sposób argumentowania? Jeżeli łatwowierność średniowieczna niejednego bałamuctwa w nauce stała się przyczyną, to systematyczny sceptycyzm i niechęć do Kościoła pewno nie lepiej w badaniach historycznych usłużą.

Nie nowa to rzecz w nauce historii. Tylko jak we wszystkim, tak i w tem przykłady Zachodu o sto lat później u nas się odzywają. Pod koniec wieku XVII zjawiła się we Francyi szkoła, której dano nazwisko: wydłubywaczy Świętych (*dénicheurs des Saints*). Na jej czele stanął uczony jansenista Nain de Tillemont, za nim Baillet, Mesengui i inni. Pod młotem ich krytyki wiele faktów wątpliwych lub wymyślonych upadło, ale wiele i prawdziwych zagłuszono do czasu. Dążeniem ich było, jednych Świętych zupełnie z *Martyrologium* usunąć, drugich ukazać jako ludzi przyzwoitych zapewne, ale żadną cechą nadprzyrodzoną, żadnym heroizmem cnót nie błyszczących. Nie przepuszczono i Rzymowi i pierwszemu chrześcijaństwu wiekom i udawało się to czas dłuższy; przez cały wiek XVIII ten system panował. Dopiero mozolne naszego stulecia poszukiwania z jednej strony, przygaste namiętności z drugiej, dopomogły do rozpoznania historycznej prawdy. Tak np. było odwieczną tradycją we Francyi, że wkrótce po śmierci Chrystusa Pana, Łazarz z dwoma siostrami Martą i Magdaleną przyплыnęli do Marsylii i pierwsi w Prowansyi zaszczytli chrześcijaństwo; Tillemont wyśmiał tę tradycję, atoli Faillon przed 20 laty w obszernem i gruntownem dziele wykazał jej prawdziwość. — Chciano podobnie wmówić w nas, że cześć Matki Boskiej nie była znana w pierwszych wiekach Kościoła; poszukiwania pana de Rossi przekonały inaczej: w najstarszych katakumbach znajdują się obrazy Bogarodzicy. — Chciano

zaprzeczyć, by św. Piotr był kiedykolwiek w Rzymie, zaczętem Rzym przestałby być Stolicą Piotrową i powaga papieżów utraciłaby w ten sposób swą historyczną, sukcesyjną podstawę. Do tylu dawnych dowodów, które w odwiecznem mieście co krok się spotyka, prace i odkrycia późniejsze dostarczyły nowych. Już dzisiaj spór ten z całą ścisłością naukową został rozstrzygnięty; wiemy, że św. Piotr był po dwakroć w Rzymie; że wypędzony razem z Żydami edyktem Klaudyusza, wrócił do Rzymu za Nerona i tamże śmierć męczeńską poniósł; poszukiwania naukowe stwierdziły co do joty żyjące w stolicy chrześcijaństwa tradycje. — Twierdzili protestanci uczeni, że kościół Chrystusowy w pierwszych wiekach rekrutował się jedynie z niewolników i z najniższego pospólstwa, że więc to była religia klas najmniej wykształconych, w które łatwo było można wmówić wszelkiego rodzaju dziwactwa i przesady. Napisy nagrobkowe, po 16 i 17 wiekach dzisiaj odkryte, przekonały, że najcelniejsze rody rzymskie (*gentes*) Korneliuszów, Sergiuszów, Plautiuszów, Pomponiuszów, Flawiuszów i Cecyliów w I i II stuleciu światło wiary chrześcijańskiej zarówno z ubogimi przyjmowały. — Chciano zburzyć piętnastowiekową tradycję o chrzcie Konstancya W. w Rzymie i o jego wyleczeniu z trądu przez Sylwestra papieża, i stawiano za dowód biografię Euzebiusza, która o innym chrzcie Konstancya, jakoby przed samą śmiercią w Nikodemii przyjętem, opowiada; tymczasem Dumont i Guéranger wykazali prawdziwość rzymskiego chrztu i fałszerstwo dzieła Euzebiuszowego przez Aryanów dokonane.

Nie chcę przedłużać tych cytacyj, bo one za dalekoby nas odwiodły. Wszelako nie zdają mi się zbyteczne, bo nas ostrzegają, że jeśli na najstarsze, najautentyczniejsze chrześcijaństwa tradycje zerwać się było można, to nic dziwnego, że u nas na cześć św. Stanisława się po-

rwano; a z drugiej strony uczą one, że nie każde twierdzenie, dlatego że nowe, ma być zaraz wzięte na uwagę, że nie każdy nawet dowód u ludzi poważnych zyskiwać ma wiarę natychmiast, jeżeli staje w sprzeczności z historyczną Kościoła tradycją, bo gruntowność tej tradycji wcześniej czy później będzie wykazana¹⁾.

Wiem ja o tem, że krytyka jest konieczną, bo bez niej istoty rzeczy nie wysledzi; wiem, że nauka jest rośliną, która wolno, wedle praw swoich rozwijać się powinna, bo inaczej nie wyda swego owocu, to jest tej części prawdy, która jej do wykrycia jest przekazaną. Ale nauka jest jak ogień, z którym wiedzieć należy jak postępować. Jest ogień, co ogrzewa i utrzymuje życie, ale jest także, który pali i niszczy. Niechże nauka nie będzie tym ogniem, który niszczy, ale tym, który życia przydaje. Ta wskazówka wszędzie ważna, u nas tem ważniejsza, że nasz organizm nadwątłony bardzo. Dla nas historia nietylko mistrzynią życia, ale i źródłem od życia; w niej nietylko są skarby przeszłości ale i zaród przyszłości, bez mała wszystkie nadzieje. Jeśli to źródło i ten zawód lekkomyślnie czy złośliwie zamącać lub zatruwać będziemy, cóż się z nami stanie? Ile zdrowia, ile przyszłości w takim społeczeństwie, którego jedna część, niby wyższa, przedrwiwa z tego, co dla ogromnej większości jest najświętsze? Jeśli powiesz chłopu polskiemu, że św. Stanisław był zdrajcą, co on ci na to odpowie; a jeśli w niego wmówisz, w co on później będzie wierzył? Alboż inną mamy mieć prawdę dla niego, a inną dla siebie? Jakiż pożytek z takiej komedyi?... Jak w duszy ludzkiej musi być harmonia między rozumem i uczuciem, bo inaczej człowiek będzie blizkim wariacy, tak i w narodzie nauka musi oglądać się na jęgo

¹⁾ Ustęp powyższy jak i niektóre dalsze, były przy czytaniu dla skrócenia pominięte.

powszechnie uczucie; bo jeżeli uczucie narodowe omylić się może, toć i rozum choćby najuczęszszy, niema jeszcze na nieomylność patentu. Zatem czyż sama troska o kraj nie doradza być roztropniejszym w swoich poglądach, mniej ufny w swoje pomysły, i dodam — być krytyczniejszym dla swojej krytyki?...

II.

Dzięki Bogu, że to już minęło. Zarzut zdrady św. Stanisławowi zadany już się zużył, krytyki zdrowego rozsądku nie wytrzymał; obalili go bez trudności poważni i bezstronni historycy¹⁾. Już dzisiaj nie znajdzie się pomiędzy nowszymi pisarz, szanujący swe pióro, któryby chciał św. Stanisława mienić zdrajcą.

Ale niechęć do Kościoła, wolteryńska czy protestancka, to dopiero jedno źródło napaści, których ofiarą wielki Męczennik stał się w naszym wieku; oprócz niego, jest jeszcze drugie. Tem źródłem jest uczucie polityczne, jest żal, jaka ogarnia naszych historyków na myśl, że owa wielkość Polski, tak wspaniale za Chrobrego jaśniejąca, zbyt prędko przygasła i że po niej nastąpiły dwa wieki niewymownych klęsk i poniżenia. Niemal wszyscy nowsi historycy, a na ich czele Szajnocha, upatrują przyczynę ówczesnych nieszczęść w upodleniu władzy monarchicznej, a tego upodlenia sprawcą — nie Bolesław — ale Stanisław! W poglądzie tym są przynajmniej szlachetniejsze pobudki, lecz brak mu trzeźwości, brak miary, która każdy wypadek ocenia wedle czasu, miejsca i właściwych stosunków, i która nie dozwala potrzeb i pragnień dzisiejszych przenosić w epokę od ośmiu wie-

¹⁾ Wymienimy tylko celniejszych: Stadnicki, ks. biskup Łętowski, a przedewszystkiem Maurycy Dzieduszycki. Miło nam do tego pocztu zaliczyć i prof. Szujskiego, który w młodym wieku pisząc swą *Historję*, umiał krytykę naukową ze czcią religijną dla św. Stanisława pogodzić.

ków zapadła. Zapytajmy: gdyby obecnie Polska była tak potężną, wolną i kwitnącą jak nią była w w. XV, czy szkoła historyczna, o której mowa, chowałaby swój żal tegoczesny do Stanisława za to, że na jego głowie skruszyło się despotyczne berło królów piastowskich? Z pewnością nie. Owszem, pierwsząby była, aby uwielbić dobroczyńcę, który kosztem swojej krwi otworzył drogę do prawdziwej cywilizacji, który do życia publicznego wprowadził sumienie, i w duszach jeszcze barbarzyńskich zaszczerpił poczucie godności i zacności człowieka. Tej najwyższej zasługi, tej najpierwszej dla narodu potrzeby, nie rozumie serce zbolełe: ono jedno tylko widzi i czuje — żeśmy dziś w niedoli!

Uczucie i fantazya są wielką siłą w pisarzu i tworzą obrazy czarujące, ale jeżeli niemi przesiąknie rylec historyczny w sądach swoich i obrazach, dopuszczać się musi anachronizmów. Ten zarzut spada na Szajnochę i na tych wszystkich, co za nim poszli w ocenieniu tej epoki. Ich sąd o św. Stanisławie i o wiekach piastowskich zgorzkniały boleścią — rozbioru Polski.

Zatrzymajmy się przez chwilę nad owym państwem Chrobrego. Był to jakby klucz obszerny z różnych włości złożony, które świeżo znalazły się pod jednym panem. Ludność rzadka i dzika, jak lasy, wśród których zamieszkuje, w głębi duszy pogańska, nietylko nic wspólnego między sobą nie mająca, ale owszem plemiennym antagonizmem rozdzielona, o tem że jest polską nie wiedząca zgoła; z tą samą rezygnacją znosi dzisiaj twarde berło Piasta, z jaką wczoraj znosiła panowanie wielkomorawskie, a jutro gotowa poddać się Czechom, Rusi, jakiemuś księciu pomorskiemu — każdemu, prócz Niemcowi. Po owym kluczu ogromnym pan i dziedzic nieustannie się przejeżdża, nigdzie stałego nie mając zamieszkania; wszędzie sam rządzi, gospodaruje, sam wydaje rozkazy i dogląda ich wykonania. W otoczeniu jego

wielka liczba dworskich; po folwarkach także dworscy ślepo od pana zawisli, i tych, aby się w jednym kącie długo nie zasiedzieli, często on z miejsca na miejsce przenosi. Tu i owdzie miejsce zbiorne, dokąd zwożą żywność i gdzie ludzie orężni skupiają się dopóki ich rozkaz pana nie wyszle na granicę walczyć z nieprzyjawnym sąsiadem. Cała machina administracyjna urządzona po wojskowemu, tak, aby wszystkie siły kraju rzucić od razu tam, gdzie pan każe. W jego głowie skupia się wszystko; i rozum i wola podwładnych. Przez sto lat trwania tej pierwszej epoki, historia nie zna innych nazwisk, prócz pana i jego rodziny; żaden z dygnitarzów i wodzów nie wydał się do tyła godnym pamięci, aby imię jego kronikarze zapisali. Rząd to despotyczny, właściwy społeczeństwu, które pod parciem sąsiadów dopiero wiązuje się, lecz jeszcze nie wyszło z barbarzyństwa. U góry potężny władzca, u dołu drobny, syпки piasek, w pośrodku nic; a wszystkie ziareczka tego piasku tak do siebie podobne i tylko żelazna dłoń monarchy trzyma je razem i przeszkadza, by się znowu nie rozstrzeliły. — Jak na zewnątrz dla całości kraju monarcha był wszystkim, tak w nim jednym złożone warunki społecznego bytu. I w rządzie i w sądzie i w wojsku i w Kościele on duszą wszystkiego, on panem nieograniczonym. On ustanawia dyecezye i mianuje biskupów, on pilnuje, by przykazania Boże i kościelne były przez poddanych szanowane, każe strzedz postów, niestrzegącym zęby wrywa, a chociaż biskupi sądzą w sprawach kryminalnych, i to się dzieje z rozkazu monarchy.

Któż nie dostrzeżga, że jak geniuszem księcia państwo to stworzone, tak na nim jedynie stać mogło. I gdyby Bolesław miał podobnych do siebie kilku następców, kreacya jego urosłaby niewątpliwie do olbrzymich rozmiarów; z ludnością uszykowaną po żołniersku, szliby oni wciąż na nowe podboje, jak kniaziewie wa-

regscy na Rusi. Ziściłyby się wtedy plany Chrobrego, Słowiańszczyzna połączona rozsiadłaby się w pośrodku Europy, między trzema morzami w niewidzianej po dziś dzień potędze. Tylko — dodajmy — byłby to jakiś carat wschodni, wszechsłowiański, nieledwie azyatycki, żelaznem skuty i rządzony berłem. Pod takim rządem, pod szeregim despotów genialnych, żaden ród, żadne indywiduum nie mogłoby się podnieść. Ani Kościół nie byłby się dobił niepodległego stanowiska, ani wolność i godność człowieka nie zyskałyby swych praw i swego uznania.

Lecz marzenia to tylko! Bóg nie daje społeczeństwom długiego szeregu geniuszów. Po ojcach nadzwyczajnych przychodzą najczęściej bardzo zwyczajni, bardzo mierni synowie. I to jest mądre, opatrne zrządzenie. Dopiero pod ich zwątlonem berłem, wśród walk, klęsk, zawodów i boleści, społeczeństwo wyrabia się powoli, wciela w siebie myśl przez genialnego założyciela z góry nakreśloną; inaczej ideał ten nie byłby przez ludność zrozumiany i przyjęty, nie byłby nigdy spełniony; społeczeństwo nie stałoby się nigdy narodem, mającym cel świadomy, samoistny. Geniusze i wielcy zdobywcy mogą zagarnąć wielką moc krajów i skuć je razem na dłuższą lub krótszą chwilę, ale narodu utworzyć nie są zdolni. Na to trzeba czasu, trzeba warunków, które od ludzkiej nie zależą już woli. A gdzie czasu i tych warunków zabraknie, tam państwo wnet po śmierci swego założyciela się rozpada, tem prędzej im szybciej się wzniosło, im szersze zalało przestrzenie.

Przypomnijmy, że w Słowiańszczyźnie nie pierwsi to Mieczysław i Bolesław, z różnych plemion i ludów pokrewnych, skleili tak rozległą aglomerację. Więcej niż na trzy wieki wprzódylepił ją ze Słowian naddunajskich Samo; a choć i on zamyślał o związaniu wszystkich Słowian i związania tego w znacznej części miał

dokonać, dzieło nie przeżyło jego śmierci. Nieco dłużej trwało państwo wielkomorawskie, utworzone o dwa wieki później. Ta kreacja ma wiele łączności z piastowską; tożsamość położenia rodziła szczególne analogie i w ludziach i wypadkach. Nad Dunajem, porówno jak nad Odrą, chodziło o to, aby jak największą ilość luźnych plemion słowiańskich objąć jedną obręczą przeciw Niemcom; bez nacisku od Niemców, bodaj czyby one kiedykolwiek wyszły ze swej ulubionej rozsypki!

Podobni do naszego Mieczysława, Moimir i Rościśław morawscy, długo korzą się przed Niemcami, długo służą im za pomocne narzędzia, a tymczasem po cichu kuja na nich broń, zagarniają nowe ludy, gromadzą siły. Zaraz po nich, jak uderzające znowu podobieństwo między Świętopełkiem morawskim a Chrobrym! Obaj wielcy wojownicy, jednak, że z mocniejszym o wiele mieli do czynienia sąsiadem, nie tak siłą jak zręcznością go zwyciężali; ustawicznie mieszczeni się do spraw jego domowych, przysparzali mu kłopotów, na dworze jego i wśród niemieckich wazalów szukali sprzymierzeńców dla siebie. Tryumf obu jednakowy. O Karlomanie, głównym przeciwniku Świętopełka, mówi kronikarz, że po długich bojach zmuszony był zawrzeć z księciem morawskim pokój »na jaki go stać było«. Toż samo i Dytmar mówi o Henryku II, że położył koniec szesnastoletniej wojnie z Bolesławem: »nie tak jak się godziło, ale jak się dało«. — I morawski i polski monarcha mieli na łożu śmierci też same, bolesne przecucia. Świętopełk przywoławszy swoich trzech synów, dał im pęk różg do złamania; a gdy żaden nie potrafił, rozdzielił je na trzy części, i wtedy każdy przełamał swoją część z łatwością. »Tak i z wami się stanie, rzekł umierający starzec, gdy się rozejdziecie«. Bolesław także przewidywał przed zgonem, że bunty domowe rozerwą jego pań-

stwo i że potomstwo jego żebrac będzie litości u tych, których on pogromił.

Wielko-Morawia trwała lat 60; nie wiele brakło, by monarchia Chrobrego prędszego jeszcze nie doznała upadku. Wiadomo w jaki zamęt popadła wkrótce potem: jedne ziemie sąsiedzi zabierali, drugie samowolnie odrywały się od wspólnego pnia. Zjawia się Kazimierz jako zbawca, lecz w jednym tylko grodzie życzliwie przyjęty. Na szczęście przywiódł on z sobą 600 niemieckiego rycerstwa, które mu matka u cesarza Henryka III wyprosiła; z tem rycerstwem zdobywa on gród po grodzie, ziemię po ziemi, przez swoich mało wspierany, aż odzyskawszy znaczną część kraju, żeni się z siostrą Jarosława, w. kniazia kijowskiego, która mu prócz wielkich bogactw, znaczną pomoc orężną w posagu dostawia. Dopiero z pomocą ruskich i niemieckich hufców mógł on pokonać Masława i plemiona, które się odrywały, znowu przyłączyć. — Gdyby Kazimierz, nie z Henrykiem III, ale z jednym z owych margrafów, z którymi Miecysław I wojował, miał do czynienia, gdyby na tronie kijowskim nie Jarosław ale Włodzimierz I był zasiadał, ażaliż wnukowi Chrobrego dostałaby się sława odnowiciela Polski? Raczej przypuścić należy, że zlepione przez mocą ludy kujawskie, sieradzkie, mazurskie, śląskie, chrobackie i pomorskie, skorzystałyby z niemocy księcia, by wrócić do dawnej udzielności, albo też przyciśnięte i opanowane przez którego z sąsiadów, poddałyby się jego władzy — i Polska Chrobrego zniknęłaby z widowni politycznej, równie prędko jak państwo Samona, a prędszej jeszcze niż Wielko-Morawia. Bo i największa siła rządowa nie zastąpi wspólności uczuć narodu, gdzie one jeszcze nie miały czasu się wyrobić, sama jedna nie zapewni państwu trwałości.

A skorośmy przyrównali Bolesława do książąt w. morawskich, zaznaczymy od razu, w czem leżała jego

wyższość, w czem jego niespożyta zasługa, gdzie on położył dla swego państwa trwalsze podstawy. Chrobry, chociaż rządził jako car wschodni i żył nieledwie jako poganin, zmieniając co lat kilka swe żony, pojmował jednak ważność apostołstwa Kościoła, chciał aby jego poddani byli łacińskimi katolikami, aby państwo jego przejęło się duchem zachodnim. Obrządkowi wschodniemu, jak książęta morawscy, on nie sprzyjał; rozumiał doskonale, że tylko przez cywilizację zachodnią, katolicką, może od Niemców swe państwo zasłonić. Robił w tym kierunku co mógł, wszystko co może świecki, absolutny pan; lecz praca szła niesporo, łatwiej mu było odeprzeć Niemców i zgnieść Rusinów, niż swoją ludność pogańską wprowadzić na prawdziwie chrześcijański tor. Założył kilka klasztorów i w nich osadził Benedyktynów. Lecz to nie byli już pierwsi uczniowie św. Benedykta, którzy we Włoszech, Francji, Anglii i Niemczech zachodnich razem z ziemią i dusze mieszkańców przeorali; to byli Benedyktyni już z czasów upadku, niemieccy prawdopodobnie, których opaci pracą dawniejszych pokoleń zbogaceni, żyli dworno i wystawnie, i lepiej się znali na uprawie gruntów, aniżeli serc ludzkich. Ich apostołstwo w Polsce musiało być bardzo słabe, wpływ ich tem mniejszy, że krajowcy przez długie wieki nie mieli do ich klasztorów przystępu. — Ustanowił Bolesław kilku biskupów, lecz i ci byli cudzoziemcami, i przez lat 60 innych w kraju nie widziano; ich działalność tak była słaba, że nietylko kronikarze lecz i roczniki katedralne, prócz imienia i paru ogólników, nic więcej o nich powiedzieć nie umieją. Do misyj apostołskich używał on Wojciecha, Reinberga, Brunona; krajowiec żaden się nie nastęrczał, ani wówczas ani długo potem. Wątko to były Kościoła początki, roślinka obca opieki monarszej nieustannie potrzebująca; słaby życia duchowego zaród, tłumiony mrozem pogaństwa, do którego lgnęła i po-

wracała krajowa ludność, nie rozumiejąc tego, że odstąpiwszy od chrześcijaństwa, dostałaby się niechybnie pod jarzmo Niemców. Ale przynajmniej był jakiś zaród, były kościoły, dyecezye, biskupi, a to wszystko pielęgnował i pomnażał Kazimierz odnowiciel. Pomimo swojej pozornej wielkości, Polska Chrobrego po jego zejściu mdłym była dziecięciem, które lada chwila musiałoby zgasnąć, gdyby Kościół nie był je ujął i na swem ręku nie wychodował, gdyby Bóg nie był zesłał wielkiego męża, który dając swoją krew na świadectwo prawdzie, położył tem samem niewzruszone fundamenta, nie już dla samego państwa ale dla narodu.

III.

Obejrawszy Polskę, jaka była przed Stanisławem, przypatrzmy się jej w epoce podziałów, w epoce, w której krew jego męczeńska wydała swój plon. Ciężki to plon, powiedzą; nie błogosławieństwem był on, ale klątwą raczej. Państwo zalane powodzią klęsk, wypłynęło z niej w końcu, ale jak zmniejszone, wyludnione i na pół zniemczałe!

I prawda; przyznać potrzeba, że jakby przekleństwo ciążyło na rozrodzonym Piastowiczów plemieniu, a pierwszym ciosem, który nań spadł — utrata korony. Nie można z całą ścisłością historyczną twierdzić, że zabójstwo Stanisława pozbawiło następców Bolesława Śmiałego królewskiej godności; brak na to autentycznych dokumentów. Wprawdzie Długosz, tradycyjn Męczennika zbieracz staranny, twierdzi, że arcybiskup gnieźnieński na rozkaz papieża, odmówił Władysławowi Hermanowi namaszczenia i korony; lecz Długosz świadek odległy; przyznajemy, że w tym wypadku słowa jego za dowód nie starczą. Ale odrzucając jego podanie, jak wytłomaczyć ten fakt, że Herman nie uwieńczył swej głowy ko-

roną, którą już czterech poprzedników nosiło? Choćbyśmy przypuścili, że ten książę słabej woli mógł długo nie czuć się pewnym na swoim tronie, mógł się lękać tak wielkiej godności, to już niepodobna zrozumieć takiego zaniedbania w Krzywoustym, jednym z największych monarchów, jakich Polska kiedykolwiek posiadała, w walecznym wodzu, który czterdzieści kilka bitew stoczył, a ledwo kilka pod koniec życia przegrał, który zastępy cesarza, dopominającego się haraczu, nie podjazdami jak Chrobry zmęczył i strawił, ale w walnym i stanowczym przełamał boju? Pogromca Niemców, apostoł Pomorza, uwielbiany od poddanych, od obcych czczony powszechnie, czyżby nie miał dość odwagi, by przywdziać na swą skroń koronę, na której mu tak wiele zależało, choćby dlatego tylko, aby wobec Zbigniewa i Niemców stanąć bezpieczniej? Musiała więc jakaś wyższa wstrzymywać go przyczyna; a tą przyczyną, jeżeli nie był wyraźny papieża zakaz, to było głębokie uczucie i w księciu i w jego poddanych, że potomstwo piastowe po zbrodni swego przodka tak wielkiej, dostojęstwa królewskiego niegodne, że zabójstwo Męża świętego wymaga długiej expiacji. Krzywousty, pan pobożny, rycerz prawdziwie chrześcijański, w duchu pokuty przyjął to ciężkie umartwienie, i nie już królem polskim się pisał, tylko panem i dziedzicem Królestwa polskiego. Korona Chrobrego w skarbcu gnieźnieńskim przechowana, czekała lepszych czasów.

Tymczasem właśnie brak tej korony na głowie jednego z książąt piastowskich, dał się uczuć najszkodliwiej w epoce następnej. Bo nie sam podział kraju, jakkolwiek fatalny, był powodem nieszczęść i strat, których Polska przez lat 150 doznawała; równie, jeżeli nie więcej, przyczyniała się nieobecność zwierzchniego pana, któregooby wszyscy uznawać i słuchać musieli. Wprawdzie zwierzchnictwo przywiązane było do ziemi krakowskiej,

ale słaba to powaga, słuchał jej kto chciał, mdły to węzeł na tyle rozdzielonych ziem. Książę krakowski nie mógł ani przeciw wspólnemu nieprzyjacielowi powołać innych dzielnic, ani przeszkodzić, by one lekkomyślnością i marnotrawstwem książąt do obcych nie odpadały. A wreszcie samo to zwierzchnictwo, jakkolwiek nominalne, dawało pochop do nieustannych zatargów i wojen; dość było ubiedz gród krakowski, aby się uważać za naczelnego władzcę. O ileż inше znaczenie miałyby korona, choćby do jednej przywiązana ziemi! Już sam obrząd koronacyjny byłby wymagał uznania wszystkich książąt, biskupów i możnych, byłby tem samem stwierdzeniem jedności Polski, i w następstwie byłby zapobiegał stratom i obcych roszczeniom. Na króla, choćby on nie więcej nad Kraków i Sandomierz posiadał, musieliby oglądać się wszyscy Piastowicze, jak się oglądali w sąsiednich Niemczech książęta i baronowie na cesarza rzymskiego. Król byłby związaniem i wyobrazicielem całej Polski, bez niego trudno było nieraz wiedzieć, gdzie jej szukać.

To pierwsze następstwo zbrodni Bolesława Śmiałego, lecz nieskończenie dłuższy ich poczet. — Nie mam zamiaru rozwijać tutaj żalostnego obrazu Polski, na drobne księstwa rozszarpanej. Zbyteczny to byłby trud; mówię do ludzi, którzy znają te czasy, i lepiej odemnie je znają. Więc tylko główne rysy przypomnę. Chciwi ziem i władzy książęta spychają się nawzajem z tronu, wydzierają sobie grody, włości, korzystają z niemocy, z małoletności krewniaka, albo z wojny jego z obcymi, aby go napaść znienacka, podchwycić co się da, złupić, zrabować, ludzi i bydło do siebie zapędzić, a czego zabrać nie można, to spalić i zniszczyć. Za to znów odwet krwawy, ten co pustoszył ulega nawzajem spustoszeniu: powtarza się to wciąż i nikt nie jest dość mocny, aby powstrzymać te rozboje, tylko kłatwy kościelne, hamo-

wać je od czasu do czasu zdołają. Za przykładem książąt możni w podobne bawią się rabunki, kraj srożej od obcych, własnych dzieci rękoma niszczone; obyczaj dziecięcy, mnoży się wyuzdana i okrutna swawola, lud życia i mienia niepewny, chroni się po lasach, marnieje. Słabością rozszarpanej Polski ośmieleni sąsiedzi podnoszą głowę: Czech wyciąga rękę po Śląsk i do całej Polski rości pretensye. Brandeburczyk wykupuje lub wydziera zamek po zamku, Pomorze się odrywa, Krzyżak na pogaństwo zawezwany wkrada się w środek Polski, Jadźwingi pustoszą, Litwa pustoszy, Ruś aż po Lublin pomyka swe zabory. Na domiar nieszczęść trzykrotna, straszna nawała mongolska Polskę zalewa; szlaki tatarskie do dziś dnia, po sześciu wiekach, u ludu pamiętne. Do spalonych miast, do opuszczonych wsi nadchodzą Niemcy, odbudowują jedne, uprawiają drugie, ale wraz ze swoim przemysłem i starannością, swoją także mowę, obyczaj i prawa przynoszą. Była chwila, w której można było wątpić, czyli kraj pozostanie polskim albo też niemieckim, zwłaszcza, że i książęta lgną do Niemców. »Tyle zewnętrznych i wewnętrznych wrogów, słowa są Szajnochy, gniotło podówczas Polskę, przygniotło ją głównie w następstwie popełnionej na św. Stanisławie zbrodni, w następstwie wyuzdania władzy monarszej, i (jakby chciał ostrzedz, że o stronność posądzać go nie można, to osobliwsze dodaje spostrzeżenie): przygniotło także w następstwie wynikłej stąd przewagi duchowieństwa!«

Ktoby chciał jednym rysem objąć ten nadmiar niedoli i dać poznać niektórych książąt piastowskich, gorszych zaprawdę od Jadźwingów i Tatara, ten potrzebowałby tylko opowiedzieć życie Konrada mazowieckiego. Młodo objąwszy swój dział, miał on znakomitego pomocnika w opiece i wojewodzie swoim Krystynie, i póki ten żył, Mazowsze używało spokoju. Ale sprzykrzywszy

sobie jego upomnienia, ksiązę kazał wtrącić go do więzienia i oślepić. Gdy zabrakło dzielnego wodza, nikt nie umiał stawić czoła pogańskim Prusakom; kilkakrotnie całe Mazowsze obrócili w perzynę. Aby się od nich obronić, Konrad sprowadza Krzyżaków! Zwolniony od trosk z północy, wszystkie swe siły zwraca teraz na własnego synowca Bolesława, by mu wydrzeć jego dzielnicę krakowską i sandomierską; przez lat dwadzieścia ponawia on swe drapieżne wyprawy, nie wstydzi się nawet pogaństwa na Małopolan sprowadzać. Gdy spadła na kraj szarańcza tatarska, pod Lignicę on nie poszedł; owszem korzystał z niedoli Bolesława Wstydliwego, aby napaść na Kraków i zdradą go opanować. Wypędzony, znowu się wdziera, rabuje, ludność i mienie Małopolanów gna w Mazowsze. Okrucieństwem jego oburzeni biskupi, zbierają się w Łęczycy, rzucają nań klątwę; ale ona żadnego na tym zbójcekim księciu nie czyni wrażenia. W odpowiedzi na klątwę pali dobra biskupie; jednemu Prandocie cztery klucze zniszczył do szczytu. Czterdziestoletnie panowanie Konrada, było plagą dla Polski, gorszą od wszystkich dziesięciu plag egipskich, lecz i po śmierci jego, jakże ciężko zawisło ono nad krajem! Wszak to jemu winniśmy dwuwiekowe z Krzyżactwem zapasy!... A nie on jeden był taki; bo choć bywali księżęta zacni, szlachetni i rozumni, jak Kazimierz Sprawiedliwy, Henryk Brodaty i Bolesław Pobozny, nie mało za to innych, co do Konrada mazowickiego byli podobni.

IV.

Źle się działo w spuściznie Chrobrego; własni księżęta trwonili ją niecnie, i byłaby w ich ręku do reszty zmarniała, gdyby skądinąd nie był przyszedł ratunek.

Ale Bóg kiedy karze narody, tą samą karą uzdrawia je. Krew Stanisława ścigała potomstwo piastowe, lecz krew ta wsiąkła w ziemię, użyżniła ją, wydała krzewy przedziwnej piękności. Na tem samym miejscu, gdzie padła głowa Świętego, w katedrze krakowskiej, zjawił się szereg ludzi znakomitych, którzy przez całe lat sto (1166—1266) swym rozumem i swemi cnotami przyświecając narodowi, i Kościół podnieśli i skołatanej ojczyźnie byli ratunkiem. Im podobnych, bodaj czyśmy mieli później; im podobnych każdy wiek i każde społeczeństwo mogłyby nam pozazdrościć. Ludzie wysoko na owe czasy wykształceni, uczyli się w Padwie, Bononii lub Paryżu, tam zabierali znajomości ze wszystkimi, co później nauką, świętością lub dostojęństwem zabłysnęli w Europie, stamtąd przywozili do kraju pojęcia i dążności Zachodu. Gedeon był kolegą szkolnym papieża Lucjusza III, Iwo siedział na ławie szkolnej z Grzegorzem IX, a te związki jak podnosiły ich znaczenie w kraju, tak też i Polsce służyły za granicą. Papieże tak ufali biskupom krakowskim XIII wieku i tak ich cenili, że ich wyjęli z pod wszelkiej jurysdykcji swoich delegatów, przysyłanych do Polski. Zapraszano ich na Sobory, ofiarowano im w Rzymie godności; wymawiali się od nich tem, że ich obecność nieodzownie w kraju potrzebna. I prawda jest; ich prace, nawet przy tych suchych zapiskach, jakie nam kronikarze zostawili, zdumiewają swoją rozległością i śmiałością przedsięwzięć.

O Gedeonie, Pełce i Kadłubku zamilczymy, choć niejedno byłoby do powiedzenia; wspomnimy tylko o dwóch ostatnich z tego czasu biskupach, Iwonie i Prandocie. Rzecz prawdziwie niepojęta, jakim sposobem Iwo mógł zrobić tak wiele w ciągu jedynastu lat swoich rządów; skąd brał czas i fundusze? By nie nużyć zbyt długim wyliczaniem, powiemy, że oprócz kościoła Św. Trójcy, który zbudował, Maryackiego, który rozpoczął,

a także szkoły, którą przy nim założył w Krakowie, w różnych stronach swojej dyecezyi wymurował czternaście świątyń i cztery klasztory. A nie były to kościółki, jak św. Idzi z czasów Hermana, ale poważne świątynie, jak mogiński Cystersów, którym i dzisiaj przypatrzeć się warto. Przytem, w uczynkach miłosierdzia, jak wylany dla swojej trzody! Za jego rządów, przez trzy lata, od wiosny do jesieni padały deszcze, zboże na polu wymokło, lud opuszczał sioła, chronił się do stolicy, a biskup wszystko ubóstwo żywił kosztem swoim. Dziwiono się jego hojności, mówiono, że ma dar pomnażania chleba. — Nie tu koniec jego zasług: wielki sługa Kościoła był również wielkim mężem stanu. Przy Leszku Białym stał on niezachwianie, we wszystkim był mu dzielną pomocą. Ciągnął z wojskiem Henryk Brodaty na Księcia krakowskiego i już miało przyjść do walki, Iwo staje między zwaśnionymi, bitwę wstrzymuje, książęta godzi. Kiedy Leszka zdradziecko zabito, Konrad pochwyił jego młodziutkiego syna i uwięził, stronników prześladował; nie było znikąd ratunku dla potomstwa kazimierzowego. Iwo puszcza się do Rzymu, by powagą papieża ubezpieczyć tron dla prawego dziedzica, małego Bolesława. Była to trzecia podróż jego do Rzymu i ostatnia; wracając, skończył swój żywot pełen trudu i chwały. I on, podobnie jak Kadłubek, chciał wejść do klasztoru, ale mu papież zabronił, mówiąc, że biskupa równie gorliwego nie łatwo znajdzie dla dyecezyi.

Ostatnim z wielkich biskupów krakowskich owego czasu był Prandota. I on stanął silnie przy prawach Bolesława Wstydlivego, przeciw napaściom Konrada; a gdy ten opanował stolicę, Biskup pobudził do boju mieszczan i rycerstwo, i wypędzono napastnika. Rządy jego przypadły na czasy najboleśniejsze: Tatarzy po dwakroć najeżdżali kraj. Po drugim napadzie biskup wszystko co w swych dobrach posiadał, kazał rozdać

między lud rolniczy; przykładem swoim pobudził Bolesława, jego żonę i możnych do podobnegoż miłosierdzia. W ogromnej, spustoszonej dyecezyi, służba Boża prawie wszędzie ustała, trzeba było na nowo ją urządzać, Prandota nieustannie był w podróży. Lud go kochał i czcił jak świętego; pamięć jego w Małopolsce została tak żywą i trwałą, że kiedy we dwa wieki później znaleziono przypadkiem jego trumnę, zbiegano się zewsząd, aby uczcić świętego pasterza. Prandocie wreszcie należy się ta chwała, że on podjął i przeprowadził kanonizację św. Stanisława i zwłoki jego postawił na ołtarzu, na którym do dziś dnia spoczywają.

I po innych dyecezyach, mianowicie w gnieźnieńskiej, świeciły na on czas podobne gwiazdy, choć nie tej wielkości i nie w takiej liczbie, jak w Krakowie. Nie mamy czasu zatrzymywać się przy nich; powiemy tylko, że jeżeli dobrodziejstwem dla ludności jest biskup nie już święty, ale tylko przykładowy, gorliwy, to można sobie wyobrazić, ile błogosławieństwa złało się na kraj, a zwłaszcza na Małopolskę, z tym szeregiem niepospolitych pod każdym względem pasterzy, jak pod ich rządami odrodzić się musiało duchowieństwo, jak się podniosła i uzciniła ludność świecka. Alboż Iwo byłby dokazał tylu cudów miłosierdzia, alboż potrafiłby zbudować tyle świątyń i klasztorów, gdyby swoją świętą gorliwością nie był zagroził mieszkańcom? *Qualis sacerdos, talis erit et populus!*...

Gniewa naszych historyków wpływ potężny tych ludzi, przy których nikną książęce postacie. Prawda, że nikną, lecz czyż to wina biskupów, że książęta tak drobni; ich to owszem zasługa, że właśnie tym książętom służyli wiernie. Przepowiedział Krzywousty, że zwierchnictwo w Polsce rozdzielonej, przejdzie na linię najmłodszą. Przepowiednia ziściła się, zmieniła się w prawo narodowe. Uchwalili je na synodzie łęczyckim biskupi

i panowie zebrani i posłali pod zatwierdzenie do Rzymu. Tego prawa z żelazną konsekwencją, z nieustraszoną odwagą strzegli, bronili biskupi krakowscy. Ileż za to musieli wycierpieć od książąt sąsiednich, począwszy od Mieczysława Starego, aż do mazowieckiego Konrada! I nie zachwiali się, nie cofnęli, starszeństwo piastowe przy młodszej linii utrzymali; im to w znacznej części przypisać trzeba, że Polska dostała się później w ręce Łokietka i Kazimierza W. Wspomniany synod łęczycki pięknem jest świadectwem chrześcijańskiego wpływu duchowieństwa w pierwszych już czasach rozdzielonej Polski. Na nim zebrani w liczbie ośmiu biskupi, w szaty kościelne odziani, z infułami na głowie, z pastorałami w rękę, ogłaszali ludowi dobroczynne ustawy. Oto jak je podaje Kadłubek, a za nim Długosz: »Ktokolwiekby ludziom ubogim przemocą lub podstępem poważył się zabierać zboże, niech będzie wyklęty! Ktokolwiekby zabierał bydłęta na podwody, wyjąwszy czasu napadu nieprzyjacielskiego, niech będzie wyklęty! Ktokolwiekby zagrabił dobra po zmarłym biskupie, albo na ich zagrabianie zezwalał, choćby to był sam książę lub inna znakomita osoba, słowem każdy bez wyjątku, niech będzie wyklęty!« Na każdą groźbę klątwy, całe zgromadzenie, mnogi lud, a na czele Kazimierz Sprawiedliwy, odpowiadali *amen, amen!* Działo się to w roku 1179, w stuletnią rocznicę śmierci Stanisława. Prawie wierzyć się nie chce, aby tak wielka odmiana mogła zajść w tak krótkim stosunkowo czasie. W XI wieku, jeden tylko biskup ośmielił się powstać na tyranię Bolesława i przez żadnego nie poparty, położył głowę swoją. W sto lat później, wszyscy biskupi razem zastaniają ludność od ucisku księcia i możnych, a panujący wobec swych poddanych, odpowiada *amen*. Było to jakby pierwsze zaprzysiężenie swobód narodowych, a nie brakowało już ludzi do ich obrony.

Pod koniec tej epoki spotykamy niemniej ważne dla państwa i narodu, duchowieństwa usługi. Były chwile w XIII wieku, w których nie wiedziano, co właściwie z rozszarpanych dzielnic należy jeszcze do Polski, a co stało się już dla niej obcem. Jeden tylko węzeł wspólny ratował wówczas Polskę, metropolia gnieźnieńska. Jednością hierarchii kościelnej ocalała jedność państwa. — A i to także przeważnie, jeśli nie wyłącznie biskupów zasługa, że naród nie utonął w niemczyźnie. Mamy autentyczne dowody, świadczące z jaką zabieглиwością od połowy XIII wieku, to jest od chwili, gdy niebezpieczeństwo germanizacyi nastąpiło, strzegli biskupi, aby po szkołach uczono języka polskiego, aby uczniom po polsku tłumaczono autorów łacińskich, aby zarząd parafij zostawał w ręku polskiem; gdzie zaś brakowało krajowych nauczycieli i księży, tam nakładano Niemcom warunek, by się wyuczyli po polsku. Zawarowano to na trzech synodach (1244, 1285, 1313), obostrzono karami kościelnymi na czwartym (1320). Jeśli na to wszystko zważymy, mniej nas podobno będzie raziła wielka na on czas władza biskupów, mniej i to, że powagę książąt lekkomyślnych gasiła. Gdyby nie oni, cóżby z tego narodu zostało? Zmniejszyła się ta ich władza później w wieku XIV, gdy niebezpieczeństwa minęły.

V.

Ci biskupi, to potomstwo duchowe św. Stanisława! Czyż potrzebujemy tego dowodzić? Wszędzie i zawsze wielka ofiara wydawała owoce dla następnych pokoleń; wszędzie i zawsze apostołstwo krwi przymnażało wyznawców, rozbrajało prześladowców, zapewniało tryumf Kościoła. Tak było w Rzymie za pogańskich czasów; tak było w średnich wiekach w Niemczech i w Anglii, tak samo i u nas. *Sanguis martyrum, semen Christianorum.*

Nigdzie Kościół bez męczeństwa nie wyrośnie, nigdzie się nie zakorzeni. Dopiero w ślad wielkich męczenników, przychodzą wielcy słudzy Kościoła. Przykład pierwszych, ich odwaga i heroizm wywołuje, pobudza drugich; tamci krwią swoją świadczą prawdzie, ci trudem całego życia. Atoli obraz ten byłby niezupełny, mówiący te słowa czułby w swoim sumieniu, jakby wyrzut niewdzięczności, gdyby choć kilkoma rysami nie przypomniał innych jeszcze postaci z tej epoki, równie wzniosłych, a dziwnie uroczych i drogich polskiemu sercu.

Nie znalazł Krzywousty między biskupami polskimi apostoła dla Pomorza, trzeba było go sprowadzać z Bambergu; o tem nawróceniu Pomorza, nic nawet z kronikarzy polskich nie wiemy; zostawił jego opis biograf niemiecki Ottona. W półtora wieku później już nie brakowało w Polsce apostołów. Wracając z Rzymu w oczyste strony, pierwsi Dominikanie nasi, Jacek i Czesław, jeden Zachód dla siebie obrał, Czechy i Śląsk, drugi Wschód. Św. Jacek, gdziekolwiek się zatrzymuje, przykładem swego życia, potęgą swej wymowy, skupia wiernych, gromadzi ochotników do twardej reguły św. Dominika. Po krakowskim, wnet otwiera klasztor w Sandomierzu, którego czterdziestu zakonników padło później pod nożem mongolskiej dziczy. Idzie na Mazowsze, zakłada klasztor w Płocku, puszcza się dalej między pogaństwo pruskie. Jaki tam wpływ wywiera, znać z tego, że w Chełmie, Toruniu, Elblągu i Gdańsku powstają dominikańskie klasztory. Z nad Morza bałtyckiego zwraca się na Ruś, a zawsze pieszo, każąc i cudami wspierając swe nauki. W Przemyślu, we Lwowie i w Haliczu, buduje monastery i łacińskie świątynie; wnet koło nich kupią się polscy koloniści, strzegąc wiernie i swego obrządku i swojej narodowości. Z Halicza zwraca się na Wschód do Kijowa, tam cztery lata przebywa w trudzie apostołskim. W Kijowie podobnie buduje kościół ła-

ciński i klasztor, i w nim Polaków osadza. Ustępuje przed Mongołami, ale uczniowie jego wracają. Dzisiaj tyle śladów polskiego panowania w Kijowie zniknęło, ale dzieło Jacka, świątynia łaćwińska istnieje. Po Stanisławie, Jacek najulubieńszy u ludu polskiego święty, największy cudotwórca, najgłośniejszy z Polaków w Europie. — W tym samym czasie żyła na Śląsku Jadwiga. O jej cnotach zakonnych nie tu miejsce mówić, ale godzi się wspomnieć o jej zasługach dla kraju. Z klasztoru trzebnickiego, w którym osiadła z przyzwoleniem męża, czuwa nad każdą niedolą Polski. Gdy jej męża Konrad zdradziecko w kościele napadł i uwięził, a syn uwięzionego, Henryk Pobożny, spieszył z wojskiem, by ojca uwolnić i pomścić, Jadwiga porzuca klasztor, wyprzedza syna, jawi się sama u dzikiego Konrada i urokiem świętości zdobywa na nim uwolnienie męża i zgodę związkami rodzinnymi wzmocnioną. A jak pokój między chrześcijańskie przywraca pany, tak wszystkiemi siły syna swego i pokrewne książęta zagrzewa do walki z pogaństwem. Błogosławi Henrykowi na wojnę, chociaż wie, że na niej on zginie. I gdy przyszła z pod Lignicy wiadomość o jego śmierci, św. Jadwiga tłumiąc w sercu boleść matczyną zawołała: »dziękuję Ci Panie, żeś mi dał takiego syna, który za wiarę chrześcijańską i za swoją ojczyznę głowę położył; ja matka, duszę jego Tobie polecam i ufam, że ją przyjmiesz do siebie«.

Pomijamy Salomeę, Grzymisławę, Bronisławę; ale musimy wspomnieć o błogosławionej Kunegundzie, w której niewiadomo co więcej podziwiać: czy chrześcijańskie miłosierdzie, czy twardy żywot pokutniczy, czy gorącą miłość dla przybranej ojczyzny, czy też hart i rozum męski? Przywiozła mężowi posag bogaty, do czterech milionów na dzisiejszą monetę wynoszący, i zaraz wielką jego część oddała na dwukrotne przeciw Mongołom zaciągi, jak to Bolesław w swym przywileju wyznaje.

Skoro te pod Opolem i Chmielnikiem rozbite zostały i nie było już możności bronić się na ziemi krakowskiej od mongolskiego pogromu, Kunegunda nie pozwala polskim hufcom rozchodzić się, owszem, resztę skarbów swoich na nie składa, by je wzmocnić, i wysyła je pod rozkazy Henryka Pobożnego. Nie małą część armii chrześcijańskiej pod Lignicą, stanowiąły hufce krakowskie i sandomierskie, a była to Kunegundy zasługa. Skoro powódź tatarska spłynęła, księżniczka krakowska spieszy ratować jej ofiary, skarby swojego serca między nie rozdając. Sama z wozami spustoszone okolice objeżdża, od głodowej śmierci zubożały lud ratuje, z lasów, z jaskiń nieszczęśliwych wydobywa, na wozy wkłada, prowadzi. Prawdziwa matka i żywicielka; lud najwyższą czią ją otacza, ugina przed nią kolana. Po śmierci jej męża, panowie krakowscy bacząc na jej dobrotliwość, mądrość i statek, proszą, by zatrzymała rządy przy sobie. Wymawia się, zostaje mniszką; odtąd już ona boso, w grubym habicie Klarysek, prowadzi życie pokutnicze w Sączu i w Pieninach. Zdawałoby się, że to wszystko poezya; takie to szczytne, idealne, doskonałe, a to fakta czysto historyczne! Oddał jej mąż w zamian posagu ziemię sandecką na wieczyste posiadanie z prawem przeżady lub darowizny; ona z niej miasto Sącz i niektóre wsie dla klasztoru zatrzymuje, reszta do Leszka Czarnego powraca, bez uszczuplenia piastowskiej dziedziny¹⁾. Lud góralski zachował do dziś dnia wdzięczne o niej wspomnienia, mnóstwo legend o św. Kindze powtarza. Jej opiece polecał się Jan III przed wyprawą pod Wiedeń; w nagrodę za zwycięstwo, prosi papieża o jej kanonizację. — Nie miała potomstwa księżniczka krakowska,

¹⁾ Porównaj *przywilej* Bolesława Wstydł. 1257, na rzecz Kingi wydany, oraz też *dokument fundacyjny* klasztoru sandeckiego 1280 r., u Szajnochy, *Dzieła*, Warszawa 1876 I, 23, 33.

bo wraz z mężem ślub czystości uczyniła; ale jej siostra rodzona i wychowawca Jolanta, wydana za Bolesława Pobożnego, niemniej święta jak Kunegunda, i jak ta w krakowskim, tak ona w Wielkopolsce czczona i kochana, zostawiła trzy córki. Najstarsza z nich Jadwiga, zaślubiła Łokietka, a jej synem Kazimierz W. Jeśli, jak słusznie powiedziano, wielkiego człowieka matką musiała być niepospolita niewiasta, to równym prawem przypuścić można, że zasługi jednej i drugiej babki, Jolanty i Kunegundy, spłynęły błogosławieństwem na wielkiego wnuka, ostatniego z Piastów.

Niektórzy nowsi historycy tę epokę opowiadający, odzywają się z przekąsem o tem niepospolitem zjawisku, że Polska w wieku XIII tylu naraz świętych mężów i niewiast wydała. Wedle nich, był to tylko różny objaw jednej i tej samej ekscentryczności, w skutek której naród popadał albo w wyuzdane złoczyństwa, albo w najwybredniejszą bogobożność. Najcelniejszy między nimi Szajnocha, nie znajduje słów dość cierpkiej ironii, by wydrwić to »najświętobliwsze niedołęstwo«, z jakim ludzie w ascetycznym życiu o obowiązkach tego świata zapominali. Ani Jadwiga, ani Henryk, ani Bolesław Pobożny, nie ostoją się przed jego żartami. »Przesadną religijnością wieku (mówi on), przedewszystkiem ku rzeczom niebieskim zwrócona uwaga, czyniła ludzi mniej dbałymi o ład i sprawy ziemskie i ułatwiała przeto grę wichrzycielom i wszelkim wrogom¹⁾«. Inny historyk (wprawdzie *minorum gentium*) wspomniawszy o doskonałem woli Bożej poddaniu się, z jakim św. Jadwiga śmierć męża i syna przyjęła, dodaje: »Tak wygórowane i przesadne nabożeństwo, osusza serce ze wszystkich uczuć ludzkich i pogrąża w jakąś bezmyślną apatyę²⁾«.

¹⁾ Bolesław Chrobry i odrodzenie się Polski. Lwów 1859, s. 270.

²⁾ L. R(ogalski?) Artykuł o *Jadwidze* w *Encyklopedyi Orgelbranda* XII. 856.

Gdyby z kolei i nam przyszło nacechować takie zdania, tobyśmy zapytali: po co sądzić o rzeczach, o których się nic nie wie, do których zrozumienia trzeba dużo więcej, niż dać może erudycja? Jednak i trochę uwagi i trochę doświadczenia w życiu byłoby ustrzegło od orzeczeń tak rażących. Alboż tu mowa o Tebaidzie i o eremitach? Wspaniałe grono z XIII wieku składa się z ludzi, jak Iwo i Prandota, Jacek i Czesław, Jadwiga i Kunegunda, którzy z pewnością odludkami nie byli. Widzieliśmy jakie wiodli życie, z jakim wylaniem się dla kraju. Alboż można zbliżyć się do człowieka wyższych cnót, a nie odnieść z tego zetknięcia się jakiejś korzyści dla swego serca, nie zbudzić w sobie pragnienia szlachetniejszego, a choćby tylko wyrzutu sumienia? I złe i dobre bywa zaraźliwe; a silniej od wymowy, silniej od nauki, działa przykład dobroci, świętości. Im większa ilość szlachetnych uczynków, tem łatwiej się przywraca w społeczeństwie równowaga moralna, którą gwałty i bezprawia zburzyły. Cnoty mierne, zwyczajne, wystarczają w czasach zwyczajnych, ale nie zbawiają narodu w czasach trudnych. Wielkie dusze, wielkie abnegacye, oto czego potrzeba takim epokom i narodom; bo gdy niebezpieczeństwa przybywa i obowiązki też rosną.

Zapełniła się Polska temi czasy zakonami. Już to nie byli sami tylko Benedyktyni; ale obok nich Miechowici, Cystersi, Norbertanie a przede wszystkim Dominikanie i Franciszkanie, którym Polska więcej niż innym zakonom w owej epoce zawdzięcza. Ta mnogość fundacyj kościelnych, gniewa pisarzy historycznych, o których wspomnieliśmy. Alboż oni przypatrzyli się wpływowi, jaki klasztor każdy, byleby pilnował swej reguły, wywiera na ludność sąsiednią, wiejską czy miejską? Ćwierć wieku tego wpływu wystarczy, by w całej okolicy ujrzeć znaczną różnicę, widoczny zwrot ku dobremu. A cóż dopiero musiało być w tamtych czasach, kiedy klasztor

był jedyną cywilizacyjną instytucją, kiedy zastępował szkołę, nieraz i parafię, kiedy służył za wzorowy zakład agronomiczny, kiedy był szpitalem i dla ubóstwa szpichlerzem i jedynym schronieniem od możnych rabusiów! Cóż Francję w pierwszych wiekach dźwignęło, jeśli nie benedyktyńskie monastery; nie byłby Karol W. dokonał tylu wielkich dzieł u siebie i w Europie, gdyby wprzód synowie św. Benedykta nie byli wytrzebili lasów, nie uprawili ziemi, nie pozakładali w swych murach warsztatów, w swoich celach uczonych pracowni, a przede wszystkim, gdyby koczującej do ich czasów ludności, nie byli osiedlili naokoło swych klasztorów.

W innych krajach, zwłaszcza na Zachodzie, już te rzeczy zrozumiano i nikt zasługom zakonów w dziejach cywilizacji nie przeczy. Wszak każdy się na to zgodzi, że aby napisać dobrą historię jakiegoś narodu, trzeba znać jego język. Otóż językiem średnich wieków jest wiara; kto tej mowy nie zna, niech się nie kusi tę epokę przedstawić. Może dużo faktów, dat nagromadzić, ale żywego obrazu nie stworzy, tylko szkielet suchy, jeśli nie karykaturę. Bóg zesłał kiedyś pisarzy, którzy z nauką i talentem dzisiejszych, połączą inne warunki niemniej potrzebne do wykrycia i skreślenia prawdy. Szczupłe są z tych czasów pomniki, nie przeczym, ale jednak i z kronik, z zapisków i z przywilejów, które obecnie z przykładną ogłaszają skrzętnością, będzie można stworzyć żywą całość, i obok szpetnych ukażą się wtedy w całej piękności postaci, których się dzisiaj tylko domyślać możemy. — Rozliczne korzyści muszą stąd wypłynąć. Z wyjątkiem naszej, porozbiorowej, żadna epoka nie była tak nieszczęśliwą, jak podziałów piastowskich. Właśnie dlatego gruntowne jej poznanie jest dla nas arcyważne, by się dowiedzieć, czem Polska przed sześcioma wiekami wydobyła się z podobnej, jak obecna toni? Czasy piastowskie świecić będą przykładem, że

dla podniesienia narodu, koniecznymi byli tacy bohaterowie jak Łokietek, tacy administratorowie i politycy jak Kazimierz W., ale oni przyszli wtedy dopiero, gdy ich poprzedzili święci biskupi i apostołowie, chrześcijańscy książęta i święte niewiasty.

VI.

By odpocząć na chwilę, przenieśmy się do innego kraju, w którym żaden podobny fakt, jak zabójstwo św. Stanisława, nie zasmucił dziejów, nie rozstroił władzy monarszej i duchowieństwu nie zapewnił przewagi. Chce mówić o Rusi kijowskiej. Państwo Ruryka na silniejszej niż monarchia Chrobrego oparło się podstawach. Byli i tam znakomici wodzowie i politycy, ale główna moc rządu leżała w waregskiej drużynie, którą Ruryk przywiódł z sobą, a następcy jego przez długi czas przywoływali ją ze Skandynawii. Każde miasto zdobyte Ruryk oddawał Waregowi, toż samo Oleg czynił w grodach, które naokoło Kijowa pobudował. Była to więc silna organizacya, nie na głowie jednego monarchy stojąca, ale wojskowa i polityczna zarazem, której każde ogniwo musiało dla własnego bezpieczeństwa nawzajem się podtrzymywać. Ten system zapewnił siłę Rusi przez półtora wieku. Ale w końcu Waregów zabrakło, wsiąkli w ludność miejscową, przerodzili się w Słowian. Podział kraju do reszty osłabił władzę i choć żaden ze sług Kościoła nie zamącił pokoju ww. książąt kijowskich, powaga ich upadła; w XIII wieku mniej ona znaczyła na Rusi niż w Polsce książąt krakowskich.

W takim to czasie rozszarpania kraju i poniżenia władzy zwierzchniczej, zjawili się Mongołowie. Trzeba przyznać, że książęta ruscy śmiało, za śmiało nawet, zerwali się do boju; pod Kalką na głowę pobici (1224). W lat kilkanaście potem Ruś raz jeszcze chwyciła za

broń; niektóre grody książęce broniły się rozpaczliwie, Riazan, Suzdal, Włodzimierz zdobyte, spalone; wielu książąt poległo, ludność w pień wycięta. I Kijów po zaciętej obronie wpadł w ręce Mongołów, gromadzone przez cztery wieki bogactwa spłonęły, albo dostały się zdobywcy; stara macierz grodów ruskich leżała w ruinie (1240). Po tych krwawych wysileniach, Ruś uchyliła głowy przed zwycięzcą, książęta nie myśląc już o opozycji, ani o ucieczce, pogodzili się ze swym losem. Niezszczęśliwy obrońca Kijowa Dymitryj, podsunął Hanowi mongolskiemu patryotyczną, jak mówi Karamzyn, myśl, aby szedł na Zachód, bo tam bogatsze niż na Rusi czekają go łupy. Usłuchał Batu i rzucił swe hordy na Polskę i Węgry; ale odtąd książęta ruscy musieli towarzyszyć Mongołom w każdej ich rozbójniczej wyprawie; byli i pod Opolem i pod Lignicą, lecz nie po stronie Chrześcijan; widać ich później i nad Donem i nad Niemnem, jako przednią czatę tatarską.

Spustoszywszy Małopolskę i Węgry, Batu wrócił do siebie i rozbiwszy namiot królewski, posłał gońców do kniaziów ruskich, aby mu hołd złożyli. Na rozkaz jego stawili się w. książę Jarosław II, wraz z synem i bojarami bił czołem przed Hanem (1243); za jego przykładem poszła reszta kniaziów. Batu obdarzył Jarosława zwierzchnictwem nad całą Rusią; zrozumieli Tatarzy, że dogodniej im będzie panować nad krajem zaludnionym i uprawnym, niż nad pustynią; przestali niszczyć Ruś. Tatarskie baskaki obiegały za to rok po roku wszystkie grody, obliczając domy, mieszkańców, wybierając pogłówne. Nastąpiły z górą dwa wieki hańbiącej niewoli, cisza grobowa, którą od czasu do czasu przerywały bratobójcze wojny, kiedy kniazio wie ubiegłszy braci w łasce hana, spychali ich z tronu z pomocą tatarską.

Cerkiew ruska nie pozostała w tyle za kniaziami. Zaraz po swoim wyświęceniu, metropolita Maksym II,

udał się do namiotu hana, prosić go o potwierdzenie kościelnej godności. Przyjęty łaskawie, Tatarzy z wielką względnością postępowali z duchownymi. Odtąd weszło w zwyczaj, że każdy metropolita obejmujący rządy, wyrabiał sobie tak zwany jarlik hański. Posłuchajmy tego dokumentu: »Święta i nietykalna jest religia Rusi, każda cerkiew, każdy monastyr, każda molebnia! Ktokolwiek w nich służy, używa szczególnej opieki hana i niechaj się nikt nie waży słowem albo czynem go obrazić, pod karą śmierci! Wszelka własność cerkwi i jej sług wolna jest od wszelkiego rodzaju podatków, wolni są także wszyscy duchowni i cerkiewni słudzy i własnemu mają ulegać sądownictwu. Każda napaść na majątek i prawa cerkwi, będzie śmiercią karana; a gdyby to się stało na rzecz hana albo jego sług, to szkoda ma być w trójnasób zwrócona«. Pod taką opieką i Ruś podobnie jak Polska w owym czasie pokryła się fundacyami kościelnymi, choć tłomaczyć zbyteczna, z jak różnych pobudek. A jak pierwiej W. kniaziom kijowskim, tak teraz, taką bullą tatarską ubezpieczona, służyła hanom cerkiew ruska wiernie i w przykładowej uległości.

Jeszcze jeden wypadek godny pamięci. Wspomniany Maksym metropolita, wróciwszy od W. hana, zwołuje synod. Na nim uchwalono, że ponieważ Kijów w ruinie, ponieważ nie przystoi metropolicie mieszkać w podupałym grodzie, więc ma się przenieść do Włodzimierza, aby obok W. księcia zamieszkał (1284). Kolebka chrześcijaństwa na Rusi, czterowiekowa metropolitów rezydencya została w ten sposób dobrowolnie opuszczona.

Nic podobnego nie zdarzyło się w Polsce po najeździe tatarskim. Stary Kraków odbudowany; i książęta i biskupi w nim pozostali, i Kościół umocnił się w dawnym związku z papieżem.

VII.

Pospieszajmy ku końcowi. Owego życia religijnego, które wśród krzyżów i boleści, i właśnie pod ich naciskiem, doszło w Polsce w wieku XIII do najwyższego rozkwitu, była wyrazem kanonizacya Stanisława; fakt, jak przyjaźni i nieprzyjaźni jednozgodnie przyznają, pierwszorzędnego dla Polski znaczenia.

Jeszcze w roku 1088, w dziewięć lat po śmierci Stanisława, biskup Lambert przeniósł uroczyscie zwłoki swego poprzednika ze Skałki do kościoła katedralnego i uczcił je nagrobkowym napisem. Musiał lud krakowski przechować żywą i głośną pamięć jego zasług, skoro Władysław Herman zezwolił na oddanie publicznej czci człowiekowi, którego zamordował rodzony jego brat. Od tego czasu, kościół katedralny bardziej pod imieniem Stanisława, niż św. Wacława u ludu był znany. — Nie tak się działo w Anglii ze wspomnianym przez nas św. Tomaszem Becket. Król Henryk i normandzcy baronowie z taką zawiścią ścigali pamięć Arcybiskupa i martwe jego zwłoki, że pod karą śmierci zakazaniem było nawiedzać jego grób, głosić jego pochwały i wymawiać jego imię na schadzkiach publicznych.

Atoli i u nas, słowa są Długosza, pomimo nadzwyczajnych łask Bożych, które przy grobie Męczennika wciąż się ponawiały, książęta polscy nie dozwolali żadnego zachodu około kanonizacyi; za czem i kronikarze polscy, mówi tenże, nie śmieli jasno przyczyn śmierci wyłuszczać, a tem bardziej opowiadać brzydkich króla postępków, z których i na następne pokolenia przechodziła niesława. *Odisti quem laeseris*, to rzecz wiadoma; biskup był ofiarą panującego rodu, a powszechne mniemanie ukazywało go jako sprawcę jego poniżenia.

Dopiero, gdy w Krakowie objął rządy człowiek tak religijnego usposobienia, jak Bolesław Wstydlivy,

obok niego świętobliwa Kinga, gdy biskupi krakowscy usługami swemi i wiernością dowiedli, jak drogą im jest dynastia piastowska, dopiero wtedy mógł Prandota pomyśleć o podniesieniu na ołtarze Stanisława. W roku 1250, wyprawił do Innocentego IV, bawiącego na soborze lyońskim, Jakóba ze Skarzeszewa dziekana kapituły i Gerarda kanonika z listem księcia i prośbą od siebie, w imieniu dyecezyi i całego kraju, o kanonizację. Papież wyznaczył komisję złożoną z arcybiskupa gnieźnieńskiego Pełki, biskupa wrocławskiego Tomasza i opata Cystersów lubieńskiego, dla rozpoznania sprawy. Prócz tego polecił Jakóbowi z Velletri, by jechał do Krakowa i pilnie zbadał to wszystko na miejscu, co komisya wykaże, a mianowicie, aby się przekonał, jaka jest u ludu cześć dla Męczennika, aby się zetknął osobiście z tymi, którzy twierdzą, że byli cudownie przezeń wyleczeni i takowe łaski sprawdził; aby dwóch stuletnich świadków, o których Prandota donosi, iż znali ludzi współczesnych Stanisławowi wysłuchał; w końcu, aby odczytał i napis nagrobkowy z czasów Lamberta, i wszystkie roczniki i wszystkie dokumenta, jakie do tego wypadku w archiwum, bądź ksiąźcem, bądź kapitulnem, dochować się mogły. Pomimo ufności, którą zaszczycała Prandotę Stolica apostolska, jak widzimy, nie była łatwą w tej sprawie. — Dwa lata trwało śledztwo w Krakowie i gdy je ukończono, ciż sami co poprzednio posłowie udali się do Lyonu w roku 1252, mając sobie do pomocy przydanych kilku uczonych franciszkańskich i dominikańskich. Wyznaczeni od Papieża kardynałowie odczytywali z pilnością protokoły komisyi, oraz relację Jakóba z Velletri, której oryginał przechował się dotąd w archiwum kapituły krakowskiej. Rzecz zdawała się być gruntownie dowiedzioną, jednak na dworze papieskim powątpiewano jeszcze i o przyczynie męczeństwa i o cudach; przytem mówiono, że

wypadek jest dawny i że trzebaby pewniejszych o świętości Stanisława dowodów.

Po raz wtóry komisya apostolska w Polsce otrzymała rozkaz, aby dokładniej niż poprzednio, u tych samych, albo innych świadków, życie, męczeństwo, jego powody i cuda Świętego zbadała. Znowu trwała cały rok jej praca w Krakowie. Prandota, wyprawiając po raz trzeci, w roku 1253, posłów swoich do Papieża, który już był do Włoch powrócił, nie przestaje na refecacie komisyi, ale wspólnie z nim wysyła żywych świadków, którzy cudów Świętego na sobie samych doznali, i przyłącza listy nie już Bolesława tylko, ale wielu innych piastowskich książąt, usilnie dopraszających się kanonizacyi. Te świadectwa i zeznania przekonały nareszcie papieża i kolegium kardynalskie; rzecz zdawała się pomyślnie być zakończoną. Zatrzymał ją wszelako kardynał Reginald, mąż wysokiej nauki i świętobliwości, który pod imieniem Aleksandra IV, został niebawem papieżem. Twierdził on, że nie wydaje mu się prawdopodobnem, aby w narodzie tak grubym, jakim za czasów Stanisława byli Polacy, mógł znaleźć się tak wielki obrońca Kościoła i cudotwórca. Jego opozycya zatrzymała proces; napróżno posłowie ponawiali swe zachody. »Już tu nic nie pomogą ludzkie argumenta, rzecze do nich kardynał Gaetani, proście Boga, aby sam wdał się w tę sprawę«. I tak się stało. Kardynał Reginald zachorował nagle i tak ciężko, że zwątpiono o jego życiu. We śnie ukazał mu się św. Stanisław: »oto cię uzdrawiam, rzecze, wstań, abys był mi świadkiem«. Ten fakt zeznany wobec papieża przez męża takiej powagi jak Reginald i głównego kanonizacyi przeciwnika, położył kres wahaniu. Bulla kanonizacyjna wydana, Stanisław świętym i pierwszym polskiego narodu Męczennikiem ogłoszony. — Działo się to w Asyżu, we wrześniu 1253. O tem zdarzeniu i o wszyst-

kich jego szczegółach doniósł Prandocie kardynał Gaetani. List jego oryginalny Długosz miał w swoim ręku i w żywocie Świętego zamieścił; starodawną jego kopię posiada kapituła krakowska.

Czyż potrzeba tu wspomnieć, że jeden z głośnych pisarzy, dziś już zmarły, którego nazwiska wolimy nie wymieniać, opowiadając tę interwencyę Bożą w sprawie kanonizacyi, każe się domyślać, że posłowie polscy przekupili kardynała Reginalda, aby przed papieżem zeznał fałszywie; skąd wypada, że cały akt kanonizacyi jest niecną komedyą, na przekupstwie i krzywoprzysięstwie opartą. — Cóż powiedzieć na tak zuchwałe a na niczem nie oparte podejrzenie? Trudność zapewne słowami dowodzić czyjejsz uczciwości, albo rzeczywistości cudu! Lecz jeżeli tak jest, jak ów autor utrzymuje, naówczas i Prandota, chociaż mąż wielkich cnót i zasług dla ojczyzny, i Bolesław i Kinga, i ci wszyscy co kanonizacyi domagali się wytrwale, byli kłamcami, i cały zarząd naczelnny Kościoła, nie wyjmując papieża, składał się ze szalbiarzy; i ci wszyscy, co przez wieki i wieki czcili i przyzywali pomocy Męczennika, to tylko milionowa trzoda głupców i niedołęgów; a za to ci pisarze, których na palcach jednej ręki policzyć można, ci tylko są ludzie uczciwi, rozumni, prawdę kochający i prawdę widzący jasno. Doprawdy, trudniej w to uwierzyć, niżeli w wypadek najmniej podobny do wiary... Dodam i to, że za prawdziwość Kościoła i jego dogmatycznych wyroków, każdy syn wierny odda w potrzebie wszystką swoją krew, nie jeden nawet z radością; ci panowie, co tak śmiało przeczą, za prawdziwość swoich przeczeń, nie dadzą ni kropki!

Wróćmy do rzeczy. Skoro przyszła wiadomość do Krakowa, że posłowie polscy nadjeżdżają z upragnionym dokumentem z Assyżu, radość nastąpiła wielka, tłumy ludu wyszły naprzeciw, i w tryumfie wprowadziły

ich do stolicy. U bram miasta czekał wraz z duchowieństwem Prandota, i odebrawszy listy papieskie, zapowiedział uroczyste podniesienie kości Męczennika, na dzień 8. maja 1254. Był to dzień świąteczny dla narodu: ustały wojny i zamieszki domowe. Ze wszystkich stron Polski, a także z Węgier i Morawii, nieskończona ilość ludzi podążyła do Krakowa; było ich tak wiele, że stolica nie mogła ich pomieścić, i po okolicznych polach i łąkach obozowali. Zjeżdża Nuncyusz apostolski i ośmiu biskupów: gnieźnieński, krakowski, wrocławski, władysławski, poznański, płocki i dwaj świeżo instytuowani: ruski i litewski; za nimi wielka liczba opatów, prałatów, kanoników, proboszczów i zakonników. Pięciu książąt na tę uroczystość przybywa: Bolesław krakowski, Przemysław wielkopolski; Kazimierz kujawski, Ziemowit mazowiecki i Władysław opolski. Rodzina piastów przychodzi oddać cześć publiczną temu, który padł z ręki jej przodka. Cała Polska, na tyle dzielnic rozszarpana, której dotąd żadna potrzeba ogólna, nawet najazd mongolski, połączyć nie zdołały, jednoczy się po raz pierwszy w uczuciu miłości i wdzięczności dla Męczennika. Naród głosem wewnętrznym ostrzeżony, rozumie ważność tej chwili; czuje on, że pozyskał wielką siłę, że przed tronem Przedwiecznego ma już możnego Przyczyncę, krew z swojej krwi i kość z swojej kości. — Skoro z grobu wyjęto trumnę, która przy południowej bramie Kościoła spoczywała, Biskupi obmyli w winie drogie szczątki i ukazali je zgromadzonym: powstał krzyk uwielbienia i radości, który tylko najwyższa wiara wydać potrafi. Zaczem, po bratersku, mówi biograf, obdzielano relikwiami wszystkie kościoły katedralne w Polsce i celniejsze między parafialnymi i zakonnymi. Z temi kośćmi Świętego, błogosławieństwo Boże rozszło się po kraju; lepsza dola dla Polski miała znów zajaśnieć.

VIII.

Stanęliśmy u mety, i już tylko parę szczegółów późniejszych mamy dodać.

Przez całą epokę podziałów piastowskich snuje się krwawa nić wielkiego męczeństwa, i raz karę i cierpienia, drugi raz pokrzepienie i otuchę narodowi przynosi. Nawet niechętni dla Kościoła pisarze nie mogą zataić, że z tą postacią, która na zaraniu naszych dziejów błysnęła, i jej cieniem lub światłem spotykają się później co krok. — Dziwny jest zaprawdę ten związek polskich Świętych z losami kraju, dziwny, tajemniczy, a jednak dotykalny! Począwszy od Wojciecha, na którego umęczonych kościach oparło się pierwsze uznanie naszej niepodległości politycznej przez Ottona III, od Jacka, który wraz ze słowem wiary zagnieździł na Rusi słowo polskie i obyczaj polski, aż do Józefata niedawno kanonizowanego, który szeroką misję cywilizacyjną otworzył Polakom na Wschód, choć z niej dotąd nie umieli korzystać — każdy z nich był chorążym narodu, prostował przed nim ścieżki Pańskie, zaważył w jego losach, albo waży dziś jeszcze, więcej niż zdobywca, więcej niż geniusz polityczny. — Uderzającą jest i ta korna cześć, ta dziecięca ufność, jaką najwięksi nasi ludzie przeszłości dla tych Świętych okazywali: zaczynając na Łokietku a kończąc na Sobieskim, na którym też dawna Polska przerwała swój żywot. — Atoli żadnego z tych możnych Patronów naród nie ukochał taką miłością, jak Stanisława. Bo on ojcem naszych Świętych, on naszej cywilizacji założycielem; jemu naród winien, że jest społecznością zachodnią, katolicką; przez wieki tę zasługę wyznawał; za nią go wielbił, za nią dziękował. Jego opiekę nad sobą przeczuwał, przy każdej zmianie monarchy nanowo się jej polecał, jemu przypisywał najpo-

myślniejsze w swem życiu wypadki, jemu po każdym tryumfie hołd wdzięczności składał.

Nie będziemy wyliczali wszystkich dowodów czci oddawanej mu przez polskich królów: dość przypomnieć, że pierwszym z nich był Łokietek, który wieś Piotrowin ofiarował dyecezyi i kościołowi św. Stanisława, na znak, jak mówi, swego osobliwszego ku niemu nabożeństwa; ostatnim był Stanisław August, który jedyny kościół polski w Rzymie, pod wezwaniem św. Stanisława przez Hozyusza zbudowany, swoim kosztem odnowił i przyozdobił. Pominiemy również, że do końca XIII wieku imiona Stanisława i Stanisławy coraz częściej dzieciom na chrzcie dawano, pominiemy kościoły pod temże wezwaniem stawiane, cudowne uzdrowienia przypisywane Świętemu przez jego biografów aż do końca XVII wieku; przejdziemy do faktów ogólnych.

Najważniejszym faktem, który o losie państwa rozstrzygnął, było przywrócenie dynastyi Piastów korony królewskiej. Wprawdzie niepodobna wywieść dokumentami, że koronacya Przemysława i Łokietka przyszła w następstwie wielkiego aktu religijnego, dokonanego przez Prandotę w Krakowie. Na takie rzeczy dokumentów zazwyczaj niema; wiadomo tylko, że nie inne było w Polsce powszechne o tem przekonanie w XIII i XIV stuleciu. Rodzina Piastów, przyczyniając się do kanonizacyi Stanisława w Rzymie i razem z całym narodem składając mu hołd uroczysty w Krakowie, obmyła się z krwi Męczennika, która ją przez długie pokolenia ściagała, dopełniła dwuwiekowej pokuty, zaczętej przez Hermana. Prawda jest, nie odrazu potem ustaliły się losy Polski; owszem sroższe chwilami spadały klęski: złe wysilić się musiało, zanim ustąpiło. Ale i to prawda, że zaraz po kanonizacyi, jawią się w Piastowiczach oznaki zdrowego ducha: zaprzestano zrywać się na Bolesława zwierzchniego pana, zgnieciono pogańskich Ja-

dźwingów, podjęto na Świętopełka poznańskiego wspólną wyprawę, czego od dawna nie widziano; fatalne następstwa podziału budziły coraz żywiej i ogólniej chęć zblżenia do siebie piastowskich dzielnic. Tej zacnej chęci stało się tłumaczem duchowieństwo. I Przemysław i Łokietek ma już biskupów za sobą; oni to uzyskują w Rzymie przyzwolenie na koronację i tego aktu restauracyi narodowej dopełniają uroczyście.

Zanim wszakże ta radośna mogła nadejść chwila, już pierwszy książę, który po kanonizacyi zasiadł na tronie zwierzchniczym, przyjął Stanisława za patrona państwa. Mamy tego dowód na pieczęci majestatycznej Leszka Czarnego. Rysunek tego pięknego zabytku ogłosił nasz sędziwy i zasłużony kolega p. Teofil Żebrawski. Pieczęć przedstawia biskupa sprawującego najświętszą ofiarę, nad głową jego napis: *S. Stanislaus*; z drugiej zaś strony ołtarza, monarcha klęczący modli się do niego. Niektórzy rozumieją, że rysunek przedstawia jeszcze pokutującego; nam się to tłumaczenie nie zdaje. I przybór rycerski księcia, i miecz u boku, i sztandar nad nim rozwinięty, nie są to znamiona pokuty; raczej powiedzieć trzeba, iż Leszek w tem przeświadczeniu, że expiacya już spełniona, siebie i państwo swoje oddaje z ufnością pod opiekę Świętemu.

Zresztą, pieczęć Leszka wyraża to tylko, co się niezmiennie, przez następne powtarzało wieki. Wiadomo, że każdy z królów polskich, dniem przed koronacją, szedł uroczyście na Skałkę uczcić miejsce, na którym Stanisław poległ; poczem każdy z nich wracał do katedry i przy grobie Patrona Polski siebie i rządu swoje jemu polecał. Odkąd nastał ten zwyczaj nie wiemy z pewnością; Szajnocha domyśla się, że od pierwszej koronacyi, jaka się odbyła w Krakowie, to jest od Łokietka, i rzecz to prawdopodobna. Najdawniejszy ślad tego obrzędu, znajduje się w archiwach kapituły kra-

kowskiej, z czasów Aleksandra. Przy pontyfikale rękopiśmiennym kardynała Fryderyka, przed ceremoniałem koronacyi, zamieszczona jest wzmianka w rubrykach, że król wraz z prymasem, biskupami i całym dworem, ma się udać na Skałkę, aby się pomodlić do św. Stanisława, skąd wróciwszy znajdować się będzie z asystą na nieszpórach przed trumną Świętego. Czytamy o Batorym, że przed koronacją na Skałce był i spowiedź tam odprawił. O Władysławie IV mówi świadek spótczesny: »Po obiedzie jechał Król Jmć na Skałkę, gdzie przez nieszpór będąc, który Jmć Ks. arcybiskup celebrował, wedle dawnego królów polskich zwyczaju, padłszy przed ołtarzem św. Stanisława, za się i za przodka swego Bolesława przeproszał i za patrona sobie brał, a drugiego dnia, u grobu jego, na zamku komunikował«. Toż samo o Janie III i Auguście II i aż do końca. Jednak są wyjątki, a jak bolesne! Dwaj tylko królowie, przed wzięciem korony, nie odbyli pielgrzymki na Skałkę, nie polecali swoich rządów Męczennikowi u jego grobu w katedrze: Leszczyński i Poniatowski; obaj koronowali się w Warszawie. Czyż potrzebujemy przypominać, że obaj nie zachowali korony na swej głowie, z kraju wydaleny, umarli wśród obcych! Fakt to dziwny; nie myślimy go bynajmniej tłumaczyć, ani żadnych z nich wyciągać wniosków; ale zapisać go tutaj było naszym obowiązkiem.

Jak Polska tak i Litwa z nią zbratana, od samego przyjęcia wiary chrześcijańskiej, uznawała w Stanisławie swego opiekuna. Pisze Długosz, że »w roku 1387, król Władysław, zjechawszy dla ochrzczenia Litwy, założył w Wilnie kościół pod wezwaniem św. Stanisława, przesławnego biskupa i męczennika, iżby dwa narody polski i litewski, które jednością wiary i berła połączył, wspólnego także miały patrona i orędownika, i aby u Litwinów trwała wieczna pamięć, że za sprawą Polski wydobyli się z ciemnoty pogańskiej«.

Dzień 27. września jest, jak wiadomo, świętem przeniesienia kości św. Stanisława ze Skałki do katedry, czego dokonał biskup Lambert. Była to pierwsza cześć oddana przez Polaków Męczennikowi i jakoby zapowiedź późniejszej a o wiele głośniejszej. I w tymże dniu, 27. września, Polacy w bitwie pod Płowcami, odnieśli przeważne nad wrogiem zwycięstwo, pierwsze po kanonizacji i pierwsze tego znaczenia od dwóch blisko wieków. A to zwycięstwo było także zapowiedzią daleko świetniejszego tryumfu, bitwy pod Grunwaldem. Opisując ten najwspanialszy oręża polskiego czyn, Długosz mówi: »Niekórzy z rycerzy krzyżackich opowiadali, a nie była to baśń płocho uklecona, ale powieść dowodnie i wszędy powtarzana, że przez wszystek czas trwającej bitwy, widzieli po nad wojskiem polskim osobę w stroju biskupim, która błogosławiła Polakom i walczących ciągle podnosiła w boju, niewątpliwie obiecując im zwycięstwo... Mniemano, że to był św. Stanisław, i że za jego przyczyną Polacy tak świetnie odnieśli zwycięstwo«. Król Jagiełło na znak swej wdzięczności kazał zawieźć do Krakowa chorągwie i u grobu św. Stanisława je złożyć. Przy tymże grobie składał Tarnowski chorągwie obertyńskie, Ostrogski kaniowskie, tam znoszono buńczuki zabrane na Tatarach pod Kleckiem, Wiśniowcem, (które u Niemców za brody krzyżackie długo uchodziły) i — żeby wszystkiego nie wymieniać — tam i Sobieski trofea z pod Wiednia zawiesił.

Przypomnijmy, że najzasłużeńszy z historyków naszych, Długosz, którego dzieło wiekopomne długo za *arcana imperii Polonorum* uważano, a dziś za skarbiec tradycji polskiej posłużyć nam może, był także szczególnym św. Stanisława czcicielem. Na wielu kartach *Historji* swojej zostawił tego dowód wymowny, najdokładniejszą jego biografię napisał, ku chwale jego zmurował świątynię w Szczepanowie, zbudował kościół

i klasztor na Skałce i w nim Paulinów pomieścić. Jego zwłoki spoczywają w krypcie pod ołtarzem, pod którym św. Stanisław został zabity, jakby w ten sposób i po śmierci, cześć swoją dla Męczennika chciał wyznawać. — Grób ten przez wieki zaniedbany, dzisiaj skrzętną, chwalebną zabieглиwością w piękny zamienia się pomnik; a obok niego znajdują swe miejsce i ci, co talentem i pocziwą pracą stali się zaszczytem polskiego piśmiennictwa.

Nawet wiek XVIII, z tylu miar smutny, tak mało swemi pojęciami, obyczajami i swoją niesławą do dawnej Polski podobny, nie przeminął całkowicie, i dziejów naszych nie zamknął, bez oddania czci Stanisławowi. Po ogłoszeniu konstytucyi 3. maja, gdy w roku 1792 miano obchodzić jej rocznicę, umyślono oddać dzieło odrodzenia Polski pod opiekę jej wielkiego Świętego. W tym celu proszono papieża, aby uroczystość św. Stanisława, w kraju naszym, przeniósł na dzień 3. maja. Choć papież przychylił się do prośby, myśl nie weszła w wykonanie. Konfederacya targowicka, objąwszy rządy, domagała się w Rzymie aby postanowienie papieskie było odwołane. I tak się stało; dzień 3. maja, rocznica konstytucyi, pozostał i dla Polski, dla Polski szczególnie — dniem Znalezienia krzyża Pańskiego.

Najpierwszą z ziem polskich, która po rozbiore, straciła swego patrona, była Galicya. Cesarz Józef II, który wszystko na nowo a po swojemu lubiał urządzać, uznał, że każdy kraj monarchii Habsburgów może mieć tylko jednego patrona, a że w Galicyi wschodniej czczono przytem św. Michała, więc św. Stanisław usunięty. Dzisiaj, gdy tyle ran przeszłości zostało w tym kraju szczęśliwie zagojonych, czy nie należałoby i tę stratę nagrodzić i przywrócić Galicyi dawnego ziem piastowskich i jagiellońskich opiekuna? Oto co mówi ojciec historyków naszych: »Objawionem to było lu-

dziom świętobliwym, że za karę zbrodni popełnionej na Słudze Bożym, przez króla Bolesława i jego rycerstwo, Królestwo polskie wraz z ziemiami doń przynależnemi, na tyle części rozsiekanem będzie, na ile rozsiekane było ciało Świętego; i że po kilku wiekach, gdy Polacy zostaną upokorzeni i skruszeni a Bóg przebłagany, zrosną się znowu te części, jako zrosło się ciało Męczennika, bez żadnego śladu dawnej blizny. Której to przepowiedni teraz już wiadomej, spełnienie, jako wiek poprzedni widział, a nasz widzi i doświadcza, tak i wiek przyszły za łaską Chrystusa Pana, zobaczy».



IV.

O czci świętych Patronów polskich¹⁾.

Admirabilis Deus in sanctis
suis, in quibus et exemplum nobis
constituit et praesidium.

Najprzewielebniejszy Arcypasterzu! ²⁾

Powiedziano o religii katolickiej, że jest przede-
wszystkiem religią rozsądną, i ta myśl przychodzi mi
tutaj, gdy z okazji uroczystości, którą dopieroco odby-
liśmy, pragnę mówić o czci ŚS. Patronów polskich. Cóż
w istocie rozsądniejszego, jak stawiać ludziom na wzór
wielkich mężów Kościoła, wielkich dobroczyńców na-
rodu! Alboż można wznieść umysł w górę, a nie oder-
wać się od ziemi? I złe i dobre przyciąga do siebie,
jest zaraźliwe, i niepodobna jest choćby myśłą tylko ob-
cować z jakimś świętym człowiekiem, a nie doznać na
sobie skutków tej błogiej zarazy! Cóż roztropniejszego
i pożyteczniejszego zarazem jak przyzywać pomocy wier-
nych sług i przyjaciół Bożych! Bóg rządzi światem,

¹⁾ Kazanie powiedziane w Krakowie, na Skatce, d. 10. maja 1883.

²⁾ Kazanie powiedziane było w obecności Najprz. Jmć X. Dunajew-
skiego, biskupa krakowskiego.

rządzi każdym z nas; to Jego prawo Pana i Stwórcy; i nic to nie znaczy, czy my to prawo uznajemy albo nie, czy o niem wiedzieć chcemy albo nie chcemy; to nie ukróci prawicy Bożej i nie przeszkodzi temu, by swą władzę najwyższą nad nami sprawował. Tylko skutki Jego rządów mogą być dla nas całkiem odmienne. On rządzi błogosławieństwem, które przynosi Jego święta między nami obecność, kiedy ją życiem i modlitwą do siebie ściągamy; lecz jeżeli w sercu naszym i w pamięci niema miejsca dla Niego, wtedy szeregiem nieszczęść, ponownemi klęskami, piorunami gniewu swego nam przypomina, że jest Panem, że od Niego nasza dola lub niedola zależy, że cześć i bojaźń Jego jak pierwszym jest naszym obowiązkiem, tak pierwszym warunkiem naszej mądrości i poprawy. Otóż, i błogosławieństwo Boże dla nas wyprosić, i ciosy gniewu Bożego od nas odwrócić może Świętych Pańskich wstawienie się i przy czynia. Ażaliż Bóg odmówi czegokolwiek tym, którzy mu za życia nic z siebie nie odmawiali? Więc prośby nasze, za ich możnem orędownictwem, znajdą łaskawe u Pana przyjęcie; On nie spojrzy na naszą niegodność, widzieć tylko będzie ich miłość i zasługi.

I czyż może być właściwsze miejsce, aby o nich do Was przemówić, Najmilsi Bracia, niżli tutaj, gdzie padła ta święta głowa, którą dopieroco pobożnie przenosiliśmy, gdzie wylała się ta święta krew, której ziemia polska całą swą urodzajność, całe bogactwo duchowe zawdzięcza! Owi Święci, to potomstwo Stanisława; to jak on, rzecznicy i wodzowie nasi, przez których Pan swoją myśl i swoją wolę narodowi objawiał. Z wysokości, do której ich Bóg powołał, patrzą na ten naród, z którego wyszli, gotowi nas wesprzeć i w prywatnych i publicznych potrzebach, bylebyśmy tego żądali. Czeka ją modlitw naszych. Długo czekają!... Bo choć w tej świątyni i w tej przesławnej dyecezyi wszystko przypo-

mina Stanisława, wszystko nim żyje i jego tradycją, to jednak ze smutkiem powiedzieć trzeba, że gdzieindziej tak nie jest, że gdzieindziej i o nim i o innych Patronach polskich jakby zapomniano; zapomniano tych wielkich usług, których od nich doświadczyliśmy; ów żywy stosunek, który nas z nimi wiązał, jeśli nie zerwany to nadwątlony bardzo, z naszej winy.

Czy nie czas, drodzy Bracia, odnowić ten święty węzeł? Leży to w naturze naszej, że co czcimy i kochamy, tego dla siebie i dla drugich pragniemy, do tego dążymy całym sercem. Co się uwielbia w przeszłości, to się i na przyszłość zasiewa. Spróbujmy więc przypomnieć dawne zasługi naszych ukochanych Świętych, a może to słowo trafi do serc waszych, przez was przejdzie do innych, i stare nabożeństwo do Patronów naszych, dawną tradycję polską i katolicką w duszach polskich rozbudzi na nawo, za przyczyną Pani i Królowej naszej i pod Twojem błogosławieństwem, Najprzewielebniejszy Arcypasterzu.

Zdrowaś Marya.

I.

Jeden z dawnych królów francuskich, odniósłszy walne nad nieprzyjacielem zwycięstwo, w tych słowach doniósł o niem swej żonie: »Przyznaj Pani, iż w tym dniu pamiętnym, Bóg się okazał dobrym Francuzem«. Wyrażenie, jakbyśmy dziś powiedzieli, godne szowinizmu francuskiego, ale przynajmniej o tyle lepsze, że Bogu przypisano zwycięstwo, czego później nie czyniono. Jeśli wolno było jednemu z najcelniejszych francuskich kaznodziejów użyć w kościele tego wyrażenia, to i mnie tembardziej wolno będzie powiedzieć, że nie w jednym tylko dniu, lecz przez całą przeszłość naszą, Bóg się

okazywał Ojcem niewymownie dobrym dla Polski, wyrozumiałym bez końca, odwłócznym w karze, pospiesznym w nagrodzie, troskliwym o naszą poprawę. Jest między Kościołem Bożym a Polską związek głęboki, tajemniczy, a jednak widny w swych następstwach dla oka, którego nie zaślepiła niewiara; a ta nić złota, co nas wiąże z Kościołem, jak przez wieki jaśniała w dziejach, tak i dzisiaj przebija jeszcze w naszym życiu codziennem. Spróbujmy usunąć z naszego kalendarza domowego to wszystko, co wyszło z Kościoła, a wnet się przekonamy, że nie zostanie w nim nic, prócz suchości i nudów powszedniego życia. Podobnie i z historią naszą; gdybyśmy wyrzucić z niej chcieli myśl i tradycję katolicką, czy wielebyśmy w niej znaleźli rzeczy godnych pamięci i chwały? Tak się związały z sobą te dwa organizmy, Kościoła i Polski, że co jednemu służy, tem i drugi rośnie. Każde mocniejsze zatętnienie w nas życia katolickiego, każde szersze związanie się z Kościołem, krzepi duszę Polaka, krzepi i ducha narodu, przydaje nam spokoju, czerstwości, mocy i otuchy w walce. Przeciwnie, każde zachwianie się w wierze, odstąpienie od zasad i przykazań Kościoła, sprowadza na nas niechybnie dziwny zawrót i majaczenie w głowach, rozstrój w duszy i w życiu, klęski osobiste i narodowe, zwątpienie i w końcu, albo zubożenie, albo rozpacz. Tak jest dzisiaj i tak było w przeszłości. Każdą wielką usługę oddaną przez nas Kościołowi, Bóg odpłacał sowing wzrostem chwały i potęgi państwa; i naodwrot, wszelkie sprzeniewierzenie się interesom Kościoła albo ich zaniedbanie, ściągały na nas szereg klęsk i niesławę; — że tu na dowód przypomnę, z jednej strony, kanonizację świętego Stanisława, nawrócenie Litwy albo odsiecz Wiednia, a z drugiej, fatalną sekularyzację Prus albo równie fatalną o Rusi i o Unii niepamięć. Prawdzi się co do joty w dziejach naszych

to słowo Chrystusa Pana: »szukajcie naprzód królestwa Bożego i jego sprawiedliwości, a reszta« — ta wielka reszta, to jest moc, bogactwo, znaczenie i sława narodu — »będzie wam przydaną«. Tryumf Kościoła, gdziekolwiek bądź, był zawsze wygraną Polski i będzie nią zawsze, jak ucisk Kościoła schodził się zawsze z czasem naszej niedoli i naszego podeptania od świata.

Wszystko to są rzeczy znane, ale jednak nie do tyła, aby nie było potrzeby od czasu do czasu ich przypominać i zatwierdzać je w umysłach nanowo. Co jest mniej znane, co tendencyjnie albo przez nieśmiałość w naszych czasach bywa pomijane, to udział Świętych w najważniejszych naszych wypadkach dziejowych. Bóg dał nam możnych patronów, i o nich, na wzór owego króla francuskiego, powiedzieć się godzi, iż okazywali się dobrymi Polakami, a nie w jednym tylko dniu, ale przez całą przeszłość, za życia i po śmierci; za życia dając silny popęd ku dobremu, prostując ścieżki Pańskie przed narodem, po śmierci służąc jako wał obrony odezłego: *et exemplum et praesidium*.

Na umęczonych kościach św. Wojciecha oparła się nasza niezawisłość polityczna. Gdyby nie ofiara, jaką on poniósł ze swego życia za wiarę, gdyby nie cześć, którą wzbudził w Ottonie, i która przywiodła tego ostatniego do Gniezna, niełatwoby nasz Bolesław, mimo całej swej dzielności, dokupił się uznania od cesarstwa, aniby znalazł był, wśród niemieckich książąt, życzliwych sprzymierzeńców, którzy mu walkę zbyt nierówną ułatwiali. Rzecz to już przyznana nawet przez historyków, których o stronność dla Kościoła posądzać nie można. A jak grób Wojciecha stał się podwaliną politycznej niepodległości, tak znowu męczeństwo Stanisława wprowadziło Polskę na drogę prawdziwej cywilizacji i młodemu państwu dało chrzest katolicki. Bez niego, Polska pozostałaby najpewniej jakimś carstwem słowiańskim

na wzór Rusi, z monarchą despotycznym, któryby panem był zarazem Kościoła i kraju, i także na wzór Rusi, skończyłaby swój żywot w niewoli tatarskiej. Że do tego nie przyszło, że owszem, z prób i zapasów dwuwiekowych wyszła odrodzona, duchem katolickim na wskrós przenikniona, owoc to krwi Stanisława. Tę jego wielką usługę dziejową, to piętno cywilizacyjne, które biskup krakowski ofiarą swoją wycisnął, naród uznawał przez wszystkie wieki, czcząc go jako swego ojca. Kiedy za staraniem naczelnika piastowskiej dynastii, Kościół ogłosił go Świętym i z Krakowa rozesłano jego relikwie do cenniejszych świątyń rozdzielonej Polski, wnet zaczęły się kleić drobne cząsteczki piastowskiej spuścizny i zapomniana korona Chrobrego zajaśniała znowu na głowie polskiego księcia. Płowce i Grunwald, to także dwa dowody opieki naszego Patrona; nikt pod Grunwaldem nie wątpił, że ta największa polskiego oręża przewaga owocem była modlitw i błogosławieństw świętego biskupa.

Książkęby trzeba napisać, i w istocie książki o tem pisano, aby wyliczyć publiczne i prywatne zasługi Stanisława i oznaki wdzięczności przez naród mu składane. Kiedy Jagiełło swe ojczyste dzierżawy połączył z Koroną, nie miał nic pilniejszego jak razem z wiarą katolicką i cześć dla naszego Męczennika przenieść na Litwę, jakby na znak, że gdziekolwiek ramię Polski sięga, tam i Stanisław znanym być musi, że jej panowanie a nawet jej życie od czci dla niego nieodłączne. A jak głęboko było to zawsze przez Polaków rozumiane i poczone, niechaj z pośród mnóstwa dowodów, ten jeden dobrze znany, wolno mi będzie przypomnieć. Na tem miejscu gdzie wy, Bracia moi, w tej chwili się modlicie, modlili się przez wieki królowie nasi, od Łokietka począwszy aż do Augustów. Zanim korona Chrobrego uwieńczyła ich skroń, wstępem do ich rządów,

przygotowaniem się do królewskiej godności, była pielgrzymka przez nich na Skałkę odbyta, jak my ją teraz odbyliśmy, i pokorna do Świętego modlitwa, aby ich państwo i panowanie przyjął łaskawie pod swoją opiekę. Wielkie serca tu błagały Pana, i nie pierwsza z oczu waszych łza spłynęła na tem miejscu za Kościół i ojczyznę!...

Bóg przez Świętych prowadzi narody po drogach, które dla nich przeznaczył, choć one o tem nie wiedzą; biada narodowi, w którym zabraknie świętości; albo czekają go straszne krzyże, albo dni jego już policzone. Po Stanisławie Jacek, wielki sługa Boży, wielki chorąży narodu. On pierwszy wytknął tor, którym Polska, krwią Stanisława w zasadach katolickich utwierdzona, kroczyć miała później w swym historycznym rozwoju. Głosząc wiarę, szedł on naprzód ku wschodowi i na północ, jak i jej miało to być zadaniem. W Przemysłu, Haliczu i w Kijowie, jak w Gdańsku i Rydze, on pierwszy kościoły budował, przy nich swych braci zostawiał, a gdzie łacińska stanęła świątynia, tam i wnet polska kupiła się osada; i tak powoli zbierały się kamienie do późniejszej wspaniałej budowy, którą Jacek w natchnieniu Bożem dla nas zakreslił. Jak daleko doszło jego słowo apostołskie, tak daleko dojść miało, we dwa lub trzy wieki później, panowanie polskiego słowa i polskiego oręża.

Mamże wspominać o trzebnickiej Jadwidze, która przybraną ojczyznę jak własną ukochała, a żyjąc w czasach największej niedoli i rozdarcia Polski, wszystkich starań dokładała, by skłóconych książąt pojednać, związać ich razem przeciw pogańskiej dziczy, i gdy ta dzicz od wschodu nadbiegła, własnego syna dała na ofiarę! Obok niej jakże piękna, jakże wzniosła swą czystością, swym rozumem, swoim męstwem, Święta Kinga! Jeśli waśnią domową zubożała Polska mogła się zdobyć

wówczas na jakąś od Mongołów obronę, jej to było zasługą, ofiarą jej posagu, za który po trzykroć hufce polskie wysyłała do boju; jak później, gdy powódź barbarzyńców odpłynęła, skarbami serca swego, ona ratowała spustoszoną ziemię, wygłodzoną ludność. Zaprawdę, nie wiedzieć co w niej bardziej podziwiać: hart męski, czy miłosierdzie Świętej, dzielność monarchini, czy pokorę mniszki!...

A o tej drugiej Jadwidze, doprawdy, to już zbyt cenna tu mówić, tak ona drogą sercu polskiemu, taką cześć i wdzięczność mamy dla niej wszyscy. Najwyższe poświęcenie, na jakie niewiasta zdobyć się może, uczyniła z siebie dla dobra Kościoła i kraju; miliony dusz pozyskała niebu, trzy wieki potęgi i chwały zapewniła Polsce. A po tej ofierze, już raczej duchem niż ciałem żyjąc na tej ziemi, była jej Aniołem Stróżem. Troskliwa o związek Polski z Litwą, o prawa Korony do Rusi, jej to w znacznej części dziełem, że na Rusi po polsku dziś mówią, że chwałę Boga i Jego Świętych w tym języku głoszą. *Semper de pace sollicita, de salute patriae curiosa* — jakże ona zapobiegała każdemu niebezpieczeństwu, każdą potrzebę zdaleka obmyślała, każdą nieprawość usunąć starała się; Boga nadewszystko ukochawszy, kraj ten w Bogu ukochała, i Bóg dał jej taką mądrość i miłość, że drugiej niewiasty, podobnej do Jadwigi, w naszych dziejach nie znajdzie. Nic jej nie brakowało, by Kościół uznał jej świętość, ani cnót heroicznych, ani krzyżów i upokorzeń, ani cudów, które powtarzały się przy jej grobie, ani czci wiernych przez cały wiek XV, nic, prócz naszej staranności! Kiedy przed niewielą laty proszono Piusa IX, aby Joannę d'Arc ogłosił świętą: »zrobię to najchętniej, odrzekł Papież, tylko dajcie dowody, że tego Bóg chce; pokażcie jej cuda pośmiertne«. Tak i z naszą Jadwigą. Prośmy o takie dowody, prośmy, aby odnowiły się te cuda,

które temu cztery wieki przy jej grobie były głośne, a może Bóg da, że co się dawniej zaniedbało, to dzisiaj da się jeszcze odrobić, i że ta, która dla narodu była niegdyś ukochaną matką, stanie się dzisiaj jego opiekunką w niebie!...

Te trzy święte niewiasty, obok innych, jak Salomea, Bronisława, Jolanta, pozostaną na zawsze ideałem polskiej kobiety, świętym i uroczym wzorem dla dziewicy, żony, matki i wdowy. Polka o tyle wyższą jest od niejonej cudzoziemki, że sprawy Kościoła i sprawy ojczyzny nigdy dla niej obojętne nie będą; o tyle wyższą od mężczyzn, iż nigdy Kościoła od ojczyzny nie oddzieli. Niewiasta wierzy w to, w co nikt jeszcze nie wierzy lub w co już wszyscy wierzyć przestali, a ta jej wiara głęboka, ta jej nadzieja wbrew nadziei, talizmanem jest naszego życia, rękojmią odrodzenia.

II.

W wieku XV Kraków był miastem Świętych. W jego murach żyją; mistrz chrześcijański i miłośnik wielki, Jan Kanty; mężowie apostołscy, jak Szymon z Lipnicy, Jan z Dukli, Świętosław; pokutnicy, jak Stanisław Kazimirczyk, Michał Gedroyc, Izajasz Boner i królewski młodzieniaszek Kazimirz. Śliczne to grono Świętych wydała akademia krakowska, gorliwość krakowskich biskupów i potęga słowa i przykładu Kapistrana; podobnego jemu nie znajdzie wówczas w Europie, chyba we Włoszech. Bóg gromadził w starej królestwa stolicy silny zapas wiary i świętości, aby wstrzymać i przetrzymać inwazyę protestantyzmu, jaka z wiekiem następnym miała spaść na Polskę. Jednym z najcichszych pomiędzy nimi, choć z królewskiego rodu, był Kazimirz; życie jego przebrzmiało w takim ukryciu, że ledwo ślad jakiś po nim w historii pozostał.

Jakże głośnym stał się on za to po śmierci! Co Święty Piotr wyrzekł do pierwszych chrześcijan: »postaram się, bym i po zejściu mojem, często miał was w pamięci«, to i Kazimirz mógł do swych rodaków powiedzieć; i tej jego pośmiertnej pamięci przytoczę dowód.

Kiedy brat jego, król Zygmunt zatrudniony wojną od Zachodu z przeniewierczym Krzyżakiem, musiał być na Wschodzie zostawić bezbronne granice, armia moskiewska najechała Litwę. Wyruszyło przeciw niej kilka tysięcy rycerstwa, bo na razie większej siły zebrać się nie dało. Wojsko moskiewskie rozłożyło się po prawej stronie Dźwiny, której przeprawy bronili Polacy, stojąc pod Rożaną z lewej strony, i nie myśląc bynajmniej o zaczepieniu mocniejszego nieprzyjaciela. Wtem, niespodzianie, przed obozem polskim zjawia się młodzieniec w śnieżnych szatach, nadobnej i wspaniałej postaci, i unosząc się w powietrzu i podniósłszy rękę, woła do swoich: *za mną, za mną bracia!* Rycerstwo odgadło odrazu, kto był ten wódz, co ich wzywa do boju; »Kazimirz, Kazimirz!« zawołali i rzucili się w rzekę. Zjawisko było tak uderzające, wrażenie tak potężne i wszystko się stało z tak niewypowiedzianą szybkością, że zanim Moskwa miała czas uszykować się do boju, już Litwa siedziała jej na karku, gromiąc, siekąc, pędząc przed sobą. Krótka trwała walka; z sześćdziesięciotysięcznej armii część legła na placu, reszta uciekła na cztery wiatry; tryumf, o którym nikt nie marzył, był zupełny. Stało się to w roku 1519.

W sześćdziesiąt lat później, król Stefan dla uczczenia świętego miejsca, w którym Królewicz się objawił, kazał zbudować w Rożanie kościół i, wraz z kolegium, oddał go Jezuitom. I w tej świątyni ukazał się znów Kazimirz; tą razą nie swoim, lecz nieprzyjacielowi. Było to za Jana Kazimirza; Szeremetiew z wielką armią zalał pół Litwy, a przyszło mu to tem łatwiej, że

Rzeczpospolita z wielu naraz stron przyciśnięta, o odparciu nowego wroga myśleć w pierwszej chwili nie mogła. Kazimirz czuwał, aby Moskwa miast i kościołów nie niszczyła i o to wodza w okolicach Połocka strofował. Zapytywał Szeremetiew miejscowych obywateli, jacyby byli Patronowie tego kraju? »Jozafat«, odpowiedziano. »Wiemci ja o nim, ale to nie ten«. »Więc Kazimirz«, rzekli. »Ah, tak, tak, odpowiedział, zawsze on dla nas był ciężki!« Zdarzyło się w ciągu tej kampanii, że wojsko moskiewskie przechodziło przez Rożanę, a że to był dzień skwarny, Szeremetiew kazał konie wprowadzić do kościoła. Znowu Królewicz ukazał się jemu i wtedy to wyrzekł ową pamiętną przepowiednię; »Grzechy Polaków ściągnęły na nich zasłużoną karę, którą długo cierpieć będą musieli, ale w końcu Bóg da się przebłagać, a schyzmę za Wołgę przepędzi!« Od dwóch wieków te słowa, i w Rosyi i u nas są znane i w wielu księgach zapisane; i w twardych przeprawach, przez które nasza Litwa ukochana przechodzi, dla wielu są pokrzepieniem i do wytrwania zbawienną zachętą.

Nie chciałbym, moi Bracia, przedłużać zbytecznie tej mowy i cierpliwości waszej nadużywać; więc w krótkich tylko słowach wspomnę o innych Patronach. A najprzód o Janie Kantym, opiekunie nauczycieli i młodzieży uczącej się, dziś od wielu zapomnianym, którego Stolica Święta dała narodowi za Patrona, w chwili gdyśmy zaczynać mieli pogrobowe życie. »O Ty, który nikomu nie odmówiłeś za życia (*O qui negasti nemini*, woła Brewiarz katolicki), Janie chwalebny, strzeż swego ojczyzstego królestwa; o to cię proszą mieszkańcy Polski i całego świata!« Niebywałym w dziejach przykładem, papież Klemens XIII kazał wpisać tę modlitwę za kraj pojedynczy, za Polskę, do modlitw powszechnego Kościoła, snąc dlatego, byśmy wśród pokus i ciemności pogrobowych nie zbczyli z drogi.

O Stanisławie Kostce cóż powiem? I tu znowu, osobnegoby potrzeba kazania, aby opowiedzieć tylokrotne objawy jego pośmiertnej troskliwości i tej żywej czci i wdzięczności, którą naród temu anielskiemu młodzieniaszkowi okazywał. Czem Stanisław biskup był dla Polski, od XIII do XV wieku, tem Stanisław Kostka był przez cały wiek XVII. I w wojnie chocimskiej i w wielkiej bitwie pod Beresteczkiem i w kilku pomniejszych potyczkach z tego czasu, znaną była i powszechnie uznawaną nadziemską interwencją Stanisława Kostki; i pod wpływem tego ogólnego przekonania i usilnych prośb z Polski, od królów, senatorów, biskupów i miast, Stolica Święta uznała go błogosławionym i, także wbrew zwyczajowi, pierwej nim był kanonizowany, dała go Polsce za jednego z głównych Patronów.

Nakoniec, ostatni z kanonizowanych, św. Jozafat, przesławny Apostoł Rusi, o którym powiedzić trzeba, *że położon jest na upadek i na powstanie wielu, i na znak, któremu sprzeciwiać się będą;* i którego Pius IX postawił na ołtarzu, aby nam w ciężkiej zaprawdę chwili, dać nowego u Boga przyczynę i przypomnieć, tak dobrze nam jak Rusinom, świętą względem Unii powinność, ani przez nich, ani przez nas, nigdy wiernie niespełnioną.

Od Wojciecha aż do Jozafata, ileż to cudownych zdarzeń w dziejach naszych, ile dowodów troskliwości Świętych Patronów o los kraju, ile gorącego udziału w potrzebach i niebezpieczeństwach ojczyzny! I wszystko to trwa i powtarza się przez całą przeszłość, aż do końca XVII wieku. Ale nie dłużej; później te nadziemskie pomoce ustają, już ich zgoła nie widać!... A dlaczego tak? Dlaczego w epoce, w której największe gromy spadały i spadają na Polskę, dlaczego w XVIII

i XIX wieku, nikt nie słyszał, nie czytał, żeby który Święty polski zstąpił z nieba i przyniósł ratunek w naszych biedach, których jest tak wiele? Dlaczego nie przychodzą nam z pomocą w czasie, w którym ona najpożądańsza? To tajemnica, jednak nie tak znowu zakryta, aby jej okiem wiary przeniknąć nie było podobna. »Wszystkie rzeczy mają swój czas, mówi Mędrzec Pański, *omnia tempus habent*. Jest czas szczepienia i czas wrywania tego, co zaszczepiono«; czas zasługi i czas kary. Można karę upредить żalem i pokutą, ale gdy chwila sposobna minie nieużyta, kara musi wypełnić się aż do dna. Mówi niemiecki poeta: »Młyn Boży miele zwolna, ale miele aż do ziarnka; i choć długo się ociąga, nic nietkniętem nie zostawi«. Jest i druga przyczyna, której uczy katechizm. Bóg zna potrzeby nasze, ale chce, abyśmy o ich zaspokojenie prosili. Czy wiele u nas modlitwy? Zeszłego roku zesłał Bóg na ten kraj klęskę deszczów, które najbujniejsze urodzaje w połowie zniszczyły. Czy wielu ludzi prosiło o odwrócenie tej klęski? Jeden się modli, dziesięciu przeklina; kogóż Bóg ma wysłuchać? Każdemu narodowi, miastu i parafii dał w niebie Orędowników i żąda, iżbyśmy ich pomocy przyzywali. Oni możni są w potrzebie choćby cudem nas poratować, lecz możni jedynie naszą w nich ufnością i modlitwą do nich; bez prośb ludzkich nic oni zawycząj dla ludzi nie mogą. Tak Bóg postanowił mądrze i opatrnie, i my temu podlegać musimy.

A teraz pozwólcie zapytać, drodzy Bracia, cóż my wiemy o Świętych Patronach Polski; jaką cześć im oddajemy; czy swoje, a zwłaszcza kraju i Kościoła potrzeby, polecamy ich opiece?... Bezwątpienia, Kościół odprawia ich *officia*, zakony modlą się do polskich Świętych, zwłaszcza kiedy wyszli z ich grona, chłop polski czi św. Stanisława i swoich bliższych Patronów — ale reszta narodu?... Mianowicie też klasa możniejsza, wy-

kszałcona, która choć całym narodem nie jest, jednak o losach jego decyduje, cóż wie o Patronach polskich; czy kiedykolwiek, w największej nawet niedoli, przyjdzie jej na myśl zażądać ich orędownictwa; czy przypuszcza, iż się to przyda na co? Nawet osoby pobożne nie czynią pod tym względem wyjątku. Pewna niewiasta, szczerze oddana Kościołowi i ojczyźnie, kiedy ją pytałem, wyznała otwarcie, że się nigdy nad tem nie zastanawiała. »*Non est qui oret, non est usque ad unum*«, tak dalece zatarła się pamięć ich dawnej zasługi, zerwał się ten węzeł serdeczny, który nas kiedyś wiązał z nimi. I to nie dziś dopiero, tak jest od dwustu blisko lat. Od dwustu lat, jak wiadomo, przeważa u nas wpływ cywilizacyi francuskiej; czy zawsze z korzyścią dla ducha narodowego, o tem długo byłoby mówić. Jeżeli w przeszłym wieku był on niezaprzeczenie fatalnym, bo zachwiał w nas wiarę, ostudził pobożność, rozwolnił obyczaje; to za naszych czasów powiedzieć można, że obok dobrych i arcydobrych stron, ma on także, dla nas zwłaszcza, pewne strony ujemne. Wpływ ten nawrócił wyższe klasy, w znacznej części, albo nawraca do Boga; więcej się one modlą niż przed pół wiekiem, i ściślej wiążą swe życie z modlitwą, ale modlą się jeszcze, że tak rzekę, w sposób pożyczany. By nie zbaczać od przedmiotu powiem krótko, że jak w zeszłym wieku niewiara francuska była przyczyną, żeśmy o Świętych polskich zapomnieli, tak znowu w obecnym, pobożność francuska żywcem do nas przeniesiona, sprawiła między innymi i to, żeśmy tych Świętych dotąd sobie nie przypomnieli. I z serca i z pamięci wyszli nam ci, których przecież Bóg dał na to, aby byli naszymi wodzami i opiekunami. A skoro tak, cóż za dziw, że i oni, mimo całej swej dla ojczyzny życzliwości, nic jej dopomódz nie mogą. Jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie. My się do nich nie garniemy, oni czekać muszą...

Czy czas tego przypomnienia dla jednych, upamiętania dla drugich, nie nadszedł dzisiaj, po tylu próbach, zawodach i bolesnych stratach? Czy wobec niebezpieczeństw, które w każdej prowincyi, w jednej mniej, w drugiej więcej, w ten lub inny sposób, zagrażają imieniu i życiu narodu, jak dotąd nigdy, czy jest roztropnem nie szukać z góry ratunku, którego na ziemi tak mało; mieć tak możnych i chętnych przyjaciół tam, a nie dbać o ich pomoc tutaj; czy nie czas wrócić na dawne polskie i katolickie tory, na których lepiej nam się wiodło? Wszak nie brakuje nam z przeszłości wielkich przykładów i zachęty. Dzielny Łokietek przejęty był czią najgłębszą dla św. Stanisława, i ufał, że z jego pomocą piastowskie odzyska dziedzictwo; Czarnecki i Sapieha za hasło do bitwy dawali swym żołnierzom imię św. Jozafata; Sobieski w twardych przeprawach zwykły był wołać: »ratuj Kostko« i wiemy, jak go ratował! Czy wobec takich bohaterów i wodzów gienialnych, którzy stanowią chwałę narodu, ważyć w nas będą szyderstwa i mędrkowania niemieckich albo ziemczyłych liberałów? Albo, kiedy patrzę na Jadwigę, jak modląc się przed Ukrzyżowanym w katedrze na Wawelu, wyprasza sobie najheroicniejsze postanowienia; kiedy słyszę, że Batory troszczy się tak wielce o pamięć cudów Kazimirza; kiedy wspomnę, że Chodkiewicz nie chciał iść do boju, zanim sobie wyprosił błogosławieństwo św. Królewicza, mamże oglądać się na to, że ktoś tam wątpi i potrząsa głową, dlatego, że o tem wszystkim z katedr wiedeńskich albo berlińskich nie słyszał? Wolę korzyć się z tymi, co się niegdyś korzyli i podziwiać ich wielkie czyny, niż wątpić z tymi, co dziś wątpią i nie mieć w nich — nic do podziwienia! — Najbogatszym z przeszłości dziedzictwem, najświetniejszą chwałą; dodajmy, najbardziej naglącą potrzebą — i socyjalną i polityczną — jest dla każdego z nas i dla całej Pol-

ski święta wiara katolicka. Polak nie może się jej wyprzec, nie wypierając się przeszłości i nie zrzekając się zarazem przyszłości. Czem żyliśmy dawniej, tem tylko dziś żyć i odżyć możemy, i służąc Bogu w ziemskiej ojczyźnie, dokupić się tam Ojczyzny wiekuistej.

Amen.

V.

Przemówienie przy ślubie

Emeryka Matuszewicza z Antoniną Skibniewską

we Lwowie, dnia 24. kwietnia 1884 r.

Najmilsi Moi!

»Czy też oni będą ze sobą szczęśliwi? Boże daj, aby byli szczęśliwi!« — Oto, moi drodzy, gorące westchnienie, które w tej chwili wrywa się po cichu z głębi duszy waszych matek, waszego rodzeństwa i waszych najbliższych przyjaciół, którzy was tak szczerze i serdecznie kochają. »Boże daj, aby byli z sobą szczęśliwi!«

I dlaczegoż byście nie mieli być szczęśliwi, kiedy wszystko w waszem małżeństwie ku temu się składa? Oboje jesteście młodzi, pełni sił i czerstwości i tej wrodzonej wesołości ducha, która każdy stosunek umiła, każdą dolę znośniejszą czyni. Oboje uczciwie wychowani i z zacnego pochodzicie gniazda, a to jedno jest rękojmią, że stara tradycja polska i katolicka w waszem się stadle przechowa i do następców przeniesie. Oboje wreszcie Bóg obdarzył środkami materyalnymi, które sprawiają, że życie wasze stanie się łatwiejszem i że wielu przykrości nie doznacie. Wszystko więc, powtarzam,

w waszem małżeństwie tak się wiąże, iżbyście byli szczęśliwymi.

Ale ja nie z tego tylko wróżę dla was szczęście; bo wprzódby porozumiećby się należało, na czym ono rzeczywiście polega. Czy życie łatwe, wygodne i we wszystkie obfitujące wymysły, przynosi koniecznie szczęście! Ach nie, boć wiemy dobrze, że przy tem wszystkim można się skwasić, sobie i drugim życie obrzydzić i być — jeżeli nie bardzo nieszczęśliwym, to bardzo a bardzo znudzonym. Albo to może jest szczęściem, że życie płynie gładko, spokojnie, potoczycie, że na horyzoncie naszym żadna nie postanie chmurka? I to nie, boć każdemu przeznaczona jest pewna liczba krzyżów i krzyżyków i że Ten, co tę liczbę oznacza, wie lepiej od nas co do naszego szczęścia potrzebne. O człowieku, coby żadnej nie zaznał przykrości, żebym tuszył za prawdę, bobym musiał przypuścić, że za wszystko wzięt na tym świecie zapłatę i że na tamtym żadnej mu Bóg nie chowa nagrody. A zresztą jesteście Polacy; a czyż w domu polskim może być szczęście zupełne, kiedy go niema w ojczyźnie?...

A więc gdzie indziej trzeba szukać prawdziwego szczęścia. Gdzież więc? W spokoju sumienia, w uczuciu wiernie spełnionego obowiązku. Obowiązek to rzecz wielka, to główna podpora naszego życia, to drogoskaz nieomylny, to poręcz, która się nigdy nie chwieje! Obowiązek względem Boga, a wraz z nim wszystkie inne, które przyjmujecie. Obowiązek względem siebie nawzajem, względem rodziny, którą was Bóg obdarzy, względem waszej czeladzi domowej, która jest także rozszerzoną rodziną, względem ludności wiejskiej, z którą mieszkać będziecie i która, choć pańszczyzny dziś nie odrabia, nie przestała być waszemi dziećmi, jak wy nie przestaniecie być dla nich ojcem i matką. A dalej obowiązki sąsiedzkie i publiczne, od których żaden szlachcic

polski uchylić się nie ma prawa; i ten wielki obowiązek, o którym nadewszystko pamiętać będziecie, że wasz dom to twierdza warowna, w której uczucia polskie i katolickie stać muszą mocną załogą, a ta załoga nigdy a nigdy poddać się nie może!...

Byłoby dzieciństwem mniemać, i wy też moi drodzy tak nie myślicie, że tyle i tak ważnych obowiązków można dopełnić bez przeszkód i bez cierpienia. Gdzieżby była wasza zasługa? I nie o to też chodzi; ale o to, by sobie pomagać nawzajem w dźwiganiu wspólnego brzemienia. I to jest właśnie drugi warunek szczęścia w małżeńskim pożyciu: wzajemna ufność, wzajemna podpora, wzajemne do męstwa i wytrwałości zagrzanie! »Biała samotnemu, mówi mędrzec Pański; lepiej dwiema być społem niż jednemu, bo mają pożytek ze swego towarzystwa. Jeżeli jedno upadnie, drugie go podeprze. Biała samotnemu, bo jeżeli upadnie, niema ktoby go podniósł!« Wy moi drodzy, jestem tego pewien, będziecie się dźwigać i podnosić nawzajem; jedno drugiemu rozpogodzi zasępione czoło, jedno drugiemu otrze z oczu łzy; a tak wzajemnie słodząc sobie przykrości, doznacie wielkiej ulgi i wielkiego pokrzepienia. Bo jeśli w stadle małżeńskim mężczyzna jest monarchą, to żona jest jego Senatem, jego wierną Radą; roztropny monarcha nic nie poczyna bez wiedzy swego Senatu. Wspólne będą wasze zamiary, wspólne ich wykonanie, a owoc prac waszych — od Boga!...

Otóż, moi drodzy, świadomość spełnionego poczciwie obowiązku i wzajemna w życiu podpora, to są dwa nieodzowne warunki szczęścia w małżeństwie. Takiego ja dla was mocno się spodziewam. A dla czego? Bo idziecie z Bogiem, bo się z Nim poważnie i z bojaźnią liczycie. Niedalej jak wczoraj widziano was razem u Stołu Pańskiego. Tam On już wasze dusze połączył, jak

dzisiaj, w Jego imieniu, ja wasze ręce połączę. I odtąd pójdziecie razem, ręka w rękę, po drodze waszego żywota, ufni, mężni i wdzięczni Panu za wszystko co na was przyszło, i w sędziwej starości staniecie przed Tronem Przedwiecznego, oczekiwać od Niego miłosiernej zapłaty.

Amen.

VI.

Przemówienie przy ślubie **Aleksandra Micewskiego z Jadwigą Skorupczanką**

w kościele XX. Jezuitów we Lwowie

dnia 1. czerwca 1881 roku.

Najmilsi Moi!

Kiedy Chrystus Pan, mówiąc o małżeństwie, rzekł do uczniów swoich, że człowiek opuści ojca i matkę swoją i będą dwoje w jednej istocie, i że co Bóg złączył, tego człowiek nie rozłączy, zafrasowali się uczniowie i rzekli: »kiedy tak trudna jest sprawa z małżeństwem, to nie jest pożytecznie człowiekowi żenić się«.

Zafrasowali się uczniowie, i nie bez przyczyny, bo ten związek dwojga ludzi tak ścisły i nierozzerwalny, że go nic — ani choroba, ani frasunki, ani sprzeczność i niesforność charakterów, ani wady najprzykrzejsze i upadki najboleśniejse, ani w końcu dobrowolna chęć rozłączenia się, nic zgoła, prócz jednej śmierci, przeciąć nie może, związek taki może i powinien przerazić każdego, ktoby wchodząc w ten święty ale trudny stan, liczył jedynie na własne siły! Małżeństwo, to twarda szkoła życia, nakłada obowiązki liczne, poważne, surowe; i biedne to zaprawdę i pożałowania godne istoty, które nie

zdając sobie sprawy z tych obowiązków, nawet nie myśląc o nich, spieszą do związku małżeńskiego tak lekko, tak trzpiotowato, jakby tu chodziło o wieczór tańczący, na którym je czekają same przyjemności i słodczyce, same kwiaty, tony i blaski promieniającego weselem życia! — Nie przeczę, że małżeństwo może dać wielkie szczęście, a w każdym razie skuteczną pomoc do życia, iżby je przejść bez obrazy Boga, i owszem z rzetelną, dodatnią zasługą; niemniej jednak strona twarda, strona obowiązkowa małżeństwa przewyższa o wiele stronę radosną jego i różaną. A ktoby szukał dla siebie tylko wczasu, spokoju i wygody, temu pożyteczniej byłoby nie żenić się.

Małżeństwo polega na poświęceniu swoich przyjemności, nawyknień, a nawet potrzeb, dla wspólnego dobra. Wymaga często zrzeczenia się swojej woli, i taki, coby chciał zawsze swoją wolę przeprowadzać, tem samem świadczyłby o sobie, że jest niesposobny do tego związku, jak w ogóle niesposobny do społeczeństwa ludzkiego. W małżeństwie potrzebne jest ciągłe panowanie nad sobą; bez tego nie może być harmonii ani spokoju w stadle małżeńskim, bez tego i najgorętsza miłość nie utrzyma się długo.

Nadewszystko zaś, stoi ono na wzajemnej obu stron wyrozumiałości, tej tak trudnej a koniecznej cnotce. Boć jeżeli w stanie bezzennym, przy rzadkiem i zresztą dowolnem zetknięciu z ludźmi, człowiek niewyrozumiały, w sądach swych niepobłażliwy, owszem, zrażający się i zręczny, przykrym bywa dla drugich i dla siebie i na-przód drugim a potem sobie zatruwa życie, to o ileż bardziej cnota wyrozumiałości potrzebna jest tym, co z sobą są zawsze, od świtu do zmroku, od zmroku do świtu, zawsze i zawsze, aż do grobowej deski, o ileż bez tej cnoty, ich życie staćby się musiało nieustającą męczarnią!...

Moi drodzy, dziwną wyda się ta mowa moja wam, którzy się kochacie i połączenia swego pragniecie, jak najwyższego szczęścia na ziemi, dziwnem, że wam to mówię w chwili, w której wszystko zdaje się wam uśmiechać, i że w tej właśnie chwili przedstawiam wam same tylko twarde, nieledwie ponure strony tego stanu, który obieracie, jakbym was chciał od niego odstraszyć.

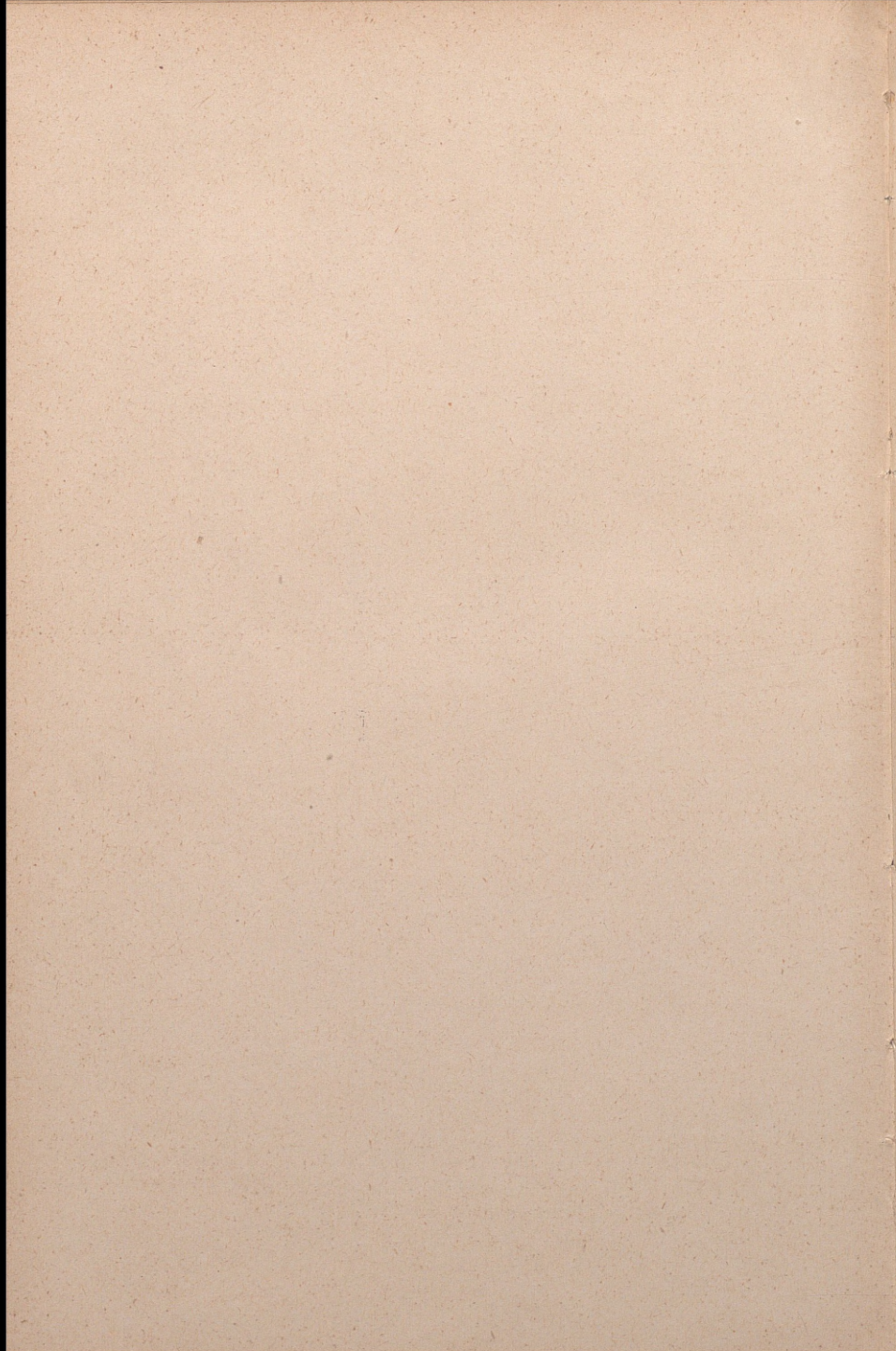
O nie, moi drodzy, nie by was odstraszyć, bo wiem, żeście się nad tem wszystkim dobrze zastanowili. Ale mówię dlatego, iżby tem mocniej wszczepić w wasze przekonanie, że w tym związku siły wasze nie wystarczą, i dlatego właśnie, że nie wystarczą, Kościół przynosi wam w pomoc błogosławieństwo od Boga. Ono jedno zdolne jest przyszłość ubezpieczyć. To, że dzisiaj kochacie, żeście młodzi, żeście raźni i do życia ochoczy, że tyle innych macie ułatwień, których Bóg nie daje każdemu, to wam jeszcze szczęścia na zawsze nie zapewni. W małżeństwie na szczęście zapracować trzeba; ono się nabywa przez lata, codzienną praktyką owych cnót wysokich, o których dopiero mówiłem. Szczęśliwe albo nieszczęśliwe w małżeństwie pożycie, nigdy nie jest zasługą lub winą jednej tylko strony; obie są sprawcami swej doli albo niedoli. A jak zarabiać na szczęście, tego wam uczyć się nie trzeba daleko; znajdziecie przykład w żywej tradycyi domowej, w pożyciu przezacnych waszych rodziców, których obecnością przynajmniej jedno z was cieszy się, i długo jeszcze, da Bóg, cieszyć się będzie. Małżeństwo, mówi modlitwa kościelna, jest ciężarem, który obie strony dźwigać muszą! lecz aby go udźwignąć z pożytkiem dla dusz, i z jakimś szczęściem, o ile danem jest ludziom używać go na tym świecie, potrzebna jest nieustająca pomoc od Boga. Tylko przez Kościół związani, na nim oparci, w wierności jego prawom i przepisom, w częstem korzystaniu z łask Bożych, których on jest szafarzem, możecie w złej czy dobrej

doli znaleźć trwałą słodycz waszego związku, miłość, ufność i pogodę życia. I tylko w takich warunkach, że tu wrócę jeszcze do owego słowa uczniów Chrystusowych, »pożytecznie jest człowiekowi żenić się«, pożytecznie dla niego, pożytecznie dla społeczeństwa, w którym żyje.

A że Polak przy każdym zdarzeniu, wesołem czy smutnem, przy ślubie czy na pogrzebie, przypomnieć sobie musi ojczyznę, i z nią, że tak powiem, rachować się, więc i ja tem wspomnieniem rzecz moją zakończę. Ojczyzna niczem innem nie jest, tylko wielką rodziną, złożoną z mnóstwa małych jak wasza rodziniek, pojedynczych ogniw i kółek. Im te ogniwa czerstwiejsze są, silniejsze i zdrowsze, tem i całość potężniejszą jest i wspalnialszą. Każdy dom polski, w którym panuje bojaźń Boża, każda rodzina w której przykazania Boże i Kościelne przestrzegane są święcie, a nie dla ludzi, nie dla przykładu tylko, jak mówią, lecz dla sumienia, dla Boga, dla zbawienia, każdy dom taki i taka rodzina staje się niezdobytą twierdzą polskości, siłą narodu, rękonią przyszłości jego. Każdy dom taki i taka rodzina, jest jakby starem zamczyskiem, z granitowych zbudowanym łomów, który oprze się burzom i napaściom losu i w którym pomimo pokus i przeciwności zewnętrznych, dawne tradycyjne cnoty polskie spokojnie i bezpiecznie żyć i rozwijać się będą. — Moi najmilsi, bywają czasy i bywają kraje, w których nic innego dla ojczyzny zrobić nie można, jak tylko swą rodzinę pocziwie wychować, i lampę życia niezgasłą przekazać następcom; a choć u nas, dzięki Bogu i po za domem można dziś pracować bezpiecznie dla kraju i Kościoła, niemniej przecież jeden taki dom, taką fortecę wystawić, to jest wiele, to już wielka zasługa, dość wielka, aby i tej doczesnej ojczyźnie pożytecznie usłużyć, i na przyszłą wiekiusłą zarobić; której wam i sobie z serca życzę. Amen.



III.



I.

W kwestyi cofania się polskości w Galicyi Wschodniej ¹⁾.

Hartmann, znany filozof dzisiejszej epoki, wydał niedawno krzyk rozpaczy, że Niemcy się cofają od wschodu; że w Tryeście, w Pradze i t. d. coraz bardziej ustępują przed Słowianami; a zwątpiwszy, aby te strony dla ojczyzny niemieckiej ocalić jeszcze można, wzywa rząd pruski, aby germanizował ludność polską na wszelki sposób: *per fas et nefas*, gdzie się to da, to jest na Śląsku, w Poznańskim i w Prusiech zachodnich. — Dzienniki polskie odpowiedziały na tę dziką odezwę, a świeżo ksiądz Morawski, w *Przeglądzie Powszechnym*, wykazał znakomicie brzydkie źródło tej polityki i prawdopodobne jej następstwa. Nie będziemy więc do tego przedmiotu wracali; inny, chociaż podobny objaw bardziej nas obchodzi i niemałą troskę zadaje, boć i my mamy przed oczyma cofanie się polskości w Galicyi wschodniej; zwrot całkiem przeciwny temu kierunkowi, którym historia od kilku wieków szła naprzód. Przedmiot to bolesny i drażliwy, nie jest rzeczą przyjemną go poruszać. To też długośmy w sobie wazyli, czy roztropnie jest o nim mówić. Wkońcu przemogła uwaga, że pra-

¹⁾ Artykuł wstępny *Przeglądu* (lwowskiego) z dnia 19. kwietnia 1885 roku.

wdę bądź co bądź poznać trzeba, i że najpewniejszą do zguby drogą jest — nie chcieć widzieć własnej choroby.

Że się nam ziemia z pod stóp usuwa, że jej coraz więcej Żydzi i Niemcy wykupują, to jest fakt groźny; ale przynajmniej wszyscy się nim oddawna zajmują. Jest inne złe, na które dotąd nie dosyć zwracano uwagi, a niem jest, że Polacy na polu pracy umysłowej i publicznej we Lwowie i we wschodniej Galicyi, zamiast iść naprzód, cofają się i schodzą z pola przed Rusinami.

Kiedy pewna pani polska zapytała w poufnej rozmowie księcia Bismarka, »co myśli naprawdę o przyszłości Polski, którą może nie tyle siebie, co drugich przestrasza« — »Chcesz wiedzieć« — odpowiedział kanclerz — »jaka przyszłość waszego narodu, obacz, czem się zajmuje wasza młodzież, a szczególnie młodzież z wyższych klas«.

Zepchnięta z każdego pola w innych polskich prowincjach, w jednej tylko Galicyi młodzież polska ma, rzec można, uprzywilejowane stanowisko. Wszystko tu przed nią stoi otworem, w każdym zawodzie może się i sama kształcić i krajowi służyć; nigdzie jej nie zabraknie pomocy, ułatwienia, a nawet zachęty. Majątkiem, wyższą ogładą towarzyską, wcześniejszem rozwinięciem władz umysłowych, nabytymi zdawna stosunkami a także i z biegiem wypadków politycznych, ma ona znaczną przewagę nad młodzieżą ruską. Z połową tych trudów i zabiegów, których Rusin użyć dla siebie potrzebuje, młody Polak zająć może i prędzej i dalej. Jednym tylko Rusini przewyższają Polaków, to jest wytrwałością i zamiłowaniem pracy — i tego jednego dosyć. Znana jest bajka o żółwiu, który kroczy zwolna lecz ciągle, i o zającu, który śpi; żółw zająca prześcignął. Postawmy obok siebie dwóch młodzieńców: Polaka z klasy obywatelskiej lub z wyższego mieszczaństwa i Rusina, chłopskiego albo księzego syna, i obaczmy, który z nich łatwiej

sam sobie wystarczy? Rusin przywykły łamać się z trudnościami od dzieciństwa, nie doje, nie dośpi, ale przecie z biedy wybrnie i na wierzch się przebije; Polak, któremu wszystkiego i nad potrzebę dostarczano, wydać i zabawić się będzie umiał, zarobić na życie nie potrafi. Z tymi samymi środkami, w jednym wieku, z tym samym zasobem nauki, a przynajmniej z tym samym zasobem świadectw pozyskanych, Rusin da sobie w życiu radę, Polak nie — zwłaszcza syn obywatelski. Dziecko, które zawsze na rękach noszono, gdy je nieść przestaną, rozpłacze się, samo nie pójdzie dalej.

To jedno posłużyć może za wskazówkę nieomylną, jaka będzie przyszłość tego kraju? Czy to się stanie za kilka, czy kilkanaście lat, mniejsza o to; raczej zastanowić się potrzeba, czemu przypisać tę apatyę, to opuszczenie się młodzieży polskiej, która każdego, pod względem umysłowym i duchowym, w tej części kraju uderza. Czy gimnazyom, które zbyt wiele ucząc, na powierzchni przestawać muszą nauce; które władzy myślenia w młodym nie rozwijają, lecz i pamięci także w nim nie kształcą i co najgorsza, do sumiennej pracy nie wdrażają? Czy kursom uniwersyteckim, tak swobodnym, że więcej niż połowa uczniów nie słucho ich wcale i książki naukowej do rąk nie weźmie, zanim nadejdzie pora egzaminów? Bezwątpienia, złe tu jest wielkie i różnostronne i czas byłoby jemu zaradzić; ale wszak ono jednako Polaków i Rusinów dotyka, a niejednako są jego skutki. Kiedy zarzucano w wieku XVI Akademii krakowskiej, że jej młodzież uczy się tylko ulicznych tumultów, odpowiedział ówczesny akademik: »nie robiliby oni u nas tumultów, gdyby z domu nie przynosili niesforności i zuchwalstwa«. Toż i dzisiejsi profesorowie odpowiedzieć mogą rodzicom; »nie trwoniliby u nas czasu synowie wasi, gdyby nie przychodzili z domu z wrodzonym do próżniactwa nawyknie-

niem«. Przecież to rzecz wiadoma, że naukę i wykształcenie umysłowe daje szkoła i uniwersytet, ale zdolność do pracy, charakter i uczucie obowiązku, tworzy i rozwija dom rodzicielski. Czego się młody u swych rodziców napatrzy, toż samo najprawdopodobniej robić będzie dalej. Wpływ ojca jeszcze tu ważniejszy. Bo choćby matka i pracowite i świątobliwe prowadziła życie, jeżeli ojciec nic nie robi, to i syn skoro pokonczy od biedy szkoły i egzamina, pójdzie jego torem i jak on, nic robić nie będzie. Na nic się nie przydadzą mądre nauki i prestrógi profesorów, jeśli młodzieniec niema dla nich ucha; nie zapełnią one tych pustek w głowie i tych pustek w sercu, które przyniósł z sobą z rodzicielskiej zagrody.

Z uniwersytetu wchodzi się w zawód praktyczny. Do stanu nauczycielskiego synowie obywatelscy zazwyczaj nie garną się, bo tu potrzeba sporo wykształcenia i większej jeszcze pracy. Do stanu wojskowego ani duchownego także nie przychodzą, a dlaczego — powodów jest wiele, może innym razem o nich powiemy. Jeżeli młodzieniec obiera sobie zawód publiczny, nie zostaje mu jak służba polityczna albo sądowa.

W sądownictwie praca jest ciężka i mozolna, natłok spraw wielki; płatny czy niepłatny urzędnik musi pracować w biurze od 9 do 10-ej i od 4 do 6-ej wieczorem; a zdarzy się, że i poza godziną biurową jeszcze nad aktami przysiedzieć potrzeba. Do biur sądowych idą przeważnie Rusini; z Polaków służą w nich tylko ubożsi; młodzieży dostatniej tam nie ma.

Młódź polska z klasy obywatelskiej wchodzi popolicie do biur politycznych. I słusznie, boć pod wieloma względami szkoła to najważniejsza, w której i stan kraju poznać i różnorodnych spraw publicznych wyuczyc się można najlepiej; i czegoś więcej urzędnikowi politycznemu potrzeba, niż książki szkolne same dać mogą. — O ile wiemy, nie masz ustawy, któraby prze-

pisywała liczbę godzin obowiązkowych w tych biurach; zwyczaj naznacza od 9 do 2 z południa; ale u nas inny obyczaj natomiast się ustalił; rzadko spotkasz w biurze młodego praktykanta przed godziną 11-tą. Zaczyna się »służba« jak w kasynie od gwarnej i wesołej rozmowy; dopiero gdy kronika dnia wczorajszego w zupełności wyczerpaną została, następuje czytanie dzienników, potem przychodzi kolej na robotę. Ponieważ wykazy zatwierdzonych czynności trzeba sporządzać co dwa tygodnie, i te idą do rąk przełożonych, przeto każdy praktykant przed 15-ym i 1-ym miesiąca bywa niezwykle czynny, aby o swojej pracy najlepsze dać wyobrażenie. Bierze się oczywiście najłatwiejsze akta, które bez żadnego trudu wyekspedycować można; sprawy ważniejsze mogą poczekać. I czekają też nieraz dość długo, pomimo »urgensów«, które od stron albo władz bywają nadsyłane. Przed godziną pierwszą robota w biurze skończona; młodzi praktykańci już się rozeszli.

Co warta jest taka praca, ile na niej cierpi kraj, jak szkodliwie oddziaływać musi na bieg spraw publicznych, to zbyt ciężka dowodzić. Lecz i o tem pamiętać trzeba, iż ona wykrzywia sumienie, ściiera uczucie obowiązku, psuje charakter tych młodych ludzi. Boć odbywszy w ten sposób godziny służbowe, wychodzą oni z przekonaniem, że zrobili co do nich należy, swój dzień roboczy wypełnili, i resztę czasu mogą poświęcić na zabawę. Jeśli w takiej szkole mają się formować przyszli urzędnicy polityczni i administracyjni, to czegoż się po nich dla kraju spodziewać? Jak przeslizgują się lekko u wstępu swego zawodu, tak później przez całe życie przeslizgiwać się będą. Ibeżby dała młodzież polska w innych prowincjach, gdyby jej dozwolonem było, jak tutaj nam, własnemu służyć krajowi!...

Wiemy, iż nad tym stanem nikt bardziej nie bojeje, niż sami przełożeni owych biur politycznych. Lu-

dzie sumienni i sprawie publicznej całą duszą oddani, pojmują dobrze, jak wiele na tem zależy krajowi, aby do politycznej, administracyjnej służby wciągnąć żywioł obywatelski; czynią wszelkie w tym celu wysilenia, na każdy sposób ułatwiają przystęp, lecz cóż po tem, kiedy te zacne starania rozbijają się o niepoprawną lekkomyślność kandydatów! Znane nam są słowa jednego z nich: »Dopóki Niemcy i Czesi trzymali tu urzędy, młody Polak, który się dostał do biura, pilnował godziny i pracy, wyprzedzić się nie dał, choćby dlatego, żeby Niemiec albo Czech jego miejsca nie zajął. Dziś pewny jest swego, to też spycha robotę i gnuśnieje. Snać, że my Polacy tylko w walce lub pod uciskiem zdolni jesteśmy do pewnej energii; skorośmy wolni i nic nam nie grozi, zmieniamy się w niedołęgów«. — Nie winna więc położonych, że w tej pierwszorzędnej życia publicznego szkole, młodzież polska, z bardzo nielicznym wyjątkiem, tak fatalnie swój czas, swoje zdolności i sposobność służenia marnuje. Pobłażliwi są dla niej i wyrozumiali, może w nadziei, że z czasem lepszy duch się ocknie, może też w obawie, żeby twardem wymaganiem nie odstręczyć istot miękkich, z pracą obowiązkową nie oswojonych. Czy jednak, śmiemy zapytać, pobłażanie to nie idzie za daleko; czy nie należałoby spróbować innej metody, skoro ta, której dotąd od lat wielu używano, złego nie naprawia, raczej je powiększa? Gdyby się z biura wydalilo kilku, choćby też i eleganckich próżniaków, kraj nicby na tem nie stracił, a przestroga zostałaaby dla innych.

Z ciężkim bolem piszemy te słowa. Bo czyż to trudno zrozumieć, że młodzież, która pracować nie chce i do ścisłego obowiązku ma wstręt, której żadna myśl wyższa nie podnosi i nie zagrzewa, której celem zrobić prędko a bez trudu karierę, a potem bawić się i błyszczeć, młodzież przemądrzała i zużyta, nie rokuje za-

dney nadziei dla kraju i na żaden sposób wytrzymać nie może współzawodnictwa z młodzieżą ruską, wytrwała w pracy, w obowiązku swym pilną, do trudu i życia skromnego nawykłą. Jeden z wyższych a niepospolitego rozumu urzędników, zrobił to porównanie. »Kiedy się zjawia dwóch kandydatów do praktyki biurowej, Polak prawie zawsze ujmuje swem rozwinięciem umysłowem; bystry i pojętny, można sądzić, że odrazu przejmie się służbą i z energią pełnić ją będzie; Rusin przeciwnie, ciężki i niezgrabny, niemal jak ów woźny, który mu drzwi do mego pokoju otworzył. Po kilku latach co za odmiana! Rusin się wykształcił, uszlachetnił, zyskał na bystrości a nie stracił nic ze swej powagi; Polak przeciwnie, zgnuszał, zniedołężniał; on teraz, a nie Rusin, do woźnego podobny. Jeśli tak dalej pójdzie, to naszym próżniactwem i lekkomyślnością sami sobie wykopujemy grób!«... Jak zaprzeczyć tym groźnym słowom? Bez wysień, bez natężenia, bez ofiary z siebie, każde indywiduum zmaleć musi, skarłowacieć; więc też i społeczeństwo z takich jednostek złożone zmaleje, skarłowacieje niechybnie. I jeżeli stan dzisiejszy potrwa lat dziesiątek, a młodzież obywatelska nie otrząśnie się z tego marazmu, który się i niższymi warstwami coraz więcej udziela, żywioł polski jak pod względem materyalnym już tak znacznie się pochylił, tak i pod moralnym i umysłowym jeszcze bardziej ku upadkowi się skłoni, i musi w końcu ustąpić miejsca krzepszemu żywiołowi, który się do walki i do życia w trudzie zahartował.

A kiedy dzisiaj tak czarny horoskop przed oczy czytelników stawiamy, to pewno nie dlatego, żeby nami kierować miała niechęć do Rusinów. Nie to nas boli, że Rusini się dźwigają, tylko to, że Polacy nie umieją utrzymać stanowiska, które ich przodkowie pracą wieków zdobyli. Źle byłoby temu krajowi, źle i samym Rusinom, gdyby tu Polaków zabrakło. I wiara pra-

wdziwa i prawdziwa cywilizacya przez Polaków tu przyszły, bez nich z trudnością ostaćby się mogły; tylko ślepa nienawiść może tego nie widzieć. Więc powtarzamy, nie o to nam chodzi, by Rusini nie szli naprzód, tylko o to, by się Polacy nie cofali. I kiedy wołamy do Polaków, iżby byli czem być powinni, i swego miejsca, które im Opatrzność dała, bronili, to pewno nie środkami, które Hartmann rządowi pruskiemu doradza, ale tem szlachetnem, chrześcijańskiem współzawodnictwem, które drugiemu nie zazdrości, drugiego nie spycha, owszem oddaje i nad miarę co komu należy, lecz swego obowiązku przedewszystkiem przestrzega.

II.

Kartka z ostatnich dziejów Rady miasta Krakowa ¹⁾.

Jakiem prawem ta kartka, a raczej tych kart parę szukało miejsca w *Przeglądzie*, w piśmie poświęconem szerszym, ogólnym sprawom naukowym i politycznym? Żebyto one jeszcze były wyrwane z dziejów Akademii, Uniwersytetu lub jednej z tych instytucyj, które korzystają z gościnności Krakowa, lecz na cały nasz naród rozciągają swój wpływ i swoje działanie. Ale nie! To tylko ustęp z historii miejskiej, lokalnej, w granicach rogatek się rozgrywającej. Prawdziwy krakowianin ła-twoby rozwiązał tę kwestyę. Dla niego stolica dawnej Polski, rezydencya jej królów, zawsze jeszcze pozostała stolicą, nie rządów, nie handlu, nie przemysłu, bo tych niema, ale tradycyi narodowej, ducha polskiego, inteligencyi, polityki, oświaty. Według niego wszystko, co się dzieje w Krakowie, ma być starym zwyczajem wzorem i przykładem dla wszystkich miast i gmin polskich, dla całego narodu i kraju, a temsamem do historii narodu należy i powszechny budzić powinno interes. Ze zdaniem takim trudno jednak wystąpić autorowi niniejszego pisma, już dlatego, że niedawno do Krakowa

¹⁾ *Przegląd polski* z dnia 1. stycznia 1885 roku.

przybyły, nie mógł się nim jeszcze do głębi przejąć, już dlatego, że całemu społeczeństwu polskiemu po za murami Krakowa narzucić go nie zdoła. Bądźmy zatem skromniejsi i powiedzmy tylko, że w sprawach naszego miasta sprawy ogólne odbijają się w sposób żywy i wyrazisty, że Kraków jest jednym z tych niższych, ale niemniej ważnych organizmów, na których działalność nasza narodowa opiera się, w których polityka szuka swojej podstawy. Powiedzmy wprost, że nas sprawy krakowskie o tyle tylko obchodzą, o ile z nich możemy wyprowadzić wnioski, jakimi są te podstawy i podpory naszego ogólnego dążenia i pracy, i w imię tego prosimy dla naszych spostrzeżeń o szerszy interes i uwagę. Prosimy o to bezimiennie, bo miłość własna Krakowian nigdyby nie przebaczyła naszej skromności, i autor niniejszego artykułu miałby na zawsze zamkniętą drogę do krzesła radzieckiego, na które zresztą życzliwością swoją dla miasta i pracą nad jego dobrem pragnie sobie kiedyś zasłużyć.

* * *

Piękne i miłe wrażenie odnosi przybysz, który z niskiego chórkę przyjrzy się poważnej, renesansowej sali w dawnym pałacu Wielopolskich, a obecnie ratuszu. Ciężki, rzeźbiony strop zamyka ją od góry, na ciemnych ścianach odbijają się wyraźnie białe popiersia królów, wysokie krzesło prezydenta stoi naprzeciw, a środek sali w szerokich odstępach zajmuje sześćdziesiąt stołków radzieckich, o które ileż ambicyj, ile walk toczy się przy wyborach.

Chórek ów zawsze pełen ciekawych, bo w sali radnej skupia się całe życie miejskie — w ścisłym tego słowa znaczeniu — tu w najważniejszych sprawach zapada decyzja. Długo jednak i stale potrzeba na ten chórek uczęszczać, ażeby sobie jakieś pewniejsze zdanie

wyrobić o samej Radzie, ażeby z wybitniejszymi jej postaciami się zapoznać.

Kto o Krakowie słyszał z historii, komu dzieje jego nie obce, kto przychodzi z wyrobionem na tej podstawie zdaniem o *spectabiles consules civitatis Cracoviensis*, temu w obecnej Radzie miejskiej trudno się zorientować. Nie słyhać w niej pospolitej niegdyś niemczyzny, żywiół i język polski ogarnął wszystko, nawet tych radców, którzy niegdyś odepchnięci na osobne *ghetto*, teraz w swoich strojach zasiadają w Radzie i w sprawach jej żywy biorą udział. Obok nich zabierają głos profesorowie Uniwersytetu, adwokaci, lekarze, architekci, ale wśród tego poważnego zastępu inteligencji kryje się jakoś mieszczaństwo. Czyż go niema? Bierzesz spis radców i czytasz nazwiska. Jest między nimi wiele polskich, szlacheckich, ba, nawet pańskich, widoczny owoc konstytucyi 3-go maja, jest także sporo niemieckich, ale żadne z tych ostatnich nie przypomina nawet XVIII wieku, żadne nie jest historycznem krakowskiem.

Potrzeba takiego dowodu, aby uwierzyć, że ludność krakowska, a przynajmniej wyższe jej warstwy, zmieniły się zupełnie wśród całego szeregu klęsk i przewrotów, jakim miasto to ulegało w ciągu ostatniego stulecia, że z ludnością świeżą napływową mamy tu do czynienia, że z niej z rzadkimi wyjątkami wyszła reprezentacya miasta. Jestto okoliczność, która w składzie i kierunku Rady bardzo wiele tłumaczy. Żywiółowi mieszczańskiemu, który w niej zasiada, brak jest dwóch rzeczy, które mu wszędzie gdzieindziej dają przewagę, to jest potęgi finansowej i starożytnej tradycyi. Do Rady miejskiej nie wnosi on, ogółem biorąc, przekonania konserwatywnych i jasnego programu, niema poczucia własnej siły, nie czuje się u siebie, nie ma zdolności i pretensyj do nadania całej Radzie własnego kierunku, chwiejny i różnorodny, różnym wpływom z łatwością

ulega. Dlatego punkt ciężkości spraw miejskich spoczywa ostatecznie w tak zwanej inteligencji. Zaprowadzenie języka polskiego w urzędzie i szkole, skupienie lepszych sił umysłowych w Krakowie jako mieście stołecznem, czynny udział w życiu publicznem granice miasta przekraczającym, stworzyły z inteligencji tutejszej czynnik, który ma wysokie poczucie swojej siły, świadomość swoich celów, i gorący dla spraw miasta interes. Przewaga tego czynnika w Radzie nie jest też wynikiem sztucznego zwycięstwa przy wyborach, nie jest wynikiem walki z mieszczaństwem, lecz jest naturalnym objawem tego faktu, że Kraków w braku handlu i przemysłu żyje ostatecznie z urzędów i szkoły. Mieszczaństwo krakowskie, czując swą bezsilność, mając groźnego nieprzyjaciela w żydach, zmuszone jest opierać się o inteligencję, a opiera się o nią tem chętniej i łatwiej, że inteligencya do podniesienia żywiołu miejskiego wszelkimi siłami dąży i zmierza.

Niema więc w Radzie innego, głębszego przeciwieństwa nad to, jakie zachodzi pomiędzy żywiołami chrześcijańskim i żydowskim. Jestto przeciwieństwo prawdziwe, nie tyle religijne, ile socyalne i ekonomiczne. Objawia się ono jednak więcej w życiu i pracy społecznej, niż w Radzie miejskiej. W oczach naszych dokonują się pogrom kupców i rzemieślników chrześcijańskich przez żywioł żydowski, napływający z Kazimierza. Wszystko, własność nieruchoma, składy kupieckie i warsztaty rzemieślnicze, w ręce żydów przechodzi. Nikt nie wie i każdy z trwogą pyta, gdzie i kiedy się ten pochód zatrzyma. W Radzie miejskiej atoli obie strony dokładają wszelkich starań, ażeby tę walkę ukryć i złagodzić. Wszyscy czują, że ona na polu administracyi miejskiej nie może się rozstrzygnąć, że ona od zarządu miejskiego niewiele zależy. Chrześcijanie wstrzymują się też i od cierpkiego słowa, mając za to w tem przynaj-

mniej nagrodę, że żydzi polonizacyi ich nie kładą zapory i widoczne w tym kierunku czynią w ostatnich latach postępy. Za tę cenę nastąpił kompromis milczący, ale tak silny, że żaden fałszywy głos nie poważy się go naruszyć i zamącić. A jednak żydzi w Radzie miejskiej, wszystko jedno, starowiercy czy postępowi, spolonizowani zupełnie, czy łamiący się dopiero z polszczyzną, mają przecież swój odrębny kierunek, idąc za nim, może nawet bezwiednie, lecz solidarnie. Boją się oni silnej ręki i władzy na czele miasta, boją się skonsolidowanej, rozumnej i energicznej większości w Radzie, już dlatego samego, że władza ta lub większość chrześcijańska odbierałaby im ich wpływ, zaś przemysł oraz handel chrześcijański mogłaby wziąć w skuteczniejszą opiekę. Dlatego, bo inaczej trudno znaleźć przyczynę, radcy żydowscy stoją zgodnie po stronie tego kandydata na prezydenta, który jest miększym; dlatego przyłączają się do tej frakcyi chrześcijańskiej, która jest słabszą i sama przez się żadnego by nie miała znaczenia i wpływu.

Czy taka frakcja się znajdzie, skoro do podziału Rady na stronnictwa niema żadnej prawdziwej przyczyny. Tak jest, nie tworzą jej też zasady lub sprawy, lecz tworzą ją ludzie. Jednych względ jakiś lub zatarg osobisty na tę popchnie drogę; drudzy przyłączają się, bo jako ludzie chwiejni lub bałamutni, z loiką i konsekwencją muszą żyć zawsze w niezgodzie; trzeci wzmacniają ich szeregi, mając w tem osobne, po za Radą i sprawami miasta leżące widoki. Ci ostatni najgorsi są, bo kierując się zwykle kwasem i uprzedzeniem politycznym, grupują swoich towarzyszy pod jakimś politycznym hasłem, wmawiają w swoich przeciwników w Radzie również polityczne dążenia, zaostwiają sztucznie przeciwnieństwa i są w sprawach miejskich rozkładowym fermentem. Jeżeli teraz do tych trzech czynników dodamy

czwarty, żydowski, który ich poprzeć jest gotów, to mamy gotową genezę jednego stronnictwa.

Ci radcy, którzy do niego nie przystali, liczą się oczywiście do strony przeciwnej. Dlatego cechą jej charakterystyczną nie jest bynajmniej jednolitość przekonań i zasad, dla których zresztą sprawy miejskie nie są wcale widownią działania. Rzeczą, która tych ludzi wiąże ze sobą, jest owszem przekonanie, że od Rady miejskiej trzeba trzymać zdala wszelkie względy osobiste, uprzedzenia polityczne i socyalne kwasy, że tę instytucję autonomiczną należy utrzymać w granicach jej właściwego działania i pracy, że kierunek jej spraw powinien być wytknięty z góry, a przeprowadzony ręką śmiałą i niezawodną. Nie jestto jeszcze program skreślony wyraźnie i szczegółowo, jestto tylko rozsądne zrozumienie swego w Radzie miejskiej stanowiska.

Gdyby też wszyscy radcy miejscy tak stanowisko swe pojmowali, mogłaby w Radzie objawiać się różnica zdań w pojedynczych sprawach, ale o podziale Rady na jakieś stronnictwa nie byłoby mowy. Że tak na nie szczęście nie jest, miewa Rada pozór podziału na dwie partye, pomiędzy którymi granica ciągle się zmienia i chwieje. W chwilach spokojnych znika ona niemal zupełnie i od ogółu Rady kilku tylko oddziela się malkontentów, w chwilach natomiast burzliwszych, kiedy kwasy polityczne uderzają o podwoje Rady i szukają w niej pola walki, widzimy zjawisko, że większa lub mniejsza część radców daje się zbałamucić i ze zwykłej wychodzi kolei. Ogólne to spostrzeżenie możemy najlepiej stwierdzić na historii Rady w kilku ostatnich latach.

* * *

W pierwszych latach swoich nowych rządów autonomicznych (od r. 1866) miał Kraków na swoim czele

po kolei dwóch ludzi wyższej miary. Pierwszy, ś. p. Józef Dietl, przeprowadził nową organizację miasta i nakreślił wielki, obszerny program jego dalszego rozwoju. Ciężka niemoc fizyczna nie pozwoliła mu programu tego przeprowadzić. Następcą jego, dzisiejszy marszałek krajowy, Mikołaj Zyblikiewicz, nie dbał o uchwalenie programu, lecz przystąpił wprost do czynu. Kilka lat jego rządów (1874—1881) zapisały się też na zawsze w dziejach Krakowa. Jeden człowiek pełen zapału i energii, rozruszał miasto podupadłe i uśpione, natchnął je poczuciem siły i wiarą w swoją przyszłość. Za jego czasów i pod jego wpływem zatarta miasto gruzy, pozostałe po ostatnim pożarze, i po długim upadku zrobiło wielkie kroki naprzód na drodze zewnętrznego porządku; zatarto ogniska miazmów, wytknięto nowe ulice i zaczęto zabudowywać liczne pustki. Większą jednakże była zmiana w dziedzinie jego ducha. Korzystając z przyjaznych okoliczności, stworzył Zyblikiewicz cały szereg szkół ludowych, wybudował Szkołę sztuk pięknych, przyczynił się ile mógł do założenia Akademii Umiejętności i wielu innych instytucyj, a odrestaurowaniem Sukienic postawił widomy pomnik temu odrodzeniu się miasta, jako ogniska życia umysłowego i narodowego całej Polski.

Miał jednak dzielny prezydent swoje strony ujemne. Nie umiał sobie jednać tych, których same czyny nie zjednąją, lecz których trzeba sobie ująć grzecznością; owszem, krewkiem obejściem tworzył sobie osobistych nieprzyjaciół. Nie umiał dobrać sobie odpowiednich wykonawców swej woli w magistracie, sam był wszystkim i sobie tylko ufał. Ludzie, których używał, nieraz go zwodzili i gorzkie mu gotowali kłopoty. Gorączkowy pospiech w przeprowadzeniu wielu przedsięwzięć, a mianowicie licznych budowli, stał się przyczyną wielu błędów w szczegółach i wywoływał krytykę uza-

sadnioną. Prezydent jej nie cierpiał i nie znośił, stąd nowe ku niemu niechęci. Większość Rady wznosiła się po nad te wszystkie względy i zapierając się miłości osobistej, znosząc nierzadkie urazy, popierała Zyblikiewicza w sposób niezłomny i skuteczny, mając w nim równie silne oparcie. Dopóki był prezydentem, krytyka i opozycja nie miały widoków zwycięstwa. Zmieniła się atoli sprawa, kiedy Zyblikiewicz krzesło prezydenta miasta na krzesło marszałka krajowego zamienił.

Zwolennicy jego skupili się około Feliksa Szlachtowskiego, który przez energię swojego charakteru, znajomość spraw miejskich, rutynę urzędowania i osobisty stosunek z Zyblikiewiczem, był jego naturalnym następcą. Ale Szlachtowski nie miał tej co Zyblikiewicz przeszłości, tych szerszych politycznych zasług, tego w narodzie stanowiska. Nie zjednał sobie nikogo ze strony przeciwnej, a nawet kilku zwolenników Zyblikiewicza utracił. Energia ustępującego prezydenta wywołała chwilową reakcję. Zdawało się, że człowiek łagodniejszego temperamentu, układniejszych form, odpowie chwilowo więcej zadaniu, rozdrażnienie pewne usunie, a sprawy miejskie, popchnięte już na ubitą drogę, na niej utrzyma. Pod tem niejako hasłem wyszedł z urny wyborczej Ferdynand Weigel. Nieznaczną była jego większość, gdy jednak raz został wybranym, ci, którzy ze Szlachtowskim pozostali w mniejszości, podali mu rękę i oświadczyli otwarcie i szczerze, że go będą we wszystkim ku dobru miasta popierać.

Postanowienie to nie przyszło im łatwo. W nowym prezydencie cenili oni człowieka, na którym żadnej nie było plamy, cenili człowieka pełnego dobrych chęci i płynnej wymowy, ale kolegując z nim w Radzie, nie widzieli w nim administracyjnych zdolności, obawiali się, że miękkością swego usposobienia i licznymi uprzedzeniami może nieraz szkodzić. Okoliczności towarzyszące

wyborowi, nie były też zachęcające. Pewna krzykliwa część jego zwolenników urządzała mu manifestacye, które oczywiście miały nie tyle na celu uczczenia zasług (których Dr Weigel około miasta jeszcze nie mógł położyć), ile raczej ogłoszenie tryumfu nad tymi, którzy dotychczas popierali Zyplikiewicza i z nim się łączyli. Do śmiesznej przesady dochodziły komentarze, wychodzące z tego obozu. Zwolenników Szlachtowskiego, piętnowano w opinii publicznej mianem Stańczyków, którzy naród do zguby prowadzą. Otóż Kraków, miasto rodzinne Stańczyków, wybierając Dr Weigla, pierwsze ich się (zdaniem stronników Dr Weigla) wyparło. Weigel w Radzie miejskiej pokona ich do reszty, a temsamem uratuje od nich kraj i naród. Rozchodziły się wieści, że nowy prezydent opinię tę sam podziela i głosi, że tak zwane wielkości krakowskie w proch zetrzeć przyrzeka. Ludzie poważni nie wierzyli temu jednak, oddzielali prezydenta Weigla od jego niedowarzonych i szkodzących mu popleczników, a kładąc dobro miasta nadewszystko, postanowili nietylko wstrzymać się w Radzie z opozycją, ale wystąpić z poparciem.

W przyjaźniejszych warunkach żaden się jeszcze nie znalazł prezydent. Rozpoczynając rządy, ani jednego w Radzie nie miał przeciwnika. Dłategoż katastrofa, która na niego spadła po trzech latach, jest rzeczywiście tragiczną. Jest ona zarazem w tak wysokim stopniu pouczającą, jest takim przykładem dla wszystkich naszych stosunków autonomicznych, parlamentarnych, że z tego względu doniosłością swoją sięga daleko po za mury miasta. Spróbujmy ją opowiedzieć.

* * *

Obejmując krzesło prezydyalne, zapowiedział stanowczo Dr Weigel, że handel i przemysł krakowski

z upadku podźwignie. Było w tej zapowiedzi może za-
wiele pewności samego siebie, ale w ustach Dr Weigla,
który przedtem przez wiele lat piastował urząd sekre-
tarza Izby handlowej, miała ona swoje znaczenie. Wnio-
sków nowego prezydenta oczekiwano więc z upragnie-
niem, poparcie ich ze strony ogółu Rady było przesą-
dzonem z góry. Tymczasem Dr Weigel oryentował się
w magistracie, władzy wykonawczej miasta, która mu
bezpośrednio podlega. Stan moralny i intelektualny tej
hierarchii urzędniczej, licznej i skomplikowanej, nie był
co prawda wzorowym. Wiele ważnych posad nie było
obsadzonych dla braku odpowiednich kandydatów, fun-
kcyje urzędników etatowych, prawników, pełnili często
dyetaryusze, manipulanci. Dr Weigel zapowiedział sta-
nowczą reorganizację, a Rada miejska przyklasnęła jego
myśli. Uchwalono wszystkie wnioski prezydenta, mia-
nowano wszystkich przedstawionych przez niego kandy-
datów, nie jednego wbrew najlepszemu przekonaniu,
byle tylko okazać zupełną ufność prezydentowi. Zosta-
wiono mu zupełny wybór narzędzi jego władzy, zosta-
wiono mu za nie całą odpowiedzialność, ażeby usunąć
nawet pozór podejrzenia, że Rada w czemkolwiek jego
programowi i działaniu przeszkadza.

Mijały jednak miesiące, mijać zaczęły lata, a pre-
zydent, zorganizowawszy magistrat według swej woli
i myśli, z żadnym przed Radę nie wystąpił wnioskiem,
w żadnej z żywotnych spraw nie zajął wyraźnego sta-
nowiska, w żadnej nie chwycił inicjatywy, która jest
jego pierwszym prawem i obowiązkiem. O jakiegokolwiek
próbie celem podniesienia przemysłu, nie było z jego
strony nawet wzmianki. Nie brakło różnych zapowiedzi,
ale wszystkie skończyły się zupełną inercją lub fatal-
nym zawodem. Los ten spotkał mianowicie wszystkie
starania i rokowania, które prezydent na zewnątrz oso-
biście prowadził. Ani dworzec kolei transwersalnej nie

stanął w Krakowie, ani nawet most nie został rzucony przez Wisłę, ani targi na bydło nie znalazły miejsca w Krakowie. Wiemy dobrze, że obce, niezależne od prezydenta okoliczności sprowadziły ten wynik niepomysłny, ale któż z zawodu swego mógł to lepiej przewidzieć, jak Dr Weigel, któż powinien był więcej szczerze zapowiedzi. Działo się inaczej, a miłość własna Krakowian na tem niezmiernie cierpiała.

Wystarczyło to już do zachwiania wiary w zdolności administracyjne Dra Weigla, ale Rada z sądem tym nie kwapiła się wcale. Zmieniono taktykę. Zdolniejsi i ruchliwsi z pośród radców zaczęli występować z wnioskami, dzieląc między siebie inicjatywę. Wybierano do każdej sprawy osobną komisję, oczywiście pod przewodnictwem prezydenta, a żądano od niego, ażeby z tej pomocy skorzystał, wnioski wypracowane z jego udziałem za swoje własne uznał, i powagą swoją w radzie je przeprowadził. Rozpoczęła się w ten sposób w Radzie miejskiej epoka komisyj. Obradowało ich równocześnie kilka, kilkanaście, tak, że brakowało dni w tygodniu i miesiącu na ich posiedzenia. Wybierano referentów, przeprowadzano ogólną dyskusję, żądano wykazów i materiałów przygotowawczych od magistratu, czekano na nie długo, rozpoczynano próby i kroki przygotowawcze, członkowie komisyj poświęcali czas swój i trudy, pełniąc nieraz to, co właściwie należało do magistratu, mijał czas, i jakież z tego wszystkiego był owoc. Rzeczy drobniejsze po długich mozołach wychodziły nareszcie z komisji i przechodziły przez Radę. Z ważniejszymi działo się wręcz przeciwnie. Każda kwestya ważniejsza spotyka się z przeszkodami natury prawnej lub finansowej, wywołuje kolizję z niejednym interesem prywatnym, spotyka się z opinią nieprzygotowaną, uprzedzoną, zbałamuconą. Kwestyj takich żadna komisya parlamentarna nie jest w stanie przygotować

i przeprowadzić. Mogą się one zamienić w czyn tylko wówczas, jeżeli je w silną rękę ujmie władza, jeżeli je poprze całym zasobem swojej wiedzy i woli, jeśli je postawi jako kwestye zaufania.

Tego od prezydenta żadna komisya nie mogła uzyskać. Dr Weigel nie lenił się pracy, przewodniczył komisjom z wytrwałością bez granic, myślom poruszonym w ich łonie nie sprzeciwiał się wcale, ale ani energicznego współdziałania magistratu nie zdołał im zapewnić, ani przeszkód stających im w drodze nie umiał usunąć. Najlepszą ilustracją tego była sprawa zamienienia błoń krakowskich na park, prawdziwie złote jabłko w rękach zręcznego i energicznego prezydenta, czyn widoczny dla każdego z maluczkich, uwieczniający jego imię w sposób niezatarty. Łączyły się z jego przeprowadzeniem pewne trudności, a drugorzędnej wagi. Dla Dra Weigla nie były one jednak do pokonania. Skończyło się z jego strony na ciągłych zapewnieniach i zapowiedziach. Tak w tej, jak i w wielu podobnych sprawach interpelowano nieraz prezydenta. Odpowiedź zawsze brzmiała jednako: wysłano ekspedycyę, uchwalono badania, odbędzie się posiedzenie komisyi, magistrat gorliwie pracuje — słowa bez czynów. Zima, wakacje, uroczystości jubileuszowe, wielką w najżywotniejszych sprawach odgrywały rolę.

Przyszła nareszcie na stół Rady kwestya gazowa, która w żaden sposób nie dała się odroczyć. Komisya gazowa złożona z ludzi rozważnych, licząc się z niekorzystnym stanem sprawy, jaki nam pozostawiły w spuściznie rządy niemieckie z roku 1855, wytargowała od towarzystwa dessauskiego jakie mogła warunki, i wystąpiła z projektem nowego kontraktu na lat trzy, a względnie na lat pięć. I cóż się stało? Referował Szlachetowski; ci w których Dr Weigel widział swych przeciwników, popierali wniosek. Dr Weigel osobiście prze-

mawiał za nowym kontraktem, ale stronnictwo, które go na prezydenta wyniosło, rozpadło się na dwie połowy. Mniejsza jego ale rozumniejsza część oświadczyła się za kontraktem, większa atoli część rozpoczęła przeciw niemu namiętną dyskusję, obliczoną na poklask ulicy, pozbawioną innego programu, odsłaniającą słabe strony gminy, a temsamem jej interesom szkodliwą. Przez trzy dni słuchała komisya płytkiej, ale tem zjadliwszej krytyki ze strony partyi rządowej prezydenta, radców miejskich Wachslera, Warszauera, Chęcińskiego, Grossego i t. d. Wstrzymuję się od charakterystyki tych przemówień, bo byłoby trudnem *satyram non scribere*, a nie chcę tym uwagom nadać pozoru paszkwilu. Komisyi i referentowi nie pozostało, jak ustąpić przeciwnikom z placu, i zostawić im możność pokazania, co umieją. W dalszy przebieg tej sprawy niepodobna tutaj się zapuszczać, wiadomo powszechnie, na czem się dzisiaj skończyła.

Co miał zrobić prezydent? Człowiek wielkiej ambicyi i dbający o swoją powagę, zidentyfikowawszy się raz i po dojrzałym namyśle na wniosek w sprawie tak ważnej, byłby nie zważał na możebne krzyki, na niepopularność, byłby z niego uczynił kwestyę gabinetową, i jak rzeczy stały, razem z wnioskiem upadł lub zwyciężył. Że tego nie uczynił Dr Weigel, trudno go potępić. Można było jednak żądać od niego, ażeby ze sytuacji stworzonej całą tą dyskusyą jasno zdał sobie sprawę, i do niej się zastosował.

* * *

Dyskusya ta w związku z wieloma innymi wykazała nowe ugrupowanie się Rady. Zniknęły uprzedzenia, które do niej przy wyborze Dra Weigla sztucznie wniesiono. Pokazało się, że ludzie, których Bóg wie o co

podejrzowano, pracują w Radzie poważnie i beznamiętnie, popierają wszystko co ku dobru miasta zmierza, nie dbając o poklask, popierają mianowicie prezydenta, chociaż nie z ich wyszedł grona. Do nich przyłączyli się ludzie również poważni, którzy z razu żywili ku nim pewną niechęć. Uprzedzenia prysnęły wśród wspólnej a dodatniej pracy, w ich miejsce wstąpił obopólny szacunek i uznanie. W ten sposób powstała w Radzie większość, do której wchodziło wszystko to, co w Radzie odznaczało się stanowiskiem społecznym, wykształceniem, doświadczeniem i charakterem. Po przeciwnej zaś stronie pozostała mniejszość niby zagorzałych zwolenników Dra Weigla, w gruncie zaś rzeczy ludzi, na których nikt i nigdy liczyć i oprzeć się nie mógł. Wybór pomiędzy temi dwoma grupami dla każdego był niewątpliwym. Mógł go uczynić Dr Weigel bez żadnej ujmy dla swojej przeszłości, bo doświadczenie zebrane w ostatniej sprawie było dla niego zupełnie dostateczną ekskuzą. Większość żadnych nie stawiała warunków, ale większość ta dlatego samego, że rozumna, była niepopularną dla ulicy, była solą w oku tym żywiołom, które tak w Radzie, jak jeszcze więcej poza jej obrębem okazują w sprawach publicznych niedojrzałość, a żyją jedynie budzeniem niechęci i namiętności. Przystając otwarcie do rozumnej większości Rady, trzeba było koniecznie pożegnać się z popularnością i narazić na paszkwil i potwarz, od których nikt u nas nie uchroni się, kto działa i myśli nie o sobie, lecz o dobru publicznem. Na tę odwagę zerwania z popularnością, jednomyślnym poklaskiem tłumu, Dr Weigel nie umiał się zdobyć, i z większością Rady nie szukał żadnego zetknięcia i związku. Co warte dawne jego stronnictwo po wystąpieniu z niego zdolniejszych radców, o tem się widocznie przekonał, a obstawać przy niem otwarcie nie mógł również pod grozą prędkiego upadku.

Wówczas Dr Weigel zaczął głośnić otwarcie, że stoi ponad wszelkimi stronnictwami, że nikim w Radzie się nie powoduje, że żadnym nie ulega wpływom, i rzeczywiście dla wszelkiej, chociażby najlepszą chęcią podytowanej rady stał się nieprzystępnym. Ktokolwiek miał trochę doświadczenia w sprawach publicznych, musiał na tę teorię ramionami ruszyć. Zapewne, żeby działał prezydent, któryby oparłszy się o jedno stronnictwo w Radzie i w mieście tylko dla jego interesów, nie zaś dla dobra całego miasta i wszystkich jego mieszkańców władzy swojej używał, ale trudno pojąć prezydenta, który władzę swoją opiera na wyborze, który uchwał Rady musi we wszystkich sprawach ważniejszych zasięgać, a jednak z tą Radą odrzuca wszelki związek, z wolą i programem większości się nie liczy, a pomimo to rządzić nadal zamierza.

Jeżeli też Dr Weigel zaraz po ogłoszeniu swej teorii anti-konstytucyjnej i anti-parlamentarnej nie upadł, to odegrała w tem rolę tylko osobista życzliwość, jaką ku niemu miało wielu radców z większości. Przypuszczano, że tę teorię przecież porzuci, że się przecież przekona. Wstrzymywano gorętszych. Czekano.

* * *

Wśród tego wszystkiego rósł jednak dla prezydenta inny groźniejszy i bezwzględniejszy nieprzyjaciel w magistracie, w tym samym magistracie, który Dr Weigel własną ręką zorganizował, a korzystając z poparcia Rady, hojnie wyposażył.

Wypadałoby z kolei rzeczy i tę sprawę dokładnie wyjaśnić. Wyznam jednak otwarcie, że tego uczynić nie jestem w stanie. O tem wszystkim, co się działo w Radzie, łatwo mi przyszło się dowiedzieć, bo to są rzeczy jawne, o których, bądź z uważnego czytania dzienników,

байд з ус самыхже радцв, латво ми было сь поу-
чыц. Нектврых важных посидзец рады было сам
на галеры видзем и швядкием. Магистрат заа jako уряд
выконавчы jest przed okiem obywatela укрыты, co сь
w ним dzieje jest tajemnicя, ктврей од урядников вы-
бавдывац аним хцац, ан дла браку стосунквв не мо-
глем. Тylko певне szczegvлы прешлы до wiadomvsci
publicznej, gdy на Radzie poruszone zostaly. I to zre-
szty dzialo сь zwykle на посидзецих тајных, з ктв-
рых не оглшзано справоздац, и з ктврых tylko уryw-
kowe zebraц было можна wiadomvsci.

Faktem jest, ze pod rzadami Dra Weigla zupełna
w magistracie zapanowala anarchia. Zawiязac сь мцала
pomiedzy урядниками клика, ктвора pilnowala tylko oso-
bistych korzysci. Znalazл сь inny урядник, ze stanow-
iska swego rozciagal nad ня surowя kontrolę, znalazл
takich, ктвrzy go w тем poparli. Przeciwnicy zarzucali
temu урядникови gburowate obejscię, zlosliwvscię i nie-
uctwo. Przychodzilo do scen gorszacych. W jednym
przypadku, сам презыдент wykryл i sprawdzil jakis zre-
szty nieznaczny ubytek w dochodzie miejskim, wytoczyл
sledztwo; osadzil jednak po dokladnem zbadaniu, ze та
sprawa не kwalifikuje сь на drogę karnя, i на karze
dyscyplinarnej poprzestal.

O тем wszystkim gvlosne po mieście rozchodzily
сь wieści, w ктврых niewiadomo czy i ile было prawdy,
ктвóre jednak w wysokim stopniu дла wladzy miejskiej
былы ublizajace. Wytoczyла сь sprawa kilkakrotnie на
tajne посидзециа Rady; gorzkie там на нектврых
урядниковв magistratu padaц мцалы слова; faktem jest,
ze до porozumienia pomiedzy презыдентем а Radя
w tej sprawie wcale не przyszlo. Rzecz najgorsza, ze
wszystko to не utrzymalo сь w obrębie murvв magi-
stratu. Урядники, на ктврых najostrzejsze padały za-
rzuty, rozpoczeli z Radя walkę otwartя i publicznя

w różnych pismach i pisemkach, przyczem w podstępny sposób identyfikowali się z prezydentem i systematycznie wmawiali w opinię publiczną, że skargi na nich wnoszone, są tylko pozorem do walki z prezydentem. Radcy w ten sposób zaczepieni oburzają się słusznie, wykrywają podstępną taktykę owych urzędników magistratu i na tajnych posiedzeniach Rady domagają się od prezydenta, ażeby złe w sposób reedykalny wykorzenił. Prezydent złemu nie przeczy, ale drogi wyjścia nie widzi, ze środkami stanowczymi sam nie występuje, a pod naciskiem Rady czyni obietnice, które następnie wykonanemi nie są. Sprawy urzędowe miejskie na tem niezmiernie cierpią, niechęć w Radzie miejskiej zwraca się coraz wyraźniej ku osobie prezydenta, aż nareszcie przy dyskusji budżetowej na posiedzeniach jawnych głośno wybucha. — Każdemu, komu sprawy naszego miasta nie są obojętne, dyskusya ta żywo jeszcze stoi w pamięci; szczegółowe sprawozdania w dziennikach rozniosły ją daleko poza mury Krakowa; zbyteczną zatem rzeczą przebieg jej opisywać. Godzi się za to poruszyć niektóre jej charakterystyczne strony, które dotychczas w pismach publicznych nie były ani należycie podniesione ani też wyjaśnione.

Kiedy Dr Jordan zażądał otwarcia dyskusji nad preliminarzem budżetu na rok 1884, i w pierwszych słowach swego przemówienia z krytyką prezydenta wystąpił, nikt w Radzie nie był na to przygotowanym. Treść zarzutów nie mogła być radcom miejskim nieznaną, skoro nieraz przedtem na posiedzeniach tajnych je podnoszono, ale nie sądzili oni widocznie, żeby już przyszedł czas do tak stanowczej przeprawy; nieprzygotowani na nią, nie zorganizowani, nie wiedzieli, co z tego wyniknie, jaki obrót rzeczy przybiorą. Gdy Dr Jordan mowę swoją zakończył, a wniosku nieufności do prezydenta nie postawił, wszyscy radcy, którzy osobiście

dobrze życzyli prezydentowi, odetchnęli swobodniej, i w myśli swej dyktowali mu odpowiedź.

Spodziewano się powszechnie, że Dr Weigel słuszność przyzna wielu zarzutom szczegółowym, które Dr Jordan uczynił magistratowi, i w tym kierunku stanowcze kroki zapowie. Myślano zarazem, że sam postawi pytanie, czy Rada ma do niego zaufanie, i czy go w tym kierunku poprze. Nie ulegało kwestyi, że w takim razie wotum zaufania od Rady uzyska. Stało się przeciwnie. Prezydent przyjął za wszystko odpowiedzialność, co zarzucano magistratowi, odpierał zarzut po zarzucie, zbyt drobiazgowo, niezawsze szczęśliwie, Rady nie przekonał, a zbyt długim przemówieniem ostatecznie ją znużył. Odroczone dyskusyę. Następnego dnia wobec słabej i niezręcznej obrony Dra Weigla, wystąpili przeciwnicy, którzy mieli czas dobrze się przygotować: pp. Jakubowski Faustyn, Hajdukiewicz, Domański, Zareba, a zbijając po szczególe wszystkie twierdzenia Dra Weigla, wyprowadzając całe szeregi faktów z czasów jego trzechletniej administracji, zagrozdzi mu drogę wyjścia najzupełniej. Zarzuty streszczały się głównie w dwóch rzeczach; 1) że prezydent niema programu działania, z inicjatywą nigdy nie wystąpił, a wniosków z łona Rady nigdy skutecznie nie poparł; 2) że w magistracie zapanowała zupełna anarchia, której prezydent nie położył tamy.

Wrażenie wywołane temi mowami, było rzeczywicie niezmierne, a potęgowała je mianowicie ta okoliczność, że żaden z tych radców, którzy głosili się bezwzględnyi zwolennikami Dra Weigla, na nie nie umiał, czy też nie odważył się odpowiedzieć. Milczenie to było rzeczywicie więcej wymownem, niż wyraźne wotum nieufności.

Uderzała w tem wszystkim okoliczność, że ze wszystkimi owymi zarzutami występowali tylko ci, któ-

rzy niegdyś do wyboru Dra Weigla najwięcej się przy czynili, a zawiódłszy się na nim, odstąpili go, i z tem większą przeciw niemu wystąpili goryczą. Ci zaś wszyscy, których Dr Weigel zawsze za przeciwników swoich uważał, jakby na dane hasło, wstrzymali się od podniesienia głosu. Nie mógł Dr Weigel powiedzieć, że go w Radzie miejskiej złamali »Stańczyki«. Owszem, z łona tej grupy radców miejskich, nie bez wspólnego ich porozumienia się, odezwał się w końcu przez p. Kieszkowskiego głos, który mimo swej stanowczości, jeszcze raz do prezydenta rękę wyciągnął. Uznał pan Kieszkowski, bo nie mógł sprzeciwić się prawdzie, że radcy owi, którzy wykryli otwarcie złe, spełnili przykry, ale obywatelski obowiązek, i wyraził im wśród powszechnych oklasków Rady za to wdzięczność i uznanie, ale zwracając się do prezydenta, położył nacisk na to, że głównem źródłem złego jest owa klika magistracka, która prezydenta podkopuje, a dobro miasta naraża. Urwij łeb hydrze, zakończył, a wszyscy cię poprzemy.

* * *

Głosu tego Dr Weigel nie usłuchał. Nazajutrz zwołał kilkunastu radców i oświadczył im, że urząd prezydenta złoży po najbliższych wyborach do Rady, a nawet w razie ponownego wyboru nie przyjmie go bezwarunkowo. W milczeniu przyjęto to oświadczenie. Tylko Dr Warszauer miał, jak mówią, wystąpić z mową i dowodzić, jak niewłaściwą było rzeczą czynić prezydentowi zarzuty publicznie. Wśród poważnego nastroju owego zgromadzenia, w którym nie brakło osobistej sympatii dla Dra Weigla, przemówienie Dra Warszauera, który mówi wiele, a niezawsze w porę, nie wywarło dobrego wrażenia, i oczywiście pozostało bez odpowiedzi. Dopiero w pisemkach brukowych zjednało ono autorowi

sławę; obrońcy wolności, jawności, parlamentaryzmu bronili z zapalem zasady, że rządowi na jawnych posiedzeniach nie należy robić zarzutów, bo się przez to powagę władzy osłabia.

Nie wspominalibyśmy o tym drobnym szczególe, gdyby nie to, że przez rezygnację Dra Weigla zapowiedzianą »po wyborach«, cała sprawa przeniosła się na szerszą arenę, i owym brukowym pismom dała pole do łatwych popisów. Do wydania wyroku ostatecznego pomiędzy nim a większością Rady, wezwał Dr Weigel ogół wyborców.

Do tego, naszym zdaniem, miał zupełne prawo, ale swoją drogą wyszedł na tem najgorzej. Nie przez to, że wybory ostatecznie przeciw niemu wypadły. *Dubius eventus belli*. Fatalnem było dla niego, że w prowadzeniu całej walki wyborczej musiał się, dla braku innych, opierać na takich żywiołach, z którymi, chcemy wierzyć, nic wspólnego niema, i które rade z takiej firmy, przedsiębrały wszystko, aby ją skompromitować. Oświadczyły się za nim i za wyborem jego kandydatów *Reforma* i *Djabeł*, potworzyły się komitety pokątne, które nie miały odwagi podpisać się, wystąpili kandydaci, których ambicya wywoływała w całym mieście śmiech lub zgorzsenie, a co najgorsza niektórzy urzędnicy magistratu, na których w Radzie najgorsze padły zarzuty, czując, że nie mają nic do stracenia, że od pokonania większości Rady zależy ich chleb i stanowisko, wmięszali się czynnie do agitacji wyborczej, a nieprzebieraniem w środkach wywołali oburzenie powszechne. Wszystko to słusznie czy niesłusznie spadało na Dra Weigla, bo pod jego działał się firmą.

Wręcz przeciwny widok przedstawiała akcyja strony przeciwnej. Skupiała się ona w komitecie jawnym, który na zgromadzeniu przedwyborczem większość głosów uzyskał, i do którego należały najpoważniejsze w mieście

osobistości: prezes Akademii Dr Majer, b. prezes sądu wyższego Dr Kopff, dyrektor towarzystwa wzajemnych ubezpieczeń p. Kieszkowski, rektor Uniwersytetu Dr Zoll i t. d. Znaleźli się ludzie zdrowo myślący, a zarazem odważni także w stanie kupieckim i rzemieślniczym, którzy stanęli po stronie inteligencji i odparli z oburzeniem hasło, które agitatorowie strony przeciwnej chcieli przenieść ze Lwowa na bruk krakowski »precz z inteligencją«. Walka wyborcza zmieniła swój charakter. Kwestya osobista Dra Weigla ustąpiła na drugi plan, a na pierwszy plan wysunęło się zadanie, ażeby Kraków uchronić od rządów namiętności ulicznych i anarchii.

Tem większem, tem donośniejszym stało się osiągnięte zwycięstwo. Na trzydzieści opróżnionych krzeseł radzieckich dostało się tylko czterech takich kandydatów, których komitet jawny obywatelski nie był wyborcom zalecił. Dla Dra Weigla klęska polegała w tem, że przeszli wszyscy ci radcy, którzy przy dyskusyi budżetowej przeciw niemu podnieśli zarzuty, a przeciw którym jego zwolennicy ostatnich wydobyli środków, ażeby ich w opinii publicznej oczernić i zozydzić.

Po tak stanowczem a legalnem wypowiedzeniu woli wyborców, mogło się zdawać, że już zupełnie skończyła się sprawa. Przyszły jednakże wakacye, po nich rozpoczął się Sejm dwumiesięczny, na którym kilku radców w charakterze posłów zasiada. Dr Weigel z tych powodów złożył prezydenturę dopiero z końcem października. Czterech tych miesięcy użyli jego zwolennicy do agitacyi, jakiej jeszcze Kraków nie był świadkiem, agitacyi, która już wprost zmierzała do zburzenia wszelkiego porządku i ładu.

Za inicjatywą organu tromtadracyi lwowskiej *Reformy* zaczęto głosić, że wola wyborców objawiona przy wyborach do Rady nie jest legalną i stanowczą. Ułożono adres do Dra Weigla, wzywający go, ażeby od

zamiaru rezygnacji odstąpił, i zaczęto, używając wymowy lub groźby, wzywać mieszkańców miasta do podpisów. Wiadomo, jak się podobne zbierają podpisy. Inaczej całą sprawę tłumaczono podpisującym, inne z niej później wyciągnięto wnioski. Dla podpisujących miał ten adres być aktem grzeczności wobec ustępującego prezydenta, dla Rady miejskiej, a względnie jej większości, wystawiono go jako rozkaz wszechwładzy ludowej. Nierzadko dawały się słyszeć groźby, które jednak nie mogły doprowadzić do czego innego, jak do ulicznej burdy.

Na większość w Radzie, która się solidarnie związała, a na krzesło prezydenta postawiła jednomyślnie kandydata w Dr Feliksie Szlachtowskim, nie wywarły one najmniejszego wpływu. Mając przed sobą dwa objawy woli mieszkańców miasta, jeden legalny przy wyborach, drugi dorywczy i nie dający się wcale skontrolować, nie mogła się pomiędzy nimi w wyborze wahać. Gdy zresztą wybór prezydenta i odpowiedzialność za kierunek spraw miejskich spoczywa w Radzie, musieli radcy miejscy bronić honoru i godności Rady, musieli wybór prezydenta uczynić wiernym wyrazem swojej najlepszej wiedzy i woli, musieli zastrzedz się przeciw instrukcyi, którąby im ktokolwiek zamierzał narzucić. W sposób nadzwyczaj łagodny, lecz zarazem stanowczy, oświadczył to w imieniu Rady Dr Zoll, gdy pewne kółko obywateli wezwało Radę miejską do nieprzyjęcia rezygnacji Dra Weigla.

Przyznać należy Dr Weiglowi, że z całą tą agitacją solidaryzować się nie chciał, adres przyjął, ale za *viaticum* na drogę go wytłumaczył, zapowiedź rezygnacji urzeczywistnił. Gdy przyszło do jej przyjęcia w Radzie, rzekomi zwolennicy Dra Weigla pragnęli całą sprawę odesłać do komisji. Większość Rady nie mogła się jednak w tym wniosku niczego innego dopatrzeć, jak za-

miaru, ażeby sprawę, która była już przesądzoną, uczynić znowu przedmiotem namiętnych rozpraw a właściwie rekryminacyj, ażeby rzecz ciągnącą się już od pół roku wyzyskać jeszcze dalej dla agitacji społecznej i politycznej. Że bowiem rządy Dra Weigla po tem wszystkim, co się od pół roku działo, były wręcz niemożliwe, że one na prawdziwe poparcie nawet mniejszości nie mogły liczyć, o tem przekonany był i Dr Weigel i każdy radca nawet najwięcej mu życzliwy. Większość przyjęła więc rezygnację, a prezydentem wybrała Dra Szlachetowskiego, tego samego, który przed czterema laty wobec Dra Weigla upadł kilkoma głosami.

Nie brakło w końcu komicznego epizodu. Przy wyborze prezydenta znalazł Dr Warszauer sposobność do wygłoszenia mowy, w której pod pozorem obrony Dra Weigla, niestety spóźnionej, chwalił konsekwencję polityczną, którą się (Dr Warszauer) na krześle radzieckim odznacza. Mowa ta zjednała mu nazajutrz *fakelcug*, wyprawiony przez kilkunastu niedorostków. Do takiego »ludu« przemawiał Dr Warszauer z balkonu ku uciesze całego Krakowa.

* * *

O wszystkim tem pisały już obszernie dzienniki, ale pisały dorywczo, nieraz błędnie, a zawsze bez podania istotnych przyczyn, które leżały na dnie faktów barwnych i dramatycznych. A jednak odsłonięcie tych przyczyn — staraliśmy się oprzeć je na informacjach z pierwszej ręki — nadaje dopiero wypadkom krakowskim z kilku ostatnich lat szerszy interes. Są one może drobnym, ale znaczącym i charakterystycznym objawem naszego dzisiejszego rozwoju, mieszczą w sobie szereg doświadczeń, które dla życia naszego autonomicznego w Galicyi nie powinny minąć bez wpływu i śladu.

Sam wybór prezydenta Weigla był niewątpliwie objawem, który się u nas wszędzie i zawsze powtarza, objawem pewnego wstrętu i obawy przez ludźmi, którzy umieją rządzić i rozkazywać, których każde inne społeczeństwo na pierwszy plan wysuwa. Nasza publiczność widzi w nich tylko ich strony ujemne, sądzi ich najczęściej tylko ze stanowiska form zewnętrznych, woli wysuwać na naczelne miejsca ludzi, o których wie z góry, że nie pójdą nigdy przebojem, że żadnej nowej myśli nie narzucają, że o popularność będą dbać przedewszystkiem. Rządy prezydenta Weigla w Krakowie są wymownym przykładem, do czego tu zasługa prowadzi. Byłoby też największą niesprawiedliwością, gdybyśmy winę za to wszystko, co w ostatnich latach w Krakowie się działo, składali na Dra Weigla. Prawości jego charakteru, gorącej chęci działania wszystkiego najlepiej, pracowitości nie odmówi mu największy przeciwnik. Nie jego wina, że brakło mu tego pierwiastku, który w ludziach spotyka się rzadko, a jednak na stanowisku rządu i władzy jest niezbędnym warunkiem. Wina spada tylko na tych, którzy na stanowisko takie go wysunęli i na gorzkie a niezasłużone narazili zawody.

Drugim objawem społecznym, z którym mamy tu do czynienia, jest owa dążność wprowadzenia w życie i w sprawy publiczne fałszywych haseł, czernienia i podejrzywania o ukryte cele ludzi, którym się nic pozytywnego nie może zarzucić, a z którymi otwarcie walczyć się nie śmie. Łączy się z tem oczywiście podburzanie i bałamucenie opinii publicznej, podkopywanie powagi instytucyj, chociażby autonomicznych, przenoszenie decyzji w sprawach publicznych w ręce pokątnego dziennikarstwa, ukrytych agitatorów i gotowej na wszystko ulicy. Przed kilku jeszcze laty był to jeden z najsmutniejszych objawów naszego życia publicznego. Nie dobro kraju, nie praca nad jego rozwojem, ale walka z wytwo-

rem chorobliwej wyobraźni, ze zmorą stańczykowstwa, z niebezpieczeństwem, które nie istniało, z zasadami, które błędnie a po części w złej wierze podsuwano pewnym osobistościom, taki był cel działania wielu stronnictw i ludzi. Zmorę tę stańczykowską wynaleziono także i w Radzie miasta Krakowa, a prezydenta Weigla wysuwano na to, ażeby ją w jej gnieździe jak smoka wawelskiego pokonał i zdusił.

Dziś to dążenie, ten zapal wojowniczy na całej linii odparty i osłabiony, odparty przedewszystkiem w Krakowie. Tak zwani Stańczycy nie przyjęli wyzwania do walki, bo podsuwanych im błędnie haseł nie mieli przyczyny i powodu bronić. Uniknęli nawet pozorów walki, która dla strony przeciwnej była warunkiem życia, chociaż rządy miasta im zostały odjęte; nie przeszli do opozycji i tem stroną przeciwną pobili i rozbili. Spokojnie i beznamiętnie toczyły się rozprawy w Radzie i licznych jej sekcyach i komisjach; okrzyczani Stańczycy do każdej sprawy czynną i chętną przykładali rękę; popierali prezydenta, ilekroć tego od nich zażądał, a tem swoim dodatkiem działaniem rozprószyli uprzedzenia, które przeciw nim umiano rozbudzić. To też niebawem zniknęło w Radzie miasta nawet przezwisko Stańczyków, pozostała tylko grupa poważnie, patriotycznie i rozumnie myślących i działających obywateli, a grupa ta z natury rzeczy musiała ku sobie przyciągnąć i tych, którzy chwilowo i w dobrej wierze pewnemu uprzedzeniu dali się uwieść, ale rozumnym działaniem dali się przekonać i w niem również cel swój i zadanie widzieli. Kiedy też rządy partii przeciwnej same przez się rozprężyły się i upadły, naturalnym tokiem rzeczy przeszły one na tych, którzy chwilowy zawód umieli po męsku przetrwać, i którzy z trudnego dla nich przejścia wyszli zwiększeni i wzmocnieni.

Że się to pierwiej stało w Krakowie, niż w całym kraju, rzecz naturalna. Życie miejskie, skupione w jednym miejscu, prędszym zawsze toczy się prądem. Jest to jednak dla całego kraju, dla Sejmu naszego symptom nie bez znaczenia. I tam w niedalekiej przyszłości musi przyjść do wyrugowania błędnych uprzedzeń i kwasów; i tam praca dodatnia, pozytywna, musi doprowadzić do skupienia żywiołów mądrych i roztropnych w jedną poważną większość, działającą w jednym kierunku i nad jednym programem.

Chcąc jednak, aby to nastąpiło tem prędzej, ażeby owa większość sejmowa miała zapewnioną przyszłość, potrzeba zwrócić większą niż dotychczas uwagę na te instytucje autonomiczne, które pomiędzy Sejmem a ogółem ludności pośredniczą, a więc przedewszystkiem na reprezentacje gminne i powiatowe; potrzeba kierunek ich spraw zdobyć ludziom dodatniej i rozumnej pracy, a temsamem większości sejmowej założyć zdrowe i trwałe podstawy. Kto to dobrze pojmuje, dla tego wynik walki stoczonej w Krakowie i pod względem politycznym będzie rzeczą niemałej doniosłości i wagi.

* * *

Wracając na zakończenie do rady miejskiej w Krakowie i do jej obecnej większości, możemy jeszcze zapytać, czy ta większość i prezydent z łona jej wybrany, program taki wyraźny posiada? Trudna na to pytanie w chwili obecnej odpowiedź; nie wiemy nawet, czy pan Szlachtowski zechce taki program na wstępie zapowiedzieć i ogłosić¹⁾, czy też przeciwnie, w czynach swoich dopiero go objawi. Możemy tu jedynie wypowiedzieć osobiste nasze przypuszczenia i wnioski.

¹⁾ Otrzymaliśmy ten artykuł przed objęciem urzędowania przez prezydenta Szlachtowskiego.

Wielu mieszkańców Krakowa oczekuje od nowego prezydenta urzeczywistnienia zamiarów, które oddawna poruszone, dotychczas jednak naprawdę nie zostały podjęte. Takimi są: budowa nowego teatru, utworzenie parku na błoniach miejskich, nowe oświetlenie miasta, przede wszystkim zaś wodociągi. Niejeden kwestyę wodociągów gotów jest nawet p. Szlachtowskiemu postawić jako *hic Rhodus, hic salta*. Kto te wszystkie rzeczy zna bliżej, ten tak kategorycznego nie postawi nakazu. Są to sprawy niewątpliwie doniosłe i ważne, pod tym względem niema żadnej w zdaniach różnicy, przeprowadzenie jednej lub drugiej, mianowicie zaś wodociągów, byłoby powitane jako czyn śmiały i wielki. Kwestyie te mają jednak i odwrotną stronę: połączone są z nałożeniem nowego i wielkiego na ogół mieszkańców podatkowego ciężaru, a co się tyczy wodociągów, ciężaru stałego. Czy mieszkańcy miasta w obecnym stanie ekonomicznym ciężar ten zniosą, oto pytanie, od którego należało właściwie wszelkie kroki przedwstępne zacząć. Otóż opinia publiczna może i powinna żądać dziś przede wszystkim od prezydenta i Rady, aby to pytanie wyjaśniono gruntownie i stanowczo, abyśmy dłużej nie obracali się w błędnem kole. Co po takim rozbiorze okaże się możebnem, niech będzie wykonane dobrze i prędko; co się okaże niemożebnem, niech przejdzie w dziedzinę ideału przyszłości, niech dla Rady i prezydenta nie będzie źródłem niechęci i zarzutów.

Wszystkie te sprawy i im podobne, jakkolwiek ważne, popularne i głośnie, nie powinny jednak zdaniem naszym stanowić głównego celu i zajmować pierwszego miejsca w programie prezydenta i Rady. Jak za rządów Zybkiewiczza, kwestyę żywotną dla miasta stanowiły szkoły, i dobrze urządzone lub poparte utworzyły podstawę dzisiejszego moralnego i ekonomicznego stanowiska miasta Krakowa, tak obecnie wysuwa się na

pierwszy plan z nieubłaganą koniecznością kwestya mieszczńska, kwestya przemysłu i handlu. Wspomnieliśmy już na samym początku naszych uwag, w jak smutnym stanie znajduje się ona obecnie, jak mianowicie handel i przemysł chrześcijański zupełną jest zagrożony ruiną i wyparciem. Niech nas Bóg broni, żebyśmy mieli antysemityzm Radzie miejskiej doradzać! Utrzymanie harmonii z żywiołem naszym żydowskim, opartej w Krakowie na dawnej już tradycji, niosącej ze sobą cywilizację i polonizację, jest dla Krakowa wielkiem zadaniem i chlubą. To jednak nie przeszkadza wcale, żeby administracya miejska nie miała pospieszyć z pomocą i opieką swoją tam, gdzie jej rzeczywista zachodzi potrzeba. Nie może ona tej pomocy nawet ograniczyć do samych chrześcijan. Niech z niej korzystają i żydzi, o ile im jej potrzeba. Faktycznie więcej potrzeba jej chrześcijanom i więcej dlatego powinni z niej skorzystać. Chwila zresztą obecnie po temu. Bliskim już czas, w którym cała sieć kolei żelaznych będzie się łączyć i przecinać w Krakowie, a pod tym wpływem warunki handlu naszego i przemysłu muszą się na lepsze zmienić. Byliśmy jednak chwili tej nie zmarnowali, byle nas ona nie zastała nieprzygotowanych. Mamy wreszcie i rząd państwa, który obecnie więcej niż kiedykolwiek zwraca w tę stronę swoją uwagę, i byleśmy wiedzieli, czego od niego mamy żądać i umieli żądać, pomocy swojej nam nie odmówi.

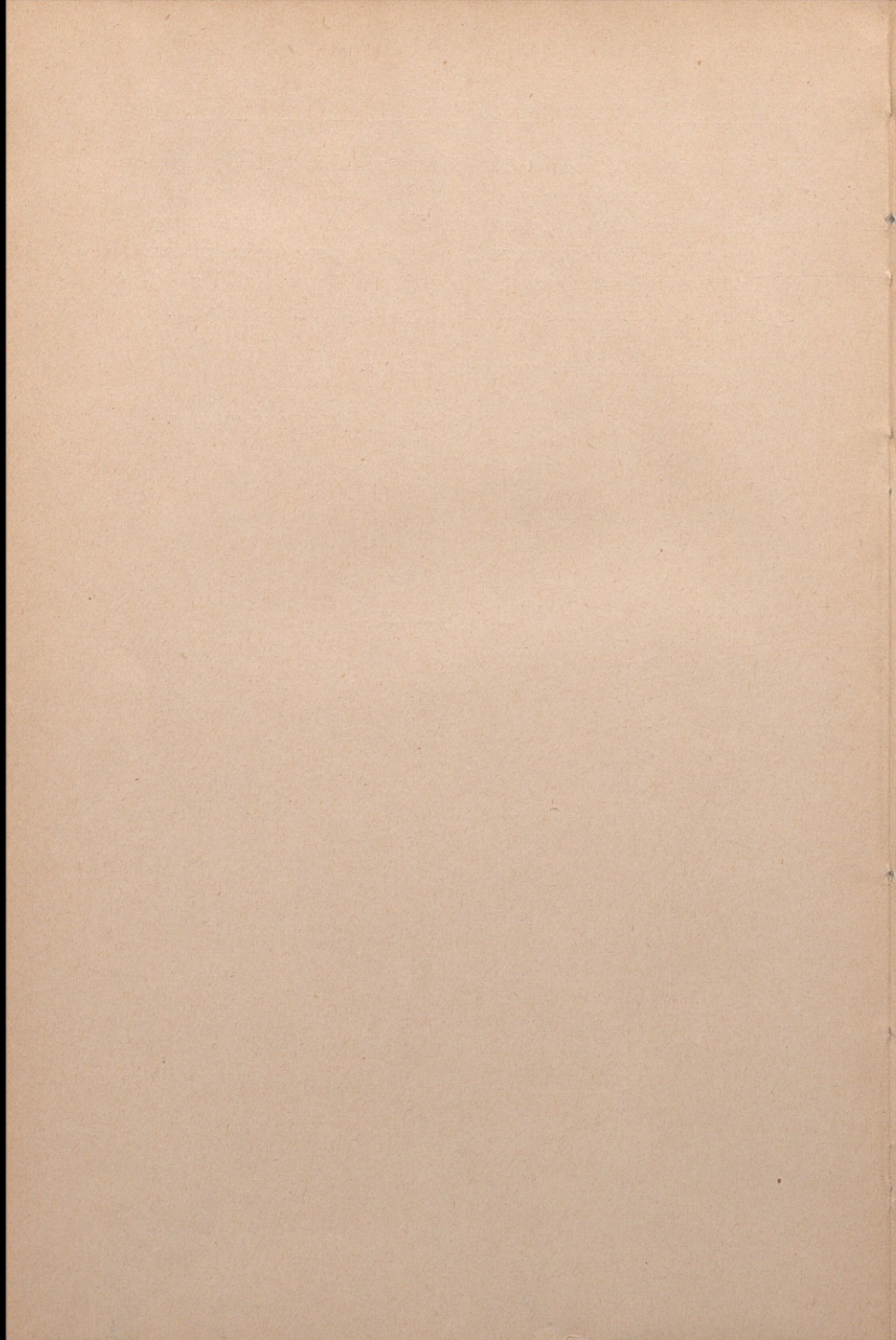
Oto kwestya dla miasta żywotna. Można przypuszczać, że za taką uważa ją obecny prezydent i Rada miejska. Już u schyłku rządów prezydenta Weigla zawiązała się w Radzie miejskiej na wniosek radcy pana Faustyna Jakubowskiego, osobna komisya przemysłowa, która wzięła na siebie inicjatywę w tej całej sprawie, a przewodniczącym jej był właśnie pan Szlachtowski. Organizacya szkół rękodzielniczych jest już pierwszym

jej widocznem dziełem. Na porządku obrad Rady miejskiej stoi obecnie cały szereg jej wniosków, a mamy niepłonną nadzieję, że co pan Szlachtowski, jako przewodniczący komisji zaczął, to jako prezydent miasta i Rady na pierwszym planie działania postawi i z pożytkiem dla miasta a chlubą dla siebie przeprowadzi.

Pisałem dnia 8. grudnia 1884 r.

Kandydat na radcę miasta Krakowa.





T R E Ś Ć.

Rozprawy dotyczące Kościoła i jego dziejów w Polsce.

I. O alfabecie i kalendarzu ruskim	7
II. Ś. p. ks. Piotr Semenenko, generał OO. Zmartw. Pańskiego	17
III. Internat ruski XX. Zmartwychwstańców we Lwowie	31
IV. Stowarzyszenie Opieki nad Internatem ruskim XX. Zmartwychwstańców we Lwowie	38
V. Stosunek Polaków i Rusinów do internatu ruskiego XX. Zmartwychwstańców we Lwowie	54
VI. Internat ruski i wychowanie poza szkołą	72
VII. Kolegium grecko-ruskie w Rzymie	89
VIII. Wywiezienie księdza Biskupa wileńskiego	97
IX. Sprawy Kościoła katolickiego w państwie cara	101
W teże kwestyi ogłosił O. Kalinka następujący artykuł	107
Znów w sprawie Biskupa wileńskiego	113

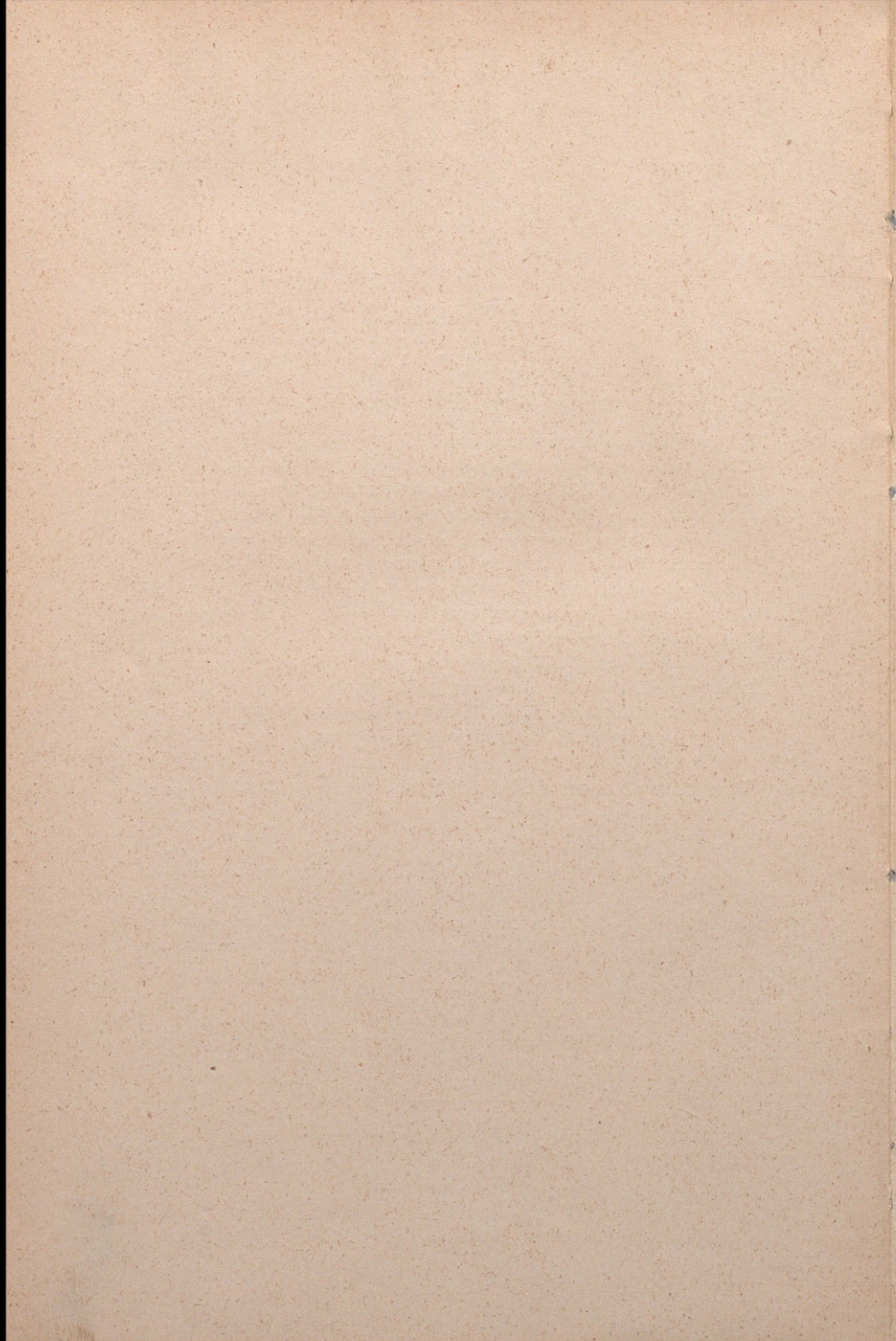
Rozprawy treści religijnej i religijno-politycznej.

I. Rozmyślania w czasie Wielkiego tygodnia	121
II. Znaczenie Świętych w historii	126
III. Męczeństwo św. Stanisława i jego znaczenie w dziejach narodu	142
IV. O czci świętych Patronów polskich	189
V. Przemówienie przy ślubie Em. Matuszewicza z Ant. Skibniewską	205
VI. Przemów. przy ślubie Aleks. Micewskiego z Jadw. Skorupczanką	209

III.



I. W kwestyi cofania się polskości w Galicyi wschodniej	215
II. Kartka z ostatnich dziejów Rady miasta Krakowa	223





Spółka Wydawnicza Polska w Krakowie

poleca następujące własne wydawnictwa:

 Ceny w Rublach. 

-
- Antoniewicz Karol*, ks. **Poezye religijne**. Wydanie drugie —90
— **Poezye religijne i świeckie**. Wydał ks. Jan Bađeni. Wydanie trzecie z licznemi winiętami, 1'80, w starannej oprawie 3'—
- Bakowski Klemens*. **Posażna panna**, powieść 1'25
- Bańucki M. Poezye*, bardzo ozdobne wydanie miniaturowe, oprawne na sposób francuski w pólskórek 2'—
- Bilczewski*, Ks. arcybiskup. **Eucharystya** w świetle najdawniejszych poemników: piśmiennych, ikonograficznych i epigraficznych. Wydanie luksusowe w wielkim formacie, stronice 328 z 47 rycinami i tablicą w heliograwurze. Dzieło odznaczone nagrodą Akademii Um., 4'50, w starannej oprawie 6'—
- Coppée Fr.* **Dobre cierpienie**, pierwsze tłumaczenie polskie pięknych nowel cenionego autora —70
- Chotomiewski Stanisław*, ks. **Kazania niedzielne i świąteczne**. Dwa tomy, wydał ks. Jan Bađeni 3'60
- Czermak Wiktor* Dr prof. Uniw. Jag. **Studia historyczne** 2'70
Treść: Na dworze Władysława IV. — Młodość Jerzego Lubomirskiego (1616—1636). Wojna Smoleńska z r. 1633—1634 w świetle nowych źródeł. — Polska wobec wojny 30-letniej. — Kilka słów o pamiętnikach polskich XVII wieku. — Miłostki królewskie. — Przyczynek do biografii Zimorowicza. — Przyczynki do dziejów XVII wieku z archiwów prywatnych.
- Fogazzaro Antonio*. **Dawny światek** (Piccolo mondo antico). Autoryzowane tłumaczenie rozgłośnej powieści znakomitego pisarza włoskiego 1'80
- Gawalewicz Marian*. **Niczyja**. Powieść 1'60
— **Majster do wszystkiego**. Zbiór nowel. Wydanie drugie 1'—
- Gide K.* **Zasady ekonomii społecznej**. Drugie polskie wydanie, świeżo opracowane i rozszerzone przez Dra W. Czerkawskiego 4'50
- Gloger Zygmunt*. **Geografia historyczna dawnej Polski** z dodaniem Mapy Rzeczypospolitej przez J. Babireckiego. W tekście 64 autentycznych rycin 3'—
- Golian Zygmunt*, ks. **Kazania niedzielne i świąteczne**, wydane staraniem ks. Bartkiewicza 1'80
— **Listy duchowne**, (serya nowa), wiernie odpisane z oryginałów, za zezwoleniem osób, do których były pisane. Wydanie drugie, 1901 2'20
- Górski Konstanty*, **Historya jazdy polskiej**, na podstawie niezużytkowanych dotąd źródeł, z 3 tablicami litografowanemi, str. 363 3'60
- Jirasek Alojzy*. **Raj świata**. Powieść na tle epoki kongresu wiedeńskiego, autoryzowane tłumaczenie prof. Kreeka 1'25
- Kalinka Waleryan* ks. **Sejm czteroletni**. Wydanie czwarte w czterech częściach 6'50
— **Ustawa trzeciego maja 1791 r.** —50
- Karbowiak A.*, prof. **Szkoła katedralna krakowska w wiekach średnich** —55
- Kołaczkowski Klemens*, Jenerał. **Wspomnienia od roku 1793 do 1831**, przyozdobione 27 rycinami, 3 tomy po 1'—
- Korolenko Wł.* **Niewidomy muzyk**. Przekład z rosyjskiego St. M. —90
— **Szkice i opowiadania**. (At Dawan. — Za obrazem. — Zaćmienie słońca. — Cienie. — W nocy. — Morze. — Sadny dzień) 1'80
Pierwsze w języku naszym przekłady tych arcydzieł literatury rosyjskiej.
- Kostomarow N. J.* **Kudejar**. Powieść hist. z czasów Iwana Groźnego. 1'80

=====**Gebethner i Wolff w Warszawie.**=====

Ceny w rublach.

<i>Kowerska Z.</i> Z pamiętnika ornitologa , opowiadanie	1'35
— Powieści. (Dla Anusi.—Z życia Jasia.— Na noclegu.—Wydalona)	1'50
<i>Krzyżanowski Anatol.</i> Przełom i inne nowele	1'—
Książeczka do modlitwy dla mężczyzn ze sfer inteligentnych. Nowa ta książeczka, w formie łatwym do wsunęcia w kieszeń, z modlitwami kościelnymi w języku łacińskim i polskim, z przygodnymi pacierzami, dobranymi ze znajomością rzeczy i wielką troskliwością, odpowie odczuwanej oddawna, rzeczywistej potrzebie	
Oprawy wykonano w pierwszorzędnym zakładzie starannie i gustownie, Cena rb. 1'60 do rb. 5.	
<i>Łaszczyński Władysław Dr.</i> Podręcznik dla owcarza. Praca uwieńczona nagrodą konkursową przez Towarzystwo rolnicze	—45
<i>Łoziński Władysław.</i> Tłum. Wydanie drugie	—60
Szkie socyologiczny, zawierający analizę zbiorowego występowania ludzi, jako masy organicznie i hierarchicznie nieukształtowanej.	
<i>Łepkowski Józef, prof. Uniw.</i> Przegląd zabytków przeszłości z okolic Krakowa	1'—
<i>Mannteuffel G.</i> Cywilizacya, literatura i sztuka w kolonii pol. nad Bałtykiem , wydanie drugie, ozdobione 23 rycinami	1'10
<i>Mickiewicz Adam.</i> Wybór listów , ułożył Józef Kallenbach, prof. uniw. 1'80	
Wybór ten zawiera ważniejsze listy poety, w których przebijają się duchowe rysy nie tylko twórcy „Pana Tadeusza“, ale człowieka-obywatela, brata, męża, ojca rodziny i serdecznego przyjaciela.	
<i>Morawski Maryan ks. prof. uniw.</i> Filozofia i jej zadanie. Wydanie trzecie, tom o 440 stronicach	2'70
<i>Neumanowa Anna.</i> Baśnie i legendy Wschodu	—55
Nowele konkursowe. <i>Begrowski</i> „Szkoła Kwintyna“ k. 30; <i>Czaszka</i> „Dora“ k. 40; <i>Rystan</i> „Jerk“ k. 40; <i>Żuławski</i> „Pax“ k. 30	
<i>Pawlicki Stefan, ks. Dr prof. uniw. Jagiell.</i> Żywot i dzieła Ernesta Renana. Wydanie nowe, powiększone, 30 arkuszy ścisłego druku	2'70
<i>Pelczar Józef, ks. biskup przemyski.</i> Zarys dziejów kaznodziejstwa w kościele katolickim. Część I. Kaznodzieje greccy i łacińscy	1'25
Część II Kaznodzieje polscy, str. 401	2'70
Część III. Kaznodzieje ludów słowiańskich, romańskich i germańskich. obszerny tom o 476 stronicach wraz z indeksem do całego dzieła 2'70	
— Kazania na uroczystości i święta Najśw. Maryi Panny. Wydanie nowe, dwa tomy	4'50
— Prawo małżeńskie katolickie z uwzględnieniem prawa cywilnego , obowiązującego w Austrii, Prusach i w Królestwie Polskiem. 3 tomy, 75 arkuszy starannego druku	7'20
— Rozmyślenia o życiu kapłańskim , czyli ascetyka kapłańska. Wydanie drugie, pomnożone, 2 tomy	5'40
<i>Sarnecki Zygmunt.</i> Historja literatury francuskiej ułożona podług największych źródeł i opracowań obcych. Dzieło to, zapewniające dotkliwą w literaturze naszej lukę, jest starannie ułożonym przewodnikiem; dokładny rejestr ułatwia bardzo odszukanie każdego autora. Cena tomu o 480 stronicach 2'70	
<i>Schnürr-Peptowski Stanisław.</i> Cudzoziemcy w Galicyi (1787—1844) 2'20	
<i>Sewer.</i> Bajeczne kolorowa. Powieść na tle życia artystów krak. 1'35	
— W kleszczach, Magdusia , dwie nowele	1'50
<i>Sigurd.</i> Sprzedany sierota. Pamiętniki radycy Jönsona. Powieść tłumaczona wedle szwedzkiego oryginału	—70
— Humoreski tłumaczone ze szwedzkiego	—45

Gebethner i Wolff w Warszawie.

2. Nakład. warsz.

2449



711
44529/
12